

proza
z wykrzyknikiem



przewrotność dobra

Jolanta Kwiatkowska

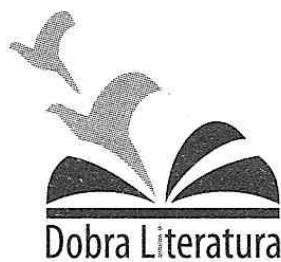


Już wiedziałam, że dobro i zło to syjamskie
rodzeństwo. Teraz tylko muszę się dowiedzieć,
które w danym momencie wybrać.



przewrotność dobra

Jolanta Kwiatkowska



Wydawnictwo Dobra Literatura
Słupsk 2012

*Dziękuję wszystkim, którzy utwierdzali mnie
w walce o wydanie tej książki.
Wszystkim, którzy wsparli mnie swoimi
odczuciami i opiniami na jej temat.*

*Bardzo dziękuję też Wydawnictwu Dobra Literatura,
dzięki któremu historia Doroty nie pójdzie
w szufladowe zapomnienie.*

*Niewiele byłoby zła na świecie,
gdyby nie można go było popełnić w imię dobra.*

Marie von Ebner-Eschenbach

Równym, powolnym krokiem zbliżał się do bramy. Jak zawsze z wielką przyjemnością i z uśmiechem zadowolenia spojrzął na złoty szyld z napisem: „Kancelaria notarialna. Artur Nowowiejski”. Ojciec, jako jeden z pierwszych, zaraz po zmianie ustawy o notariacie otworzył kancelarię w tej starej, przedwojennej kamienicy. Świetna lokalizacja. Centrum miasta. Na klatkę wchodziło się z bramy. W zeszłym roku odrestaurowano budynek, odnowiono klatki schodowe. Znowu zachwycił drewniane poręcze, każda zakończona główką lwa. Lśniły uzupełnione, wyszlifowane marmurowe schody. Co istotne dla starszych klientów, była tam winda. Gdy do niej wchodził, za każdym razem żałował, że już nie ma dużego lustra w ozdobnej drewnianej ramie i małej ławy obitej czerwonym sukniem. Jakby w zamian za to pojawiły się współczesne ozdóbki w postaci wulgarnych słów lub wyznań. Domofon, kamery – nic

nie było w stanie zniechęcić wandalii i powstrzymać ich przed mazaniem po ścianach i w windzie.

Umowa ojca z synem była jednoznaczna. Chcesz być notariuszem – radzisz sobie sam. Po zrobieniu aplikacji przyjdź. Przyjmę cię z otwartymi rękoma. Przyszedł. Szyld zmieniono. „Kancelaria notarialna. Piotr Nowowiejski i Artur Nowowiejski”. Ojca zawsze podziwiał. Nie za wiedzę. Tę musi posiadać każdy prawnik, jeśli chce się liczyć w zawodzie. Nie za doskonałą znajomość procedur, skrupulatność, precyzję i rzeczowość. Nie za wywody z teorii i filozofii prawa, logiki czy socjologii. Ojciec zadziwił go, gdy dodatkowo ukończył psychologię.

– Synu – mówił. – W naszej pracy znajomość psychologii jest podstawą zrozumienia ludzkiego postępowania. Najpierw musisz zobaczyć klienta. Później go zrozumieć, a dopiero potem pomóc mu spisać jego ostatnią wolę. Stary albo schorowany człowiek jest wystarczająco przerażony samym spisaniem testamentu. Nierzadko nie chce jeszcze żegnać się z życiem. Wie, że jedyne, co może zrobić, to zabezpieczyć tych, których kocha i nagle opuszcza. Jest przekonany, że wystarczy napisać: „Ja tak chcę i taka jest moja ostatnia wola”. Niestety, kochana rodzinka wykorzystuje najdrobniejsze dwuznaczności lub niedopowiedzenia, by podważyć i zmienić testament wedle swojego uznania. Jej członkowie walczą między sobą, co, ile i komu się należy. Pojawiają się po latach – dzieci, kuzyni, a nawet żony. Przysięgają, że kochali, kontaktowali się i opiekowali. Na wszystkie możliwe sposoby próbują udowodniać, że choroba pozbawiła testatora przytomności umysłu przy czynnym udziale osoby, którą wskazał w testamencie jako jedyne spadkobiercę. Nie mogą pozwolić, żeby ich dziedzictwo

trafiło w niegodne, w dodatku nieuczciwe ręce. Sprawy toczą się latami. Często pokrzywdzona jest osoba, która była tą naprawdę godną spadku, a jej jedynym przewinieniem okazał się brak pokrewieństwa ze spadkodawcą.

Przerwał. Podeszedł do okna.

– Widzisz synu – ciągnął – Żeby zachować bezstronność i doradzić jak najlepiej, trzeba umieć właściwie odczytywać zachowania ludzi. By nie poddać się manipulacji, należy poznać jej wszystkie sztuczki.

Od dziesięciu lat nad kancelarią wisi szyld już tylko z imieniem i nazwiskiem syna. Duch ojca nadal jest tu jednak obecny.

Artur Nowowiejski wszedł po schodach na pierwsze piętro. Pani Janina była już w pracy.

– Dzień dobry, pani Janeczko. Pani jak zwykle pierwsza. Zdjął płaszcz. Odstawił parasol.

– Proszę o kawę.

Skierował się do gabinetu.

– Za godzinę przyjdzie klient – przypomniała, stawiając filiżankę na blacie stolika. – Potem już tylko ten o osiemnastej.

Przy biurku nigdy nie pił ani nie jadł. Błat starego dębowego mebla musiał lśnić pod ułożonymi z pedanterią papierami. Tak jak za czasów ojca.

– Pamiętam. Muszę jeszcze zajrzeć do dokumentów. I proszę nikogo ze mną nie łączyć.

Wyszła, zamykając drzwi. Nie musiał nic sprawdzać. Miał wszystko przygotowane. Nigdy nie robił nic na ostatnią chwilę. Musiał pomyśleć. W tak krótkim czasie spotkał się z tamtą kobietą kilkakrotnie. Za pierwszym razem, patrząc na nią, pomyślał: „Dziecko. Śliczne dziecko. Zagubio-

ne. Zdziwione, lecz niezaskoczony”. Zapisu chyba się nie spodziewała, ale sama śmierć jego klienta jej nie zszokowała. Musiała wiedzieć więcej, niż powiedziała. Zresztą nie wypytywał. Każdy w jej sytuacji byłby co najmniej skrępowany, ona przyjęła to dziwnie spokojnie. Pomógł jej we wszystkim. Nawet złapał się na myśli: „Dobrze, że będzie miała ułatwiony start w życiu”. Czuł, że pomaga nie tylko dlatego, że zobowiązał się do tego w umowie. Bał się tego, co działo się w jego głowie. Nie dopuszczał tych obrazów do świadomości. Przecież mogłaby być jego wnuczką. O wieku przypominała mu konieczność przejścia na emeryturę. Notariuszem można być do siedemdziesiątego roku życia. Za cztery lata musi zamknąć kancelarię.

Miła dziewczyna. Od czasu do czasu dzwoniła. Ot, tak. Podziękować. Życzyć dobrego dnia. Bez powodu, żeby zamienić z nim kilka nic nieznaczących słów. W dniu, w którym znów się spotkali, zobaczył w niej kobietę. Wdowę po tragicznie zmarłym mężu. Małżonków dzieliła różnica prawie trzydziestu pięciu lat. Jedyne, o czym mógł myśleć, to że ten nieżyjący mężczyzna był niewiele młodszy od niego.

– Mogę czasami tu przychodzić? – spytała i dodała tak naturalnie, jakby się znali od dawna: – Na pół godziny, nie dłużej. Po prostu porozmawiać. Z panem tak dobrze się czuję. Spokojnie. Od pana bije takie ciepło, które sprawia, że jestem bezpieczna.

Patrzyła na niego, a on widział spojrzenie dziecka potrzebującego wsparcia.

– Będę zaszczycony – odpowiedział. – Proszę tylko przedtem zadzwonić, żebym zarezerwował dla pani czas.

Przyszła jeszcze kilka razy. Ubierała się w czarny, bardzo elegancki kostium i bluzki w różnych fasonach, ale

zawsze białe. Zauważył, że się nie maluje. Nie chciała rozmawiać o mężu.

– Panie Arturze, kochałam męża. Wiem, że odszedł. Umarł. Nie ma go.

Patrzył na nią, znów zaskoczony kontrastem. Ton głosu i stężąca twarz należały do dojrzałej kobiety, która nie jest zgorzkniała, lecz pogodzona z nieuchronnością losu, wyraz oczu – do zalęknionego dziecka, ale świadomego, że żadna pomoc nie nadejdzie.

Po chwili dodała:

– Tu go nie ma.

– Jest pani wierząca? – spytał, żeby wyjaśnić to „tu”.

– Tak. Spotkam go. Wszyscy się kiedyś spotkamy, gdy przyjdzie właściwy czas. – Spojrzała na portret wiszący na honorowym miejscu w kancelarii. Przeniosła wzrok na notariusza. Patrząc mu w oczy, uśmiechnęła się samymi kącikami ust i spytała: – Panie Arturze, kochał pan swojego ojca? Opłakiwał go pan? Tęsknił? Wspominał?

Pytała takim tonem, że zrozumiał, iż tak naprawdę nie chce poznać odpowiedzi, lecz mówi o swoich uczuciach.

– Bardzo go kochałem, podziwiałem i szanowałem. Nieraz sprął mi tyłek i to solidnie, ale zawsze wiedziałem za co. Czułem też, że bardzo mnie kocha. Wychowywał mnie sam i po męsku. Był surowy, wiele ode mnie wymagał. W młodości czasem się buntowałem, nawet wykrzyczałem mu, że dom to nie wojsko, że ja nie jestem poborowym, a on generałem. Ale zawsze miałem pewność, że jestem dla niego najważniejszy i nie pozwoli nikomu zrobić mi krzywdy. Później miałem mu za złe, że nie chce mi pomóc zawodowo. Dziś nadal mi go brakuje, często rozmawiam z nim w myślach... – Po chwili uzupełnił, jak-

by się tłumaczył: – ...mimo mojego wieku. Ale naprawdę nieraz chciałbym móc z nim porozmawiać jak kiedyś.

Był sobą zaskoczony. Dobrze się z nią czuł, jakby się znali od dawna. Z nikim tak szczerze nie rozmawiał o swoich uczuciach do ojca. Nawet nie umiał sobie przypomnieć, czy w ogóle kiedykolwiek powiedział głośno to, co przed chwilą jej wyznał.

– Proszę odpowiedzieć bez zastanowienia. Otwiera pan drzwi do kancelarii i widzi ojca, który idzie w pana kierunku z wyciągniętymi ramionami. Jaka jest pana pierwsza reakcja? Szybko! – ponagliła.

– O Boże. Chyba bym się cofnął – odpowiedział i nawet poczuł nieprzyjemny dreszcz.

– Widzi pan. Mówi się, że tak zareagowałoby dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na stu. Zamiast przytulić najbliższą osobę, cofnęlibyśmy się z przerażeniem. Widok kochanego ojca, znów żywego, byłby nie do zaakceptowania. Pan już go pochował. Widział w trumnie. Martwi nie powinni powracać do naszego życia.

Zamyślili się oboje.

– Jest pani bardzo młodziutka, skąd takie przemyślenia?
– zapytał, szczerze zainteresowany. Jednocześnie chciał przerwać ciszę.

– Wiek to rzecz względna – zaśmiała się. – Jestem gotowa założyć się z panem, że są chwile, gdy staje się pan moim równolatkiem. I odwrotnie.

Teraz już śmiała się z całego serca.

– Ma pani rację. Gdy zamknę oczy, znów gram w piłkę na boisku. Albo palę papierosy w bramie z kolegami, żeby udowodnić swoją dorosłość.

Teraz i on się śmiał.

Stukanie wyrwało go z zamyślenia. W drzwiach stanęła pani Janeczka.

– Panie notariuszu, przyszedł umówiony klient. Prosić?

Sprawa była prosta. Załatwił wszystko, wstał, żeby osobiście odprowadzić klienta, pożegnać się i otworzyć mu drzwi. Tak robił jego ojciec. Zwolnił już panią Janeczkę do domu, nalał sobie koniaku i znów zatopił się we wspomnieniach.

Ostatnio widział się z nią jakieś trzy miesiące temu. Zapisła się oficjalnie. Przez sekretariat. Prosząc o zarezerwowanie ostatniej godziny i więcej czasu. Był zdziwiony i gdy tylko weszła, od razu zapytał:

– Dlaczego nie zadzwoniła pani do mnie?

– Panie notariuszu, oficjalne spotkanie należy umawiać zgodnie z regułami – odpowiedziała, ale szybko dodała przyjaznym tonem: – Potem, panie Arturze, gdy będzie pan miał wolną chwilę, wypijemy kawę lub lampkę koniaczku. Przy miłej pogawędce.

Załatwili formalności po jej myśli. Powiedziała, że lubi mieć wszystko uporządkowane. Nigdy nie czeka na ostatnią chwilę, bo los może znów ją zaskoczyć.

Była ostatnią interesantką. Pani Janeczka poszła do domu. Zostali sami.

– To jak? Poczęstuje mnie pan koniakiem? – zapytała, przesiadając się na kanapę przy stoliku.

– Oczywiście. Sam też się chętnie napiję. – Nalał i usiadł obok niej. – Pani jest bardzo dobrym człowiekiem. Ma pani jakieś wady? – zapytał, sugerując spojrzeniem, że to raczej niemożliwe.

– Mam jedną. Ale taaaką dużą. – Rozciągnęła ramiona, pokazując rozmiar.

– Co to jest? – zapytał ze śmiechem. – Nałóg wędkowania?

– Nie – zaprzeczyła z miną rozrabiaki, ale po chwili spoważniała i powiedziała: – Dobroć.

Widząc jego zaskoczenie, spojrzała mu w oczy i powtórzyła:

– Moją jedyną wadą jest dobroć.

– Nie rozumiem. Dobroć wadą? Mogłaby mi to pani wyjaśnić?

– To proste, nie chcę czynić dobra, jednak muszę to robić. Tak jestem zaprogramowana. Próbowałam sprawić, żeby wszystkim było dobrze. Nie dało się. Skupiłam się na sobie i na najbliższym otoczeniu. Teraz wyjeżdżam, bardzo daleko, żeby tym razem uszczęśliwić siebie. Jestem pewna, że uda mi się to tam, gdzie będę.

– Gdzie pani jedzie? Kiedy wraca?

Było mu smutno, że może jej długo nie zobaczyć. Nigdy się nie ożenił. Żadna kobieta nie zainteresowała go na tyle, żeby zrezygnował z wolności. Zdawał sobie sprawę, że jego stosunek do kobiet odzwierciedla przeżycia z dzieciństwa. Pogodził się z tym, że matka zostawiła ojca, ale jak mogła zniknąć z życia własnego syna? Nieraz pytał ojca, dlaczego ten spotyka się z kobietami, ale nigdy nie wspomina o ponownym ożenku. Stale słyszał jedną odpowiedź: „Już żadnej kobiecie nie pozwolę się tak potraktować. Kochają, gdy mają za co. Ale to wcale nie oznacza, że za to, jakim jesteś człowiekiem. Kiedyś to zrozumiesz”. Wolał nie rozumieć i kończył znajomość, gdy tylko rozmowa zaczęła dotyczyć małżeństwa. Gdy poznał tę kobietę-dziecko, coś w nim pękło, ale nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

– Panie Arturze, proszę się nie martwić. Gdy tylko wszystko urządzę, tak jak sobie wymarzyłam, dam znać, gdzie jestem. Teraz nie chcę zapeszyć. Jestem troszkę przesadna – przyznała się i gestem poprosiła o dolewkę koniaku.

– Więc kiedy mogę się spodziewać telefonu?

Nalewając trunek, nie patrzył na nią. Nie chciał, żeby dostrzegła, że jest mu przykro. Jeszcze by sobie coś pomyślała.

– Panie notariuszu – zaczęła oficjalnie lekko strofującym tonem, żeby od razu pogodnie, już z ognikami w oczach, ale bez kokieterii poprawić się: – Kochany panie Arturze. Ja też pana bardzo polubiłam. Szkoda, że nie poznaliśmy się w odpowiednim czasie. Obiecuję, że się spotkamy. Przy najmniej ja w to wierzę i bardzo bym tego chciała. Dobry z pana człowiek – dodała, gestem pokazując, że pije jego zdrowie. – Jeżeli nie zadzwonię, to wkrótce przyślę do pana mojego znajomego. On wszystko panu o mnie powie. Gdzie jestem i to, co będzie pana interesowało, dobrze?

– Oczywiście. Będę czekał. Jak nazywa się ten przyjaciel? – spytał, otwierając notes. – Zapiszę.

– Nazwiska panu nie podam. To będzie nowy znajomy. Proszę sobie przy moim nazwisku dopisać: „*progne subis*”. To będzie nasze hasło. Lubię być troszkę tajemnicza. Jak każda kobieta. – Wstała, podając mu rękę, nachyliła się i pocałowała go w policzek. – Naprawdę szkoda, że wcześniej pana nie spotkałam – dodała i wyszła.

Minęły prawie cztery miesiące. Myślał: „Durny, stary dziadzie. Żartowała sobie. Pojechała. Ma pieniądze. Duże jak na ten wiek. Jest śliczna. Młoda. Z nowymi perspektywami. Gdzie jej w głowie pomyśleć o tobie”. Wczoraj, gdy już wychodził z kancelarii, zadzwonił jego telefon komór-

kowy. Na wyświetlaczu pojawił się komunikat: „Numer prywatny”.

– Artur Nowowiejski, słucham.

– Bogdan Jaskólski. Chciałbym się z panem spotkać. Porozmawiać. Sprawa w zasadzie prywatna.

– Czy ja pana znam? Nie przypominam sobie nazwiska.
– zapytał.

– Mogę przyjść jutro do pana kancelarii około osiemnastej? Wtedy porozmawiamy. Teraz powiem tylko dwa słowa, które, mam nadzieję, będą moją wizytówką: *progne subis*.

Wpis na forum

... *Progne subis*. Na forum przeczytałam Twoją odpowiedź dla agnes91: „Szczęściu trzeba pomóc”. Dołączyłam Cię do swojej listy ulubionych. Od pewnego czasu śledzę Twoje komentarze. Rzadko piszesz. Najczęściej odpowiadasz cytatem (sama też korzystam z myśli mądrych ludzi), czasami paroma słowami podpowiadającymi drogę ku wyjaśnieniu wątpliwości. Podjęcia próby zmiany na lepsze. Od dawna wiem, że szczęściu trzeba pomóc. Jednak to bardzo trudne. Szczególnie wtedy, gdy nie ma kogo zapytać o radę. Nie ma z kim porozmawiać o tym, co akurat cię dręczy. Podaję swój adres: calineczka@bajka.pl. Tylko dla Ciebie. Innym nie będę odpowiadać. Poznam po słowach, ich sensie, czy nikt się pod Ciebie nie podszył. Zrobisz, co uważasz.

E-mail nr 1

... *Progne subis*. Ucieszyłam się, że odpisałeś. I to tak szybko. Dostałam parę e-maili. Po treści wiedziałam, że żaden z nich nie jest od Ciebie. Tak, znam te słowa: „Największym urokiem świa-

ta jest urok drugiego człowieka”. Sprawdzasz mnie? Czy rzeczywiście sięgam po złote myśli? To słowa Zofii Nałkowskiej. Zdałam? Mnie zaintrygował Twój nick. Po sprawdzeniu, co oznacza, wiem już dużo o Tobie. Nie rób takiej sceptycznej miny. Widzę ją. Posłuchaj.

Jaskółczak modry – ptak z rodziny jaskółkowatych. Skrzydła proporcjonalnie krótsze oraz szersze niż u innych ptaków z tej rodziny. Głowa i tułów samca niebiesko-czarne. Skrzydła i ogon czarne. Ogon długi, rozwidlony i szeroki. Mięśnie poruszające skrzydłami dobrze rozwinięte, co sprawia, że ptaki z tej rodziny w locie są szybkie, zwinne i wytrzymałe. Największym z przedstawicieli jest *Progne subis*.

Jaskółko! Jeżeli jesteś taki, jak myślę, będziesz wiedział, co mną kierowało, żeby podać Ci swój e-mail. Pozdrawiam. Calineczka.

E-mail nr 2

...*Progne subis*. Czułam, że tak zareagujesz. Dziękuję za miłe słowa. Tylko dlaczego „wśród kobiet”? Dzielisz przymioty ze względu na płeć? Nietładnie! Masz u mnie minus.

Widzę Twój figlarny uśmiech, gdy piszesz: „Wiem, Calineczko, że jesteś córeczką upragnioną przez matkę. Urodziłaś się w pięknym tulipanie o czerwonych i żółtych płatkach. Śliczna, delikatna, maleńka dziewczynka. Co złego i kiedy Ci się przytrafiło? Jaka jest Twoja bajka? W którym miejscu jesteś dziś? Bo to, że spotkałaś ropuchę, jest dla mnie oczywiste”.

Na marginesie dodajesz: „Największy z przedstawicieli mierzy dwadzieścia dwa centymetry”. Wielkość też jest względna. A co nie jest?

Napisałeś, że życie to nie bajka. Moje potoczyło się jak w bajce. Wstrętna, duża, obślizgła ropucha wykradła mnie mo-

jej matce. Znalazłam się na liściu, z którego nie było ucieczki. Nie chciała mnie. Jej mąż ropuch miał w sercu miejsce tylko dla swego następcy. Dla mnie go zabrakło. Ropucha przekonała go: „Będzie dla naszego Adonisa. Najpiękniejszego i najmądrzejszego *Bufo bufo* z gatunku płazów. Nie na żonę. Na kobietę do posług w dzień i w nocy”. Stare ropuchy prowadzą lądowy tryb życia. Ciało mają krępe, masywne, z szerokimi pyskami. Są silne. Ich skóra jest chropowata ze względu na liczne brodawki. Do obrony służą im gruczoły jadowe. Młody Adonis polował w dzień i w nocy. Pożerał, wylegiwał się i znów pożerał. Genialny w pożeraniu kawałeczków, po ociupince, z licznymi przyprawami i na najróżniejsze sposoby. Delektował się przysmakami, jakim była Calineczka. Nie wiem, czy słyszałaś, ale według legendy Adonis jest zwiastunem nie tylko rozkwitu, lecz także zamierania przyrody. On rozkwitał, ja zamierałam. Zapamiętaj, bo to ważne, że ropuchy szare zwyczajne (*Bufo bufo*) występujące w Polsce to gatunek pod ścisłą ochroną!

„Ale to już było i nie wróci więcej. I choć tyle się zdarzyło, to do przodu wciąż wyrywa głupie serce”. Wiesz, kto to śpiewa?

Rozwinięcie do e-maila nr 2

Tego, że właściwie trzeba wykorzystywać wszystkie pięć zmysłów, którymi nas Bóg obdarzył, nauczyłam się już jako dziecko. Człowiek dysponuje pięcioma zmysłami, które informują go, co się wokół niego dzieje. To wzrok, słuch, dotyk, węch i smak. Większość widzi oczyma, ja nauczyłam się widzieć słuchem, węchem i dotykiem. Z wdzięcznością dziękuję Krzyśkowi. Mojemu bratu, który był ode mnie starszy o pięć lat.

Dla ukochanego synka, cudu jedyne w swoim rodzaju, mama zaszła w kolejną ciążę. Chciał braciszka, więc musiał go dostać. Niestety, urodziłam się ja. Od kiedy pamiętam, miałam jedno miejsce, w którym czułam się bezpiecznie. Była to szafa w ścianie w przedpokoju. Na dole, po jednej stronie upchnięto w niej różne aktualnie zbędne przedmioty, które mogą się jeszcze przydać. Po drugiej stał duży aluminiowy garnek z pokrywką. W zależności od potrzeby gotowało się w nim ścierki do talerzy albo bigos. Wewnątrz niego było miejsce dla prodiża, zapasowego przedłużacza i żarówek. Pośrodku stał odkurzacz. Od najmłodszych lat byłam zbędnym przedmiotem, więc wchodziłam do szafy i siadałam, biorąc odkurzacz na kolana. Wszyscy byli zadowoleni. Ja też. Szczególnie wtedy, gdy już trochę podrosłam.

Kiedyś Krzyś z kolegami oglądali jakieś kolorowe pismo. Gdy wyszli, chciałam je przejrzeć, ale dostałam po łapach. Mocno. Bolało. Wściekły krzyczał: „Nie mów rodzicom. To niespodzianka. Myślę o studiowaniu medycyny i muszę dokładnie poznać ciało kobiety. Ty i tak tego nie zrozumiesz. Pamiętaj. Nic nie widziałaś. Nic nie słyszałaś”. Gdy koledzy przyszli na drugi dzień, kazał mi wejść do szafy i nie wychodzić, dopóki nie powie, że mogę. Zagroził, że jeśli wyjdę bez pozwolenia, zamknie drzwi od szafy na klucz. Wtedy wpadłam na pomysł, co zrobić, żeby było mi wygodniej. Ostrożnie odsuwałam od ściany ubrania, żeby się nie pognioty, siadałam na garnku, a nogi stawiałam na odkurzaczu. Plecami opierałam się o ścianę i dzięki temu mogłam długo tak siedzieć, nie przeszkadzając ani bratu i jego kolegom, ani rodzicom.

Mama w dzień często była bardzo zajęta ważną pracą. Plotkowała. Wiedziałam, co robi, bo słyszałam, jak mówi:

„Przyjdź, poplotkujemy przy kawie, dobrze nam to zrobi”, zapraszając sąsiadkę. A potem do mnie: „Zniknij mi z oczu i nie przeszkadzaj, bo musimy pracować”.

Według rodziców nasze mieszkanie było stanowczo za małe, ale sąsiadki z zazdrością mówiły, że jest bardzo duże. Miało około czterdziestu pięciu metrów kwadratowych. Dwa pokoje z kuchnią, a w zasadzie trzy przedpokoje i dwa pokoiki. Z drzwi wejściowych wchodziło się do małego przedpokoju, z niego do kuchni (wąskiej kiszki, ale z oknem) i do środkowego pokojo-przedpokoju, który w zamyśle miał być salonem.

Stąd przechodziło się przez drzwi (a właściwie miejsce na nie) do następnego małego przedpokoju z szafą w ścianie i drzwiami do dwóch pokoiów. Pierwszy miał trochę ponad dziesięć metrów kwadratowych, drugi około sześciu. Obok szafy znajdowało się wejście do łazienki z ubikacją. W najmniejszym pokoju stała wersalka rodziców. W większym spaliśmy ja i Krzysiek. Później, gdy podrosłam, noce spędzałam w kuchni na polówce.

Któregoś dnia przyszła sąsiadka, rozsiadły się z mamą przy stole i zapomniały o bożym świecie. Od siedzenia w jednej pozycji zdrętwiały mi nogi i chciałam wyjść z ukrycia, ale do domu wszedł tata. Widziałam go słuchem i węchem. Miał czerwoną, nadętą twarz (mówił, że to nadciśnienie). Podszedł do mamy i chwycił ją za piersi. Widziałam to po jej chichocie i jego słowach skierowanych do niej:

– Dziś nie dam rady, skarbie. Nie stanie. – I do sąsiadki:
– Ja jeszcze stoję, mój miecz leży. Sąsiadeczko, położę się i on niedługo wstanie. Proszę nie wychodzić, to przymierzmy, czy pasuje do pani pochwy.

Roześmiali się oboje z mamą. Sąsiadka się nie śmiała. Mama zaczęła go uspokajać:

– Cicho, u Krzysia są koledzy. Uczą się. Jeszcze usłyszą. Połóż się.

Tata spytał:

– Gdzie ta sierota? Poszłaby po piwo. Jak wstanę, będę chciał się napić.

Szedł, chwiejąc się na nogach, w kierunku ich pokoju. Skuliłam się jeszcze bardziej, modląc się, żeby nie otworzył szafy. Usłyszałam mamę:

– Kupiłam, kładź się. Siedzi w szafie i niech nie wychodzi. Chcemy spokojnie pogadać.

Widziałam ojca leżącego na kanapie – jęknęły sprężyny. Byłam bezpieczna.

Liczyłam w myślach: „Raz, dwa, trzy – śpisz”.

Nie wiedziałam, gdzie jestem. Bałam się otworzyć oczy. Nie słyszałam pozwolenia Krzysia. Nie mówił: „Dorotko-idiotko, możesz otworzyć gały. Równo na trzy. Nie waż się wcześniej, bo znów je zamkniesz. I wiesz, co będzie?”. Wiedziałam. Nie otwierałam. Otworzę wraz ze słowem „trzy”. Pełna synchronizacja, mimo jego oszukiwania. Zamiast „trzy” mówił „dwa i pół”. Ja, idiotka, otwierałam i pod nieobecność rodziców musiałam chodzić z zawiązanymi oczami. Dla mojego dobra. Uczyć się używać innych zmysłów, ćwiczyć swoją pewność siebie w ciemnościach. Dla mojego dobra. Bo jak za karę wydłubie mi oczy, muszę nadal być sprawna. Muszę mieć refleks, żeby nie dać się zaskoczyć. Na trzy podawać mu to, czego sobie zażyczył. Nieważne, że trzeba dobiec do kuchni i z powrotem.

– Musisz ćwiczyć, tylko tak zrobię z ciebie człowieka – tłumaczył i znów powtarzał, żebym zapamiętała na całe życie: – To znaczy pół człowieka. Żadna baba nigdy nie będzie człowiekiem. Tak postanowił Bóg i dlatego Ewę ulepił z żebra Adama, żeby wiedziała, że jest tylko jego małą częścią. Najmniej ważną. Bez niej Adam nadal był pełnowartościową istotą ludzką.

– A mama? Mama nie jest człowiekiem? – odważyłam się zapytać.

– Obserwuj matkę i jej słuchaj. Ona zna swoje miejsce wśród mężczyzn. Dlatego mnie i ojcu daje to, co ma najlepszego. Tylko my mamy prawo chcieć, a waszym świętym obowiązkiem jest spełniać nasze życzenia. Nie będę po próżnicy strzępił języka. Mówi ci matka, żebyś mnie słuchała, to słuchaj i nie próbuj dyskutować. Rozumiesz?

Szarpnął mnie za rękę.

Jeden raz odpowiedziałam:

– Nie, nie rozumiem.

Po chwili, mając gwiazdy przed oczami, pojęłam. Muszę potakiwać. I to jednym słowem.

Na pomysł, by uczyć mnie używania wszystkich zmysłów, Krzysiek wpadł, gdy miałam około sześciu lat. Pewnej nocy obudziły mnie jego jęki i stękania. Cichutko usiadłam na łóżku i zobaczyłam go klęczącego. Trzymał w ręku swojego zbója, z którego mama była taka dumna. Kilka razy mówiła do taty: „Mając takiego zbója, każdej babie robi dobrze”. Przestała, gdy się na nią zezłościł, wepchnął do pokoju i krzyczał: „Matka, ty się zachwycaj moim. Zaraz ci pokażę, na co go stać!”. Krzysio znęcał się nad swoim. Musiało go to bardzo boleć, bo jęczał, ale nie przestawał. „Pewnie zrobił coś złego i musi się

ukarać, by znów zwyciężyło dobro”, stwierdziłam. Było mi go żal.

Pomyślałam nawet, że musi być chory, bo do tej pory przecież zawsze wszystko robił dobrze. Tak mówili mama i tata. Ja za to stale robiłam coś źle i z mniejszą chęcią. Nawet ksiądz stosował taką formę kary w stosunku do siebie. Powiedział, że kara będzie większa, jeśli ja to zrobię. Staralam się. A on wciąż powtarzał: „Mocniej, szybciej”. Ksiądz nie jęczał, co pewnie znaczy, że nawet siły miałam za mało. A tak chciałam robić wszystko dobrze. Muszę jeszcze bardziej się starać. Chcę być dobra, taka jak Krzyś. Jego ciągle chwala. „Krzyś nie dość, że śliczny chłopak, to jeszcze taki zaradny, prawdomówny, uczynny, a co najważniejsze chodząca dobroć. Zupełnie inaczej niż ta mała. Dziwne, że to dziecko tych samych rodziców”, mówili wszyscy: sąsiadki, znajomi rodziców (tych mieli niewielu).

Nawet listonosz, przynosząc rentę mamy, za każdym razem powtarzał: „Panie Krzysiu, pan taki młodziutki, a rozumie człowieka”. Krzysiek kazał mi oddawać moje pięć złotych miesięcznego kieszonkowego. Sam dostawał, ile chciał. „Ma swoje potrzeby, to już dorosły chłopak. Zresztą on zasługuje na dużo więcej”, tłumaczyła mama, widząc mój wzrok. „Ty przecież też dostajesz. Mało? Na tacę wystarczy. Jak zasłużysz, będzie więcej. Nie bądź zazdrosna, bo to grzech i będziesz się musiała wypowiadać”.

Krzysiek wiele mnie nauczył.

– I tak nic sensownego za to nie kupisz, a zrobisz przysługę listonoszowi – pouczał głupiutką siostrę. – Doliczysz sobie to do swoich dobrych uczynków, a to ważniejsze niż te marne parę groszy.

– Ale pan listonosz nie wie, że to ode mnie, i dziękuje

tobie – próbowałam się bronić przed oddaniem pieniędzy.

Oczywiście wywołałam tylko wściekłość brata.

– Idiotko, bycia dobrym uczyłem się długo. Ty dopiero stawiasz pierwsze kroki. Nigdy więcej nie chcę słyszeć czegoś podobnego! – Widząc, że zbiera mi się na płacz, pocieszył mnie: – Zapisz sobie dwa uczynki, jeden za siebie i drugi mój, oddaję ci go, docień dobro brata. – Zaśmiał się tym swoim przerażającym śmiechem.

Byłam zadowolona, że mi się upiekło. Ten śmiech mało kiedy kończył się dla mnie dobrze. Tym razem nic mnie nie bolało, a jeszcze oddał mi swój uczynek. Szkoda, że nie można się chwalić tym, że zrobiło się coś dobrego. Wtedy łatwiej byłoby znieść wszystko inne. Tak trudno dochować tajemnicy i nie móc powiedzieć chociażby mamie: „Zobacz, jestem dobra, mam już tyle dobrych uczynków”. I usłyszeć: „Mam dobrego syna, a teraz także dobrą córeczkę”. Muszę czekać, aż sami to zobaczą. Cierpliwie czekać. Tak powiedział ksiądz: „Im staniesz się cierplivsza, tym będziesz szczęśliwsza w dorosłym życiu. Pamiętaj dziecko: »Dobro zawsze zwycięża«”.

Krzyś spostrzegł, że nie śpię. Jeszcze chwilę się karał, potem się położył i powiedział:

– Za podglądanie za karę będziesz leżała z zamkniętymi oczami zawsze, kiedy ci każę. Tak długo, aż pozwolę ci je otworzyć. Gdy otworzysz bez mojego pozwolenia, będziesz chodziła z zawiązanymi, aż nauczysz się robić wszystko na wycucie. Posługiwać dotykiem, słuchem i intuicją. Pewnie nie wiesz, co to intuicja. Niedługo się dowiesz. Dorobisz się kilku sińców i zrozumiesz. Podglądanie jest ciężkim grzechem. Musisz wykreślić swoje dobre uczynki i zacząć zbierać je na nowo.

Krzyś, dla mojego dobra, często mnie karał. Mama się nie wtrącała.

– Mamo, odpocznij sobie. Ja zabiorę smarkatą ze sobą. Będziesz mogła poleżeć albo iść do sąsiadki. Masz chore serce i muszę o ciebie dbać. Wiesz, jak cię kocham. Aha, zapomniałbym. Daj kaskę, zrobię zakupy.

Była uszczęśliwiona, śmiała się, przytulała go, całowała w głowę.

– Patrz i ucz się – mówiła do mnie. I do niego: – Synku, mój dobry, kochany synku. Nie wydaj za dużo. Nie bądź dla niej za dobry i nie daj się namówić na czekoladę czy lody. Kup tylko to, co spisałam na kartce.

– Mamo, twój dobry syn bez przypominania wyrzuci śmieci. – Pocałował ją w policzek. Do mnie krzyknął: – Mała, bierz siatkę ze śmieciami.

Zawsze przysłuchiwałam się ich rozmowie bez słowa. Bo co mogłam powiedzieć, odpowiadając na pytanie mamy: „Zjadłaś całą czekoladę?” i pouczenie brata: „Nie kręć, tylko odpowiadaj zgodnie z prawdą, jednym słowem”. Odpowiadałam zgodnie z prawdą: „Tak”, bo już mnie nauczył, że nikt nie pyta, czy dużą, czy małą. On zawsze zawijał w papierek jeden kawałeczek i dawał mi ze słowami: „Dobry brat pozwala niedobrej siostrze zjeść całą czekoladę”. Z lodami też tak było. Sobie kupował trzy kulki i brał dodatkowy wafel. Odkładał mi do niego trochę i znów mówił: „Dobry brat... całego loda...”. Często się śmiał, bo lubił się śmiać. „Trzeba się długo uczyć, żeby być dobrą”, powtarzał. I zawsze dodawał: „Ucz się, mała, od mistrza się uczysz”.

Pomału zaczynałam pojmować. Nie liczy się, że ja wezmę śmieci. Ja je zniosę. Ja wyrzucę. Ważne jest to, że on

powiedział, że wyrzuci. Jego pomysł – jego dobry uczynek. Nie wszystkie trzeba robić własnoręcznie. Trzeba umieć drugiemu pozwolić je spełniać. Wtedy i on, i ja możemy sobie zapisać dobre uczynki. On oczywiście podwójnie. Za pomysł i za szansę daną mnie. Gdy nauczyłam się pisać, kupował mi szesnastokartkowe zeszyty na moje dobre uczynki. Jeden raz pochwaliłam mu się swoimi wpisami: „Krzysiu, zobacz, wypełniłam już trzy strony”. Przeczytał, roześmiał się i popatrzył na mnie tak, że od razu się skuliłam. Wiedziałam, że za chwilę mnie uderzy, ale nie mogłam się cofnąć, bo dostałabym podwójnie. Ale mój brat miał dobre serce. Nie zbił mnie, tylko wydarł zapisane kartki i powiedział: „Tym razem tylko taka kara, bo jeszcze ci nie mówiłem, że ciężkim grzechem jest pycha. Za zeszyt oddasz mi z kieszonkowego”.

Rodziców miałam dobrych. Mama i tata nigdy mnie nie uderzyli. Najwyżej kazali mi wchodzić do szafy i czekać, aż mnie zawołają. Parę razy poszli spać i o mnie zapomnieli. Ale to nie była ich wina. Byli bardzo zmęczeni. Musiałam zrobić dobry uczynek i nie mieć im tego za złe. Nie miałam, bo już sobie do szafy brałam nocnik. Dobrymi uczynkami zapisałam trzy szesnastokartkowe zeszyty w kratkę. Ukryłam je w szafie, a bratu pokazywałam taki, w którym pisałam po jednym, najwyżej po dwa dziennie. Gdy widział, że wypełniłam za dużo stron, krzyczał: „Wpisujesz bzdury, a ja muszę wydawać pieniądze na nowy zeszyt”. Sama już sobie kupowałam. W szafie miałam skrytkę między górną półką a ścianą. Byłam pewna, że tam ich nikt nie znajdzie, bo w szafie się nie sprzątało. Zapisywałam wszystkie i numerowałam, żeby dokładnie wiedzieć, ile ich mam. Z upływem czasu, zaglądając do zeszytów, musiałam niektóre rzeczy skreślać, bo sama rozumiałam, że to nie były

uczynki, tylko moje obowiązki. Zapisywanie miało jeszcze jedną dobrą stronę. Łatwiej mi było nie chwalić się nimi przed mamą. Krzysio mi bałam się cokolwiek powiedzieć, a taty i tak nie obchodziłam. Ledwo dostrzegał moją obecność, a gdy już mnie zauważał, to tylko po to, żeby kazać mi coś zrobić, przynieść, podać i wejść do szafy.

W szafie schowałam też swój drugi skarb. Bajkę Andersena „Calineczka” – książkę, którą dostałam w szkole jako nagrodę za dobre wyniki w nauce.

Mój ksiądz uczył też Krzyska. Brat był mądry i szybciej zrozumiał sens często wypowiedzianych przez niego słów: „Celem naszych czynów powinno być nie tylko czynienie dobra, lecz także nakłanianie innych do jego czynienia. Żaden człowiek dobrej woli – mężczyzna, kobieta czy dziecko – nie może uchylać się od obowiązku zwyciężania zła dobrem. Pokonując zło, dobro otwiera drogę ku miłości. Tam, gdzie jest miłość, jest też pokój”.

Pragnęłam pokoju. W jednym pomieszczeniu z Krzysiem było mi bardzo źle. Już byłam duża i spałam sama na rozkładanym łóżku. Rozstawiał je dopiero, gdy sam zamierzał iść spać. Musiałam siedzieć cichutko i czekać na jego polecenia: „Przynieś! Wynieś! Otwórz okno! Zamknij!”. Wszystko na trzy. Gdy chciał zrobić dobry uczynek, grał ze mną w różne gry. Nie mogłam wygrać. Zwycięzać mógł tylko on. Mój mistrz...

Z czasem umiałam już pomóc bratu być dobrym. Zrozumiałam, że on nie chciał mnie karać, tylko nauczyć właściwego zachowania. Bardzo cierpiał, tak mówił, ale musiał to robić dla mojego dobra. „Rozumiesz?”, pytał. Umiałam już odpowiadać. Ostatecznie nauczył mnie tego w moje dziewiąte urodziny. To miał być jego prezent dla mnie, tak

powiedział mamie. Ona w kółko powtarzała: „Zawsze mówię wszystkim, jaki to dobry chłopak z tego mojego syna”.

Dobry chłopak chciał mi zrobić przyjemność. Poszliśmy na boisko, gdzie z kolegami grywał w piłkę. Mnie pozwolili, jako wyróżnienie, pilnować ich ubrań. Po godzinie zmęczeni się, poszli na piwo i mieli zaraz wrócić. Krzyś zakazał mi się ruszać z miejsca. Miałam udowodnić, że umiem być odpowiedzialna za czyjeś rzeczy. Po dwóch godzinach lunął deszcz. Było mi zimno. Wzięłam ich ubrania na kolana i okryłam sobą. Bardzo chciało mi się siusiu. Powtarzałam w myślach: „Nie chce mi się siusiu, nie chce. Nic nie piłam. Nie może mi się chcieć siusiu”. Poczułam ciepły strumień między nogami. Zdawało mi się, że trwa to bardzo długo. Zrobiło mi się cieplej. Po paru minutach znów było tylko zimno. Dostałam dreszczy. Na szczęście deszcz szybko przestał padać. Duża, czarna chmura odpływała i wyrzało słońce. „Dzięki Ci, Boże”, pomyślałam i prosiłam: „Nie pozwól, żeby teraz wrócili. Niech wyschnę. Może nie zauważą”.

Zza pleców usłyszałam rozkaz brata:

– Mała, bierz rzeczy i na trzy do nas.

Odwróciłam się. Siedzieli pod daszkiem. Musieli tam być już dłuższy czas, bo na ziemi leżały puste butelki. Każdy z nich trzymał w ręku piwo. Koledzy brata popijali, a on machał na mnie ręką. Nie zawołał mnie wcześniej, musiał się dobrze bawić. Pomyślałam: „To też mój dobry uczynek. Mieli rozrywkę, przyglądając się, jak próbuję okryć sobą ich ubrania i buty, by nie zmokły”. Szłam powoli, żeby niczego nie pogubić. Za opieszałość brat przy chłopakach najwyżej wykręci mi rękę. Gdy coś upuszczę, może być dużo gorzej. Będę musiała to podnieść i zobaczą moje mokre majtki. Krzyśka bym przeżyła. Ale był z nimi Wojtek

ze swoim młodszym bratem, który mi się podobał. Z zadością patrzyłam, jak się wzajemnie traktują. Też bym tak chciała. Marzenia w głowie, rzeczywistość tuż koło mnie. Krzyśka rozpierała duma, patrzył na mnie jak na ulepione przez siebie dzieło, i z zadowoleniem skomentował:

– Wytresowana. Bez rozkazu pana nie ruszy się z miejsca. A ty, Wojtek, chciałeś ją wołać i wszystko zepsuć. Ja ją wychowuję, nie wtrącaj się. Wystarczy, że rozpuściłeś swojego. To jeszcze mogę zrozumieć, bo to chłopak. Dziewczyne trzeba uczyć moresu. Musi znać swoje miejsce na ziemi. Może wychowam ci babę dla brata. Jeszcze mi podziękujesz – rechotał, otwierając zębami kolejną butelkę.

Brali z moich rąk swoje rzeczy i ubierali się. Z grania nici. Na murawie pełno wody, a i piwo ich rozleniwiło. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu. Poczuć się bezpieczna, w szafie. Krzyśkowi upadł but. Tuż za mną. Schyliłam się natychmiast, żeby go podnieść. Wtedy brat krzyknął:

– Zobaczcie, ona ma cały tyłek mokry. Zsikala się w majtki.

Nie słyszałam niczego więcej. Bez pozwolenia zaczęłam biec w stronę domu. Dogonił mnie. Wykręcił rękę i pchnął na schody, sycząc:

– Popamiętasz mnie. Kazałem ci wracać, nie posłuchałaś, musi być kara.

Otworzył drzwi do mieszkania, walnął mnie w plecy, żebym weszła pierwsza. Mama, trzymając się za serce, cichym głosem powiedziała:

– Syneczku, przeziębisz się. Szybko bierz gorącą kąpiel.

– Wycierając mu włosy ścierką, spytała: – Pileś?

Odsunął ją i zdenerwowany wykrzyczał:

– To przez tę rozpuszczoną smarkatą. Nie mam siły do tej dziewczuchy. Robię, co mogę. Uczę. Pilnuję. Zapewniam

rozrywki. Chciałem, by miała fajne urodziny. Nawet zaprosiłem kolegów na piwo. (Dlatego piłem, mamusiu). Żeby jej sprawić przyjemność. Taki mały dobry uczynek dla siostry. Ty wiesz, co ona zrobiła? Zeszczala się w majtki. Przy moich kumplach. Jakby nie umiała iść parę metrów do toalety. Albo chociaż za drzewo. Ona to zrobiła na oczach moich znajomych. Skompromitowała mnie. Mam nienormalną siostrę. Skończyła dziewięć lat, a zachowuje się jak smarkacz. Ryczy i biegnie ulicą. Ludzie pomyślą, że ktoś ją katuje, i doniosą do opieki. Trzeba coś zrobić. Ty jej pobłażasz. Już dawno po szkole powinna zająć się domem. Ja się staram, jak mogę, ale wszystkiego sam nie zrobię. Tobie nie wolno, jesteś chora. Ojciec zapracowany. Od jutra ona sprząta, pierze, chodzi po zakupy i gotuje. Ty jej tylko mówisz, jak to robić. Gdy się spisie, w niedzielę będzie mogła iść po mszy na godzinę do koleżanek. Koniec z pobłażliwością. Wy jesteście dla niej za dobrzy. – Od dłuższego czasu ojciec stał w drzwiach i przysłuchiwał się jego monologowi. – Dla jej dobra trzeba to zmienić. I nie dyskutujcie ze mną, bo mamę rozboli serce. Tato, a ty się połóż. Idiotka odgrzeje ci obiad.

– To nie było tak. – Dygocąc z zimna, próbowałam zwrócić ich uwagę.

Nikt mnie nie zauważał. Matka przytulała Krzyśka, a ojciec obejmował i jego, i ją. Brat patrzył na mnie z triumfem, a jednocześnie z tak morderczą wściekłością, że kuliłam się ze strachu przed samym jego wzrokiem.

– Zobaczcie, jeszcze próbuje coś kręcić – powiedział.

– Boże, jak ona wygląda – krzyknęła zdenerwowana mama. – Ludzie ją widzieli. Co sobie pomyślą? – pytała przeżona, patrząc to na ojca, to na syna.

– Tylko wstyd, utrapienie i gęba do wykarmienia – skomentował tata. – Nie potrafi nic docenić. Nic dobrego dla rodziny nie robi – ocenił. – Czułem to od początku. Przewidywałem skutki – przypomniał mamie. – Rób, synu, wszystko, co uważasz za słuszne. Spróbuj, może tobie się uda zrobić z niej człowieka. Ja jestem zmęczony i idę spać. Jeść mi się odechciało.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Zaczekaj. – Krzysiek go zatrzymał. – Posłuchamy, co ma do powiedzenia. Trzeba być ludzkim i dać jej się wypowiedzieć.

Pocałował rękę mamy, która cały czas go przytulała.

– Zabrałem cię ze sobą? Tak czy nie?! – krzyknął niespodziewanie do mnie.

– Tak.

– Zeszczalaś się w majtki? Tak czy nie?!

Gdyby jego wzrok mógł zabijać, byłabym martwa.

– Tak.

– Widzieli cię moi koledzy? Tak czy nie?!

– Tak.

– Bez powodu biegłaś jak idiotka ulicą i beczłaś, mimo że prosiłem, żebyś się zatrzymała? Tak czy nie?!

Jego szyderstwo spowodowało moją dziwną reakcję. Uspokoiliam się. Przestałam drzeć i wyraźnie, ze spokojem i pewnością, odpowiedziałam:

– Tak.

Słowo Krzysia było święte. Obowiązywało od zaraz. On (tak w myślach zaczęłam nazywać brata) poszedł do łazienki wziąć długą, gorącą kąpiel. Tata z mamą zjedli i się położyli. Ja zajęłam się sobą. Zmieniłam ubranie (wymyję się, gdy on wyjdzie z łazienki), przeniosłam połówkę

do kuchni. Zrobiłam herbatę. Usiadłam i przypomniałam sobie słowa księdza: „Pokorne cielę dwie matki ssie”. Zrozumiałam najważniejsze i nakazałam sobie: „Ucz się od niego jak najwięcej, byś mogła pokonać go tym, czego cię nauczy. Musisz uzbroić się w cierpliwość. Patrz i obserwuj. Nie rozumiesz, pytaj, ale tylko obcych ludzi”. Zastanawiałam się: „Kogo pytać? Może w szkole? Na pewno nie wychowawczynię, bo wezwie matkę. Ta od gimnastyki jest fajna. Może ją?”. Radziłam sama sobie: „Tylko mądrze pytaj”. I pomyślałam: „Moje urodziny. Mam prawo do życzeń. Boże, spraw, bym szybko się nauczyła”. W szkole mówią, że jestem pracowita i dlatego nadrabiam brak polotu. On ma polot. Szybciej się nauczył. Jest starszy o pięć lat. Ja będę się bardzo starała, żeby dokładnie przerobić niezbędny materiał. Częściej będę chodziła do księdza. Jeśli chce, żebym robiła dobrze jemu, niech też zrobi dla mnie dobry uczynek i nauczy mnie, jak postępować, żeby ludzie widzieli mój wysiłek. Mama mówi, że prasuję obrusy lepiej od niej, a uczyłam się tylko parę nocy. Nauczę się czynić ludzi dobrymi, a ich – dobrze mnie oceniać. Ze złożonymi rękami wyznałam: „To jest, Boże, moje jedyne urodzinowe życzenie”.

Byłam wściekła na brata. Wiedziałam, że go nie Kocham. Zdawałam sobie sprawę, że to grzech. Tego dnia go zniechęciłam. Postanowiłam zrobić dla niego coś dobrego. Zabrałam łóżko i wyniosłam do kuchni. Będzie miał pokój dla siebie. Ja będę wolna. Chociaż trochę. Od trzymania zamkniętych oczu (nie będzie mnie obserwował), od siedzenia na podłodze i czekania na jego polecenia (nie będzie się przecież darł przez cały pokój, obudziłby rodziców), od kuksańców z miłości, po których miałam siniaki. Zostaną te

za karę, ale będą rzadsze. Obiecałam sobie, że postaram się nie dawać mu powodów do karcenia mnie.

W nocy nie mogłam spać. Z radości. Zrobiłam coś dobrego dla niego, pierwszy raz jednocześnie uszczęśliwiająca siebie. Nauka nie poszła w las. Powiedział, że byłby szczęśliwy, gdybym się nie urodziła (na to nic nie poradzę) lub chociażby gdybym zniknęła z jego pokoju (to już załatwione), a najlepiej z jego życia (to jeszcze przede mną, to mój cel numer jeden). Gdy uszczęśliwię jego, szczęśliwi będą też rodzice.

Minęło parę lat. Umiałam gotować, sprzątać, prasować, prac. Co najważniejsze – umiałam już być całkowicie posłuszna bratu. Przychodziło mi to tym łatwiej, że często nie było go w domu. Pił, włóczył się nocami, spał nie wiadomo gdzie. Czasami zatrzymywała go policja. Mama była coraz bardziej chora. Ojciec wolał pić piwo z kolegami, niż wracać do domu. Miałam wreszcie trochę swobody. Gotowałam na cały tydzień. Mroziłam, oczywiście ich o tym nie informując. Nie pytali, więc po co miałam mówić. I tak było im ze mną dobrze. Mieli gorące posiłki i czyste ubranie. Ja miałam czas. Uwijałam się szybko z robotą w domu i mogłam odrabiać lekcje. Ustnych uczyłam się w nocy, ale przy latarce. Ojciec nie pozwalał mi niepotrzebnie zużywać prądu.

Kiedyś pokazałam gimnastyczce (bardzo ją polubiłam, ona mnie chyba też) słowa księdza, które sobie zapisałam. „Czyny są dobre, jeśli przyczyniają się do szczęścia, złe, jeśli do czegoś przeciwnego. Przez szczęście rozumie się przyjemność i brak cierpienia, przez nieszczęście – cierpienie i brak przyjemności”. Uważałam księdza za najmądrzej-

szego człowieka (do uczenia dobroci znalazł już sobie młodszą dziewczynkę). Gimnastyczka powiedziała, że to nie jego słowa, tylko Johna Stuarta Milla, angielskiego filozofa. Wytłumaczyła, że ludzie często zapożyczają cudze myśli i przedstawiają jako własne. Chcą w ten sposób wydawać się mądrzejsi w oczach innych. I pouczyła:

– Czytaj dziecko sama. Masz już czternaście lat. Dużo się nauczysz. A gdy cytujesz innych, zawsze podawaj nazwisko autora. To jest prawdziwa mądrość.

Nie miała racji. Niby dorosła, a nic nie rozumiała. Nie pytałam, czy to są słowa księdza, więc po co miał mówić. Nie kłamał, po prostu nie powiedział wszystkiego. To jest prawdziwa mądrość, której już dawno nauczył mnie mój dobry brat. Mów tyle, ile trzeba, i ani słowa więcej...

Nasza sąsiadka, pani Danusia, uśmiechnęła się serdecznie na mój widok.

– Jak dobrze, że cię spotkałam, Dorotko. Do mamy wpadnę później. Wróciłam wczoraj od siostry. Proszę, to dla ciebie, może coś ci się z tych rzeczy przyda, jeśli nie, oddasz komuś innemu.

Zawsze tak mówiła, żebym nie czuła się skrępowana. Przywoziła używane rzeczy siostrzenicy. Skakałam z radości. Były tam modne ciuszki, parę razy założone, niektóre chyba nawet nowe. Rodzice też dbali, żebym miała się w co ubrać. Z konieczności jak najtaniej. Krzyś dużo kosztował. „On rośnie, potrzebuje odżywek. Siłownia wyczerpuje. Musi być ubrany, dla chłopca to ważne, żeby czuł się dowartościowany”, czasami czuli, że powinni mi to wytłumaczyć. „U baby ważne są cycki i dupa. Widać, że będziesz je miała w odpowiednim wymiarze. Nie skąpimy ci jedze-

nia”, pijacki skrzek ojca zawsze wzbudzał we mnie obrzydzenie. „Naucz się gotować, prac i sprzątać, żadna kiecka tego nie zastąpi” – to nauki mojego rodziciela. Ojciec do tej pory mnie nie zauważał, ale też nie był napastliwy ani złośliwy. Nie istniałam i tak było dobrze. Niestety coraz więcej pił i zmieniał się w ordynarnego, czepiającego się o byle co faceta. Pamiętałam, żeby w domu zawsze było piwo, bo tylko tak udawało się go udobruchać.

Dostałam się do liceum. Pani od gimnastyki bardzo mi pomagała. Z czasem zaczęłam ją traktować jak starszą siostrę i opowiadałam jej nieco o swoim życiu. Nie, nie mówiłam o dobrych uczynkach. Pytała o mamę, ojca, brata. Czasami o to, jak wygląda mój wolny dzień – sobota.

– Opowiedz mi cały dzień. Tak, jakbyś pisała opowiadanie. Będziesz miała wprawkę z polskiego – prosiła. I opowiadałam. – Dorotko, jesteś bardzo zdolną dziewczyną. Nie masz za wesoło w domu, ale to się kiedyś zmieni. Jesteś warta kochania i ludzie cię pokochają. Uwierz w siebie. Musisz skończyć szkołę. Wykształcenie to podstawa, żebyś ułożyła sobie życie. Będzie dobrze – często podnosiła mnie na duchu i dodawała wiary w siebie.

Kiedyś zaproponowała:

– Porozmawiam z twoją mamą. Powiem, że musisz brać udział w dodatkowych, ale darmowych zajęciach. Możesz przychodzić do mnie i w spokoju się uczyć. Chcesz?

Tak. Tak. Tak. Rozpłakałam się na myśl, że obca kobieta ma dla mnie tyle serca, i wyszlochałam:

– Pani jest dla mnie taka dobra. Dziękuję.

Uściskała mnie i powiedziała:

– Dorotko, bądź dobra dla ludzi. Dobro przyciąga dobro.

Chodziłam do niej dwa razy w tygodniu. Na około trzy godziny. Gdy posprzątałam, pozmywałam, poprasowałam („Jakbyś była taka dobra i mi pomogła, nie mam zupełnie czasu, a to zajmie ci tylko momencik”), miałam chwilę dla siebie. Było fantastycznie, a ja czułam się przeschęśliwa. Spokój, przyjemny zapach (u nas zawsze śmierdziało dymem, piwskim i kapustą – ulubionym daniem ojca), przepyszna herbata, cały stół dla mnie. Dobrze mi się uczyło. Otworzyłam książeczkę z aforyzmami. Dostałam ją od gimnastyczki na urodziny.

Rozdział: „Dobro”. Przeczytałam pierwszą myśl: „Ludzie zawsze będą dla ciebie źli, jeżeli konieczność nie zmusi ich do tego, by byli dobrzy”. Nauczyłam się jej na pamięć. To następne przykazanie, które miało mi ułatwić pomaganie ludziom w byciu dobrymi...

Moje szesnaste urodziny. Spokój. Stół oświetlony. To blask świeczek na moim olbrzymim urodzinowym torcie. Przyozdobiony jest szesnastoma dużymi krwistoczerwonymi różami. Na stole stoją wysokie kieliszki do szampana z mieniącego się szkła. Przed nimi karteczki z imionami zaproszonych gości. Obok leżą małe prezenciki dla każdego. Nie tylko ja mam się cieszyć z prezentów. Oni też. Zaprosiłam wszystkich znajomych. Tych, na których mi zależy. Wśród nich i panią od gimnastyki, bo jeszcze długo będę potrzebowała jej pomocy. Dwie koleżanki, jedna świetna z polskiego, druga z matmy. Dają mi odpisywać, ja im pomagam z chemii i fizyki. Syna sąsiadki, który mnie bronił, a ja go kryłam. Byliśmy sobie potrzebni. Młodszego brata Wojtka, kopalnię wiedzy o tym, co robi Krzysiek. Syna i córkę dyrektora szkoły (z oczywistych powodów). Syna woźnej (to ona

ułatwia mi wcześniejsze wychodzenie z lekcji. „Pani profesor, Dorota ma iść do... natychmiast, bardzo pilna sprawa”).

Zaprosiłam wszystkich, którzy są dla mnie ważni. Razem robimy dobre uczynki. Na honorowym miejscu posadzę panią Danusię. Jediną osobę, od której uczyłam się, co to przytulenie, pogłaskanie, pocałowanie – matczyne. To ją, siedząc w szafie i rozmawiając z tą drugą w sobie, z Dorotką, nazywałam swoją matką. Gdy tylko przeczytałam o Calineczce, wyobrażałam sobie, że ukradła mnie wstrętne ropucha. Zmieniła tak, że ona nie wie, kim jestem. Jednak jej serce mnie rozpoznaje. Zasypiałam, marząc, że przyjdzie czas, gdy będziemy razem.

Mama śpi. Poprałam i poprasowałam wcześniej. Obiad ugotowany. Odmrażają się zupa i kapusta. Ziemniaki tylko do podgrzania. Mogę spokojnie oczekiwać gości.

– Dorota, co tak stoisz jak słup soli i wpatrujesz się w pusty stół? Nie masz co robić? Tylko marnujesz czas. Do garów. Obiad szykuj – wrzasnął już od progu ojciec.

– Dziś są moje urodziny – usprawiedliwiłam się. – Już ci podaję. Wszystko przygotowane. Możesz siadać do stołu.

Chciałam pobiec do kuchni.

– Stój! Co ja mogę, to sam wiem! Ty mi nie będziesz tego mówić, szatański pomiole. – Rozsiadł się wygodnie na krześle. – Głodny jestem. Ile mam czekać?

Pobiegłam. Po chwili postawiłam przed nim zupę. Stałam niedaleko, żeby natychmiast, jak odłoży łyżkę, zabrać brudny talerz i pobiec po drugie danie. Skończył. Widać, że mu smakowało. Poprosił o herbatę i butelkę z wódką. Przyniosłam.

– Mam przynieść drugie danie już czy za chwilę?

– Czego się głupio pytasz!? Już.

Odkręcił butelkę.

Podeszłam do kredensu, chcąc wyjąć kieliszek. Zatrzymał mnie wrzask.

– Długo mam czekać?

Pił z butelki. Był bardzo czerwony na twarzy, musiał wcześniej sporo wypić. Po chwili postawiłam talerz na stole i stałam z boku, jak zawsze, by być na zawołanie.

– Przypominasz mi o swoich urodzinach, tak? – wycedził i spytał: – Matka śpi?

– Tak.

– Dlaczego stoisz i nic nie robisz? Bierz się do roboty.

– Wszystko zrobiłam. Muszę iść na dodatkowe zajęcia.

– Musieć to ty musisz porządnie posprzątać. – Przejechał tłustym, brudnym palcem po blacie stołu. – Widzisz? To ma być czyste?

Wiedziałam, że lepiej nie odpowiadać, przeczekać, aż będzie miał dość, wstanie, dotelepie się do kanapy i pójdzie spać.

– Twoje urodziny, powiadasz. Które to? – spytał. Widelec upadł mu na podłogę. Podniosłam, wyrwał mi go i wybełkotał: – Chodź tu bliżej.

Uszczypnął mnie w pośladek, klepnął mocno, aż się odsunęłam, i z obleśną miną chwycił za rękę. Przysunął do siebie i złapał za pierś. Bolało, ale nie czułam strachu. Już dawno przestał być mężczyzną. Słyszałam nieraz, siedząc w szafie, jak matka opowiada sąsiadce, że już mu nie staje. „Nie przeleci nawet sam siebie”, śmiała się.

– Twoje urodziny. Mówisz, szesnaste? Czas na prezent od ojca. Zdejmuj majtki. – Widząc, że stoję jak słup, warknął: – No już! Bo sam to zrobię. – I chyba chcąc mnie uspokoić, dodał: – Czego się boisz, głupia? Ojca się boisz? To

dla twojego dobra. Nawet cię nie dotknę. Brzydzę się tobą. W prezencie ocenię tylko, czy masz szansę na chłopa.

Zdjęłam.

– Teraz zdejmuj stanik. Nie, bluzki nie. Co ty mi chcesz tu z siebie robić? Spódnica ci ledwie tyłek zakrywa. To nie burdel z kurwami. To porządny dom. Pana tego domu masz przed sobą, to go szanuj, a nie cyckami będziesz świecić.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Nie odzywałam się. W butelce było już prawie widać dno. Powinien zaraz paść. „Co jest? Czego ode mnie chce? Może mu jeszcze przynieść piwo? Nie, lepiej nie. Gdy się ruszę, będzie zły. Co on robi z serwetką?”

Darł ją na małe kawałeczki i rozrzucił po podłodze.

– Sprzątaj. Już. Rób to, co ci mówię. Nie tak, tyłem do mnie, bierz po kawałku. Podnieś, podejdź i schylając się, połóż na podłodze tuż przede mną.

Dyrygował mną, co chwilę zmieniając polecenia.

– Nie prostuj się jeszcze. Sięgnij w tej pozycji po kawałki leżące pod oknem. Znowu weź ten spod nóg. Teraz nachyl się na raz, wyprostuj na dwa. Raz. Dwa. Raz. Dwa – liczył, zmieniając tempo. – Do mnie. Zbierasz te przede mną. Raz. Dwa. Raz. Dwa. Tyłem. Szybciej, nie czujesz rytmu.

Zauważyłam, że twarz ma nabrzmiałą, a rękę trzyma w rozporku. Jeszcze trochę i tryśnie krwią. Zaśmiałam się sama do siebie. Za chwilę będę miała na stole krwistoczerwone róże. I prezent. Dla jego i mojego dobra.

– Dorota, przynoś na stół obiad. I piwo. Idę do łazienki.

Mama się obudziła.

– Ja się położę – krzyknął do niej ojciec.

Zerwał się, wyciągając rękę z rozporka i przewracając przy tym krzesło.

– Nie mogę już dłużej patrzeć na Dorotę. Mdli mnie. Ty zjedz, ja już po obiedzie. – Po czym syknął do mnie: – Doprowadź się do porządku i podaj matce obiad. Nic nigdy nie zrobisz dobrze, darmozjadzie.

Byłam szybka. Majtki. Stanik. Otarłam pot ścierką i obiad stał na stole wraz z wejściem mamy do „salonu”.

Przy niej nie musiałam stać, wołała, gdy czegoś chciała. Poszłam do kuchni pozmywać. Woda ciekająca z kranu zdawała się do mnie mówić: „Cierpliwości, ucz się cierpliwości. Przyjdzie czas na prezent. Podwójny. Wiara nakazuje nam być dobrymi. Kochać wszystkich. Przyjaciół i wrogów”.

Tak mówił ksiądz. Spytałam: „I wrogów?”. Odburknął: „Powiedziałem »wszystkich«. Czy ty zawsze musisz zadawać głupie pytania?”. Mimo to dopytałam, bo wiedziałam, że nie jest zły, tylko stary: „Jak odróżnić jednych od drugich?”. „To proste”, powiedział. „Z reguły są to ci sami ludzie”, zaśmiał się. Powtarzał mi często: „Więcej pokory, dziecko. Modlitwa ma być pokorna. Wiara potężna. Nadzieja silniejsza od wszystkiego, co się jej może sprzeciwić”. Byłam pewna, że moja nadzieja jest wielka. Silna. Nic ani nikt się jej nie sprzeciwi. Muszę tylko jeszcze trochę poczekać. Dwa lata. Będę pełnoletnia i wezmę los w swoje ręce.

Skończyłam zmywać. Rodzice po obiedzie. Ojciec śpi. Mama ogląda telewizję. Mój prezent urodzinowy na razie jest tylko marzeniem. Teraz za podarek od Boga wystarczy mi spokój. Zdrętwiałam, słysząc hałas na klatce. Walenie do drzwi i głos brata:

– Mamo, ojczy, idzie wasz syn. Dorotko-idiotko, wyjmuj piwo!

Już był w mieszkaniu. Widząc mnie samą, wrzasnął jeszcze głośniejsze. Pomogło. Mama, szczęśliwa, najpierw poszła

obudzić ojca, potem przybiegła do przedpokoju ucałować syna. Tata też wygramolił się z łóżka. Był w samej górze od piżamy. Jedną ręką przytrzymał róg koszuli, żeby zasłonić przyrodzenie, drugą wyciągnął do Krzyśka. Weszli do pokoju. Postawiłam na stole piwo i chciałam wyjść.

– Dorota, stój. Nie pozwoliłem ci wyjść. Gdy mnie nie ma, rób, co chcesz. Gdy jestem, słuchaj mistrza. Dziś twoje urodziny. Widzisz, jakiego masz dobrego brata. Pamięta.

Mama podsunęła mu krzesło i pomogła usiąść. Chwiały się na nogach. Patrzył na mnie, a ja widziałam w jego spojrzeniu ochotę na doładowanie akumulatorów. Dla mnie nie wróżyło to nic dobrego. Czułam, jak każdy kawałek mojego ciała drętwieje. Zamienia się w drewno. Znów będę kukłą. On będzie pociągał za sznurki. Ostatnio tak sobie poprawiał humor, gdy sam oberwał pod budką z piwem. Musiałam tylko wyłączyć mózg. Coraz trudniej mi to przychodziło. „Nie pozwalaj mu. Postaw się”, nakazywała odważna Dorota. „Nie umiem, jeszcze nie umiem”, odpowiadała Dorotka-idiotka.

– Pamiętacie, jak się w swoje urodziny posikała? – bełkotał Krzysiek. – Ale było śmiechu! Ciągle widzę jej minę i od razu mi się humor poprawia. Dziś też ci sprawię prezent. Umówiłem się z kumplami. Pójdziemy popływać. Za chwilę. Najpierw pogadam ze staruszkami, im też się coś od syna należy. Za dziesięć minut masz być gotowa – rozkazał. – Mamo, daj dwie dychy. Coś z tej okazji trzeba kumplom postawić. Za friko to ja mogę zrobić coś dobrego dla Doroty. Piwa za dobroć nie sprzedają.

Był w swoim żywiole.

Mama siedziała wpatrzona w niego jak w święty obrazek. Spojrzenie ojca wyrażało dumę i aprobatę dla wspa-

niałego syna. Na mnie nigdy nie patrzył, najwyżej świdrował mnie wzrokiem. Nie obchodziło ich, co myślę, co czuję, a tym bardziej co mam do powiedzenia. Tym razem nie chciałam, ale musiałam coś powiedzieć. Właściwie to nie ja mówiłam. To Dorota, która była we mnie. Dorota, która się buntowała. Snuła plany. Wyciągała wnioski. Przygotowywała się do zastąpienia mnie. Tylko jej głos też był piskliwy i przepełniony strachem.

– Dziękuję za twoją dobroć, mistrzu. – Tak od dziecka zawsze musiałam mu dziękować. Za szczypanie, szturchanie, wyzywanie. Za wszystko. Nawet za to, że mogłam mu przynieść piwo czy uprać skarpetki. Za szansę, którą mi dawał, żebym mogła być dobra. – Wiem, że chcesz zrobić to dla mnie. Chcesz, bym dobrze się dziś bawiła. Bardzo bym chciała iść, ale dziś nie mogę się kąpać. Boli mnie brzuch. Nie pójdę.

Po chwili wychodziliśmy z domu. Trzymałam się za policzek. Czułam, jak puchnie i pulsuje. W ustach miałam smak krwi. „Widzisz, Doroto, chciałaś krwistoczerwonego koloru na urodziny, to go dostałaś”, oceniłam się sama i pouczyłam: „Jeszcze nie czas na nieposłuszeństwo. Rób, co ci każe. Dokładnie tak, jak każe. Nie ma usprawiedliwiania się. Rozkaz ma być wykonany. Wykonuj i miej nadzieję”. On szedł pierwszy. Ja za nim. Wybrał miejsce. Na szczęście kumpli jeszcze nie było. Marzyłam, żeby nie przyszli.

– Tu będziesz siedzieć. – Oczywiście wskazał najbardziej zacienione miejsce. – Pilnuj ubrania i butów. Gdy przyjdą, ich rzeczy też przypilnujesz. Przypominam: nie wolno ci się ruszyć bez mojego pozwolenia. Nawet jeśli miałabyś się znów zsikać. Cha, cha, cha. Nie posłuchasz, dam ci kolejną lekcję, jak być dobrą. Grosza już nie wydasz na dentystę.

Idę poskakać z kładki. Możesz podziwiać. Powiedz chłopakom. Zaraz powinni tu być. Zrozumiałaś? Na trzy!

– Tak.

Odszedł chwiejnym krokiem w stronę rzeki. Wiedziałam, że jest pijany. On nie wiedział. Im bardziej był pijany, tym solennie zapewniał, że jest trzeźwy. Wiedziałam, że ostatnio wybierali tu piasek koparką i powiesili tabliczkę: „Pogłębiane dno. Kąpiel wzbroniona. Grozi śmiercią lub kalectwem”. On nie wiedział. Nawet nie próbował jej przeczytać, trzymając się przez chwilę słupa, na którym wisiała. Wiedziałam, że zważyło się drzewo i część pnia nadal leży tuż przy kładce. Tego też nie wiedział. Wiedziałam, że Bóg daje mi szansę. On wiedział tylko tyle, że ma skakać. Zamknęłam oczy i szybko je otworzyłam. Bałam się, że zasnę. Bałam się, że nie będę mogła ich otworzyć, dopóki nie usłyszę: „Dorotko-idiotko, otwórz oczy. Na trzy!”. A może nigdy już tych słów nie wypowie? Patrzyłam, jak chwieje się na kładce, jak próbuje utrzymać równowagę, przyjąc postawę do skoku. Ręce mu opadają. Znow próbuje. I znow. Zawsze był uparty. Musiał postawić na swoim. Śmiesznie to wyglądało. Mimo bólu uśmiech skrzywił moje wargi. Usłyszałam głos Doroty: „To ten czas. Właściwy czas. Skacz. Na trzy! Na trzy!”. Dorotka-idiotka skuliła się i czekała na wykonanie polecenia. Plusk. Po chwili krzyk: „Ratunku”. Poszedł pod wodę. Wynurzył się na chwilę: „Ratunku”. Już ciszej. Jeszcze widać dłonie. Już nic nie widać, prócz skotłowanej wody. Coraz mniejsze kręgi, coraz słabsze, słabsze, a po chwili już tylko gładka tafla. Cisza. Nawet wiatr ustał.

Przez gałęzie przebijało słońce. Promienie gładkały mi twarz, jakby chciały powiedzieć: „Dorotko, to prezent od niego na twoje urodziny. Ten jeden za wszystkie inne. Za

wszystkie okazje. Za imieniny, za święta i na przeprosiny za zło, które czynił, żeby nauczyć cię, jak być dobrą. To zło było dużo mniej warte od dobra, które mogłaś dzięki temu czynić. Byłaś pokorna, byłaś posłuszna. Za niewykonanie rozkazu czekałaby cię kara. Przecież nie wołał: »Dorotko-idiotko ratuj. Na trzy!«. Że niby to zło? Jakie zło! Pamiętasz, jak wyniosłaś się do kuchni, żeby miał pokój dla siebie? Obiecałaś sobie wtedy, że spełnisz jego życzenie. Zrobisz dla niego coś dobrego i nigdy cię już nie zobaczy. Dziś miałaś okazję spełnić tę obietnicę. Przypomnij sobie, że jutro jest ściśle powiązane z wczoraj. Co zrobisz dziś, wpłynie na to, co zdarzy się jutro. To, co dla jednego dobre, dla innego może być złe. I odwrotnie. Musisz się nauczyć wybierać pomiędzy dużym złem i małym dobrem. Jeśli chcesz nauczyć się kierować swoim życiem, masz tylko taki wybór”.

Wieczorem dostałam jeszcze jeden prezent. Od samej siebie: „Od dziś rządzą ja – Dorota. Dorotkę-idiotkę chowamy głęboko do środka. Niech sobie odpocznie, malutka...”.

E-mail nr 3

...*Progne subis*. Przepraszam, że nie odpisałam od razu. Dopiero dziś odczytałam Twoją wiadomość. Poprawiłeś się. Za słowa: „I ona, i on to *homo sapiens*” dostajesz ode mnie mały plus, a dodatkowo też duży za właściwą kolejność wymieniania płci. Napisałeś też: „Zalety i wady podobne”. Wymazałam ci minusa. Teraz masz czyste konto. Przynajmniej u mnie. Pytasz, czy masz pisać o sobie? Sam musisz sobie odpowiedzieć. Przyjdzie właściwy czas, napiszesz. Nie przyjdzie, nie pogniewam się. Mam prośbę. Odzywaj się do mnie raz w tygodniu, nie czekając na wiadomość ode mnie. Chcę

tylko wiedzieć, że ktoś o mnie myśli. Wystarczy, że napiszesz „OK”. Tylko koniecznie w poniedziałki. Pamiętaj. To znaczy w każdy inny dzień też, ale zawsze w poniedziałki. Na dobry początek tygodnia. Na razie musi mi wystarczyć poznawanie Cię bez Twojego czynnego udziału.

Oczywiście, że Rodowicz. Nie dziwi mnie, że też nucisz jej piosenki. Pytasz z daleka: „Dlaczego?”. To proste. Śpiew jaskółczaka modrego służy do oznaczania granic własnego terytorium gniazdowania i do jego obrony przed rywalami. Piosenki jaskółkowatych są zwykle seriami prostych, niekiedy całkiem miło brzmiących świergotów. Świergocz (wiem, że znasz odpowiednią tonację). Trzeba bronić swoich granic.

Prosisz o rozwinięcie słów: „Było i nie wróci więcej”. W bajce Andersena, jak to w bajce, znalazły się pomocne dłonie. Małym rybkom zrobiło się żal dziewczynki. Odgryzły liść i uwolniły Calineczkę. Liść popłynął. Daleko od ropuszej rodziny. W mojej bajce Calineczka musiała walczyć o siebie sama. Próbowwała być dobra. Spełniać dobre uczynki. Zastużyć na trochę miejsca, ciepła i pokarmu. Dla *Bufo bufo* była tylko pasożytem. Modliła się do Boga: „Panie Boże, słyszałam, że najwyższym stopniem wyrażenia swej siły i potęgi jest dawanie. Widzisz, że ja daję wszystko, co mam. Daję całą siebie. Mnie nikt nic nie daje. Ty jesteś potężny. Silny i mocny. Pomóż mi. Daj mi coś, dla mojego dobra. Pasożyt też jest twoją owieczką. Amen”.

I dobry Bóg wysłuchał. Dał jej moc najgroźniejszego pasożyta ropuch – muchy ropuszanki. Złożyła jaja do jam nosowych Adonisa, a potem ropuchowatych rodziców. Wylęgły się larwy. Umieściły się w otworach nosowych i oczodołach. Stopniowo wyjadały ciało, omijając główne narządy, żeby nie spowodować zbyt wczesnej śmierci żywiciela. Zarażone ro-

puchy zachowują się nietypowo – nie reagują na zagrożenia. Wychodzą w słoneczne dni na otwarte przestrzenie. Giną. Czyli właśnie: „Było i nie wróci więcej”. Pa.

P.S. Dorosła Calineczka uwielbia krwistoczerwone tulipany. Czasami miesza je w wazonie z żółtymi.

Rozwinięcie do e-maila nr 3

Po pogrzebie Krzyśka mama zamknęła się w jego pokoju. Wychodziła tylko do łazienki. Nie pozwoliła ruszyć żadnej z jego rzeczy. Spała w jego łóżku, w jego pościeli. Czesłała się jego grzebieniem. Ojciec i ja dla niej nie istnieliśmy. Jedzenie zostawiałam pod drzwiami i zabierałam naczynia wraz z kartką, co ma być następnego dnia na obiad, co chce do picia. Co jakiś czas kładła też czyste przecieź koszule brata, jego podkoszulki, majtki, swetry i spodnie. Musiały pachnieć świeżością, gdy Krzysiek przyjedzie. Dla mamy on po prostu wyjechał. Na pogrzeb nie poszła. Jej syn by jej nie zostawił. Nie odszedł. Wróci, gdy tylko będzie mógł, albo da znać i ona pojedzie do niego. Do tej pory pilnowała wspólnych niedzielnych wyjść do kościoła na msze. Byliśmy bogobojną, porządną rodziną. Tu nikt nikogo nie bił. Nikt nie urządzał pijackich burd. Rodzice dbali o dzieci. Dzieci o rodziców. Brat opiekował się młodszą siostrą. Siostra słuchała brata. Syn był zadbany. Córka nauczona obowiązków domowych. Z sąsiadami utrzymywaliśmy poprawne stosunki. Przeciętna rodzina, jakich wiele.

„Cichoccy to porządni ludzie. Nie przelewa im się, ale żyją zgodnie z przykazaniami Bożymi. Świetnie wychowali córkę. Z chłopakiem mieli trochę kłopotów. Normalne,

jak z większością nastolatków. Ale jaki był zawsze dobry dla siostry. Brał ją wszędzie ze sobą. Pilnował. Opiekował się. Matkę po rękach całował i to przy ludziach”, wyraźnie słyszałam szepty sąsiadów stojących przy grobie za mną i ojcem. Słuch miałam wyostrzony. Gdy się nie widzi, słuch i dotyk zastępują wzrok.

„Boże, wysłuchaj mnie tu nad grobem brata. Tak żyje przeciętna, bogobojna rodzina. Nie chcę stworzyć przeciętnej rodziny, nie chcę być tak bogobojna, nie chcę być świetnie wychowaną córką. Boże, z pokorą i wstydem wyznaję, że chyba ciężko zgrzeszyłam. Bojąc się kary brata, nie ruszyłam się z miejsca, zdając się na Ciebie. Święty Augustyn powiedział, że pokora i wstyd po uczynionym grzechu są daleko miłsze Bogu niż pycha po spełnieniu dobrego uczynku. Przyrzekam, nie będę grzeszyła pychą po spełnionym dobrym uczynku. Jeżeli zgrzeszę złym, z pokorą i wstydem przyjdę prosić Cię o wybaczenie...”

Przygotowałam stypę. Tak kazał ojciec. Matka na czas pogrzebu przeniosła się do pokoju Krzyśka. Wpuszczała tylko sąsiadkę, panią Danusię. Jeszcze gdy mój brat żył, siedząc w szafie, słyszałam jedną z ich rozmów. Mama nie chciała dzieci. Poroniła dwa razy. Uważała, że jest już za stara na macierzyństwo. Ojciec zagroził, że ją zostawi. Chciał mieć syna. Urodził się Krzyś. Dumny rodzic pokochał swoje przedłużenie. Z każdym centymetrem wzrostu syna rosła jego duma. Matka znów zasługiwała na miłość męża, za co pokochała potomka. Dzięki jego przyjsciu na świat odzyskała męża, chłopca, bezpieczeństwo. Była spełnioną, szanowaną przez ślubnego kobietą. Przecież urodziła mu syna. Szczęście kwitło.

I nagle grom z jasnego nieba. Ktoś rzucił na nich klątwę. Myślała, że to już menopauza i nie może zajść w ciążę. Krzysiek chciał brata. Ojciec mówił, że jeśli to będzie drugi syn, może to palec Boży. Dla dobra Krzysia. Wychowa sobie młodszego brata i będzie miał podporę w życiu, gdy ich już zabraknie. Szatan sprawił, że na świecie pojawiłam się ja. Na ich nieszczęście. Wstyd dla ojca. Rywalka do wszystkiego dobrego, co miało być przeznaczone tylko dla ich pierworodnego. Wtedy niewiele z tego rozumiałam. Może tyle, że wszystko należy się Krzyśkowi, bo mnie przyniósł szatan. Słowa sąsiadki zapadły mi głęboko w serce:

– Ja byłabym szczęśliwa – mówiła – mając przy sobie córeczkę. Bóg chciał inaczej i zabrał ją do siebie. W dodatku Dorotka jest taka śliczna i dobra. To takie ciche, skromniutkie, posłuszne dziecko. Tylko za rzadko się uśmiecha. Nie przytula jej pani? Nie pieści? Nie okazuje serca?

Mama tylko prychnęła. Wstała i przepaszając, skończyła rozmowę:

– Muszę odgrzać mężowi obiad. Rozumie pani, pani Danuto. Porozmawiamy innym razem. Zapraszam.

Od tamtej pory pani Danusia była dla mnie bardzo miła. Długo rozpamiętywałam każde przytulenie mnie, pogłaskanie, pochwalenie, prezent, pójście na lody. Przypomiinałam sobie o nich w najtrudniejszych momentach i to pozwalało mi wierzyć, że kiedyś będzie lepiej. Była jedyną osobą, która widziała we mnie dziecko. Bezinteresownie mnie lubiła. Co najważniejsze, była jedyną, którą i ja pokochałam całym sercem dziecka i kocham nadal.

Dowiedziałam się od niej, że matka przestała rozpaczać. Uspokoila się. Znow zaczęła się uśmiechać. Prosiła o czasopisma kobiece. Rozmawiała o modzie, urodzie i kosmety-

kach. O programach, serialach, filmach. Pani Danusia nie kryła przede mną swojego zdziwienia. Mama zamknęła się jak w klatce, a wyglądała, jakby wyfrunęła na wolność. Też mi się tak wydawało. Widziałam, że rozkłada koc na podłodze. Otwiera balkon i się opala. Byłam zaskoczona. Po śmierci syna ojciec przestał się nią interesować. Dla niego przestała istnieć. Ja i tak byłam przedmiotem, miotłą, wycieraczką – w zależności od tego, ile wypił.

Dla mnie rozpoczął się nowy okres w życiu. Zaczynałam być szczęśliwa. Spałam w „salonie”. Największy pokój-przedpokój był mój. Gościenna kanapa była dla mnie łóżem księżniczki. Połówkę wyrzuciłam, mimo że jeszcze nadawała się do użytku.

Ojciec próbował zakazać mi spania w pokoju. Już tylko próbował. Nauczyłam się być skutecznie dobra.

– Ojczy, śpicie teraz osobno. Ja muszę czuwać, czy czegoś nie potrzebujesz. Z kuchni nie usłyszę. Dzięki spaniu tutaj będę mogła natychmiast przynieść ci piwo. Chcę, żebyś wiedział, że staram się być dobra. Dla ciebie. Ty jesteś najważniejszy i ja to wiem.

Wyraźnie zadowolony, pokiwał głową.

Wyrzucenie mojego dotychczasowego drugiego (poza szafą) pseudoazylu było dla mnie symbolem otworzenia drzwi do nowej drogi. Drogi prowadzącej do szczęścia. Jeszcze nie widziałam jej końca. Ważne, że jeden gład, który pchałam przed sobą z syzyfową skutecznością, dzięki łasce Bożej zniknął. Pomału przestawałam się bać. Nawet ojca. Byłam już od niego wyższa, a i coraz silniejsza. Już odkryłam, że muszę mu patrzeć w oczy i nie spuszczać wzroku. To powodowało, że po chwili zapominał, co chciał powiedzieć, i wycofywał się do pokoju.

Ćwiczyłam przed lustrem. Łzy napływały mi do oczu, mrugałam. Trening czyni mistrza. Nauczyłam się patrzeć przez dziesięć minut w jeden punkt bez mrugnięcia. Tak, mój świętej pamięci bracie. Tron jest pusty. Sama się mianuję królową. Szykuję się do koronacji.

Niedługo matura. Pani od gimnastyki powiedziała, że w pokoju nauczycielskim uważają, że zdam i to dobrze. Pracy mam coraz mniej. Mięso gotuję i zamrażam. Naleśniki też. Zupy robię z torebek. Ojciec po pijaku nie zauważa. Matka się nie odzywa. Najwyżej nie je. Przestałam się przejmować jej kartkami. Nadal robię dobre uczynki. Już ich nie zapisuję. Alkoholu mają tyle, ile chcą. Moja gimnastyczka poradziła mi, żebym dolewała wody zarówno do wódki, jak i do piwa, bo i tak podaję im trunki w kuflu. Zaoszczędzę i będę miała parę groszy dla siebie, a im mniej procentów wyjdzie na zdrowie. Zrobię coś dobrego i dla siebie, i dla nich.

Jakie to robienie dobra zaczyna być proste! I nie boli. I nie trzeba się napracować. I ma się czas dla siebie. I można zanucić lub uśmiechnąć się do lustra. Już wiedziałam, że dobro i zło to syjamskie rodzeństwo. Teraz muszę się tylko dowiedzieć, które w danym momencie wybrać. Które pogłaskać, a które uszczypnąć, żeby osiągnąć coś dobrego dla siebie. Muszę być szczęśliwa. Dla dobra innych. Szczęśliwemu łatwiej jest być dobrym. Jeśli jest się tylko dobrym, mało kiedy podąża za tym szczęście...

Maturę zdałam. Egzaminami do szkoły policealnej – chemik analityk – też. Nie mogłam się uczyć. Ojciec przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Ich wspólne pieniądze ledwo wystarczały na opłaty czynszu, światła itp. Jedliśmy skrom-

nie i mało. Za to pili dużo. Już tylko pod ogórka i papierosa. Alkohol i fajki musiały być. Pogodzili się na tyle, że wspólnie przesiadywali u mamy w pokoju. Nie, nie u mamy. W pokoju ich jedyne szczęścia, dumy, nadziei, którą stracili przeze mnie. Tak mama mówiła do sąsiadki.

– Nasz dobry, kochany, uczuciowy chłopak chciał zrobić przyjemność tej zakale. Bóg nie jest sprawiedliwy. Zabrał nam jego, zamiast zabrać sprzed naszych oczu ją. Niedługo ją wyrzucimy z zakazem pokazywania się w domu. Mąż powiedział, że zrobimy sobie prezent. Wyrzekniemy się jej. Zapomnimy i będziemy żyć szczęśliwie. Wspominać Krzysia, Krzysiątko. – Strugi łez, łkanie, szloch nie pozwalały jej kontynuować. – Niech tylko skończy osiemnaście lat. Fora ze dwora. Mamy dość tego pasożyta.

Pani Danusia powtórzyła mi wszystko, prosząc:

– Dorotko, musisz pomyśleć o sobie. Najlepiej, gdybyś zatrudniła się jako gosposia z zamieszkaniem.

Była taka zatroskana i ciągle się usprawiedliwiała, że nie może mi pomóc. Nawet nie podejrzewała, ile jej słowa przyniosły mi otuchy i nadziei. Znow się modliłam: „Boże, pomóż mi ich uszczęśliwić. Już wiem, jak powinnam postąpić. Muszę zejść im z oczu. Na zawsze. Nie wiem tylko, jak to zrobić”. Myślałam, że po ich śmierci mieszkanie będzie moje. Ojciec mówił, że w testamencie zapisał je Krzyśkowi. Brat nie żyje, więc chyba zostanie dla mnie. Nie wiedziałam, jak postąpić.

Na początek postanowiłam poszukać pracy. Nie mogłam iść do szkoły. Za miesiąc miałam być dorosła. Wy tłumaczę rodzicom, że nie jestem pasożytem. Nie wyrzucą mnie. Powiem, że zarabiam dla nich. Kupię im lepszy alkohol i droższe papierosy, a do tego nadal będą mieli

ugotowane i posprzątane. Zapewnię, że żyję tylko po to, żeby im było dobrze. Będą mogli spokojnie wspominać Krzyśka. Byłam pewna, że wyklną mnie w prezencie urodzinowym, ale z domu nie wyrzucą. Na razie nie ma szansy ziścić się ich największe marzenie, czyli pozbycie się mnie, stracenie pasożyta z oczu raz na zawsze. Wiedziałam, że to ja muszę się wynieść, ale jeszcze nie teraz. Może kiedyś, z Boską pomocą, uda mi się to zrobić. Nie pamiętałam kto, ale ktoś ze sług Boga powiedział: „Wszystko, co nas spotyka – zdrowie czy cierpienie, dobro czy zło, chleb czy głód, przyjaźń ludzka czy niechęć, dobrobyt czy niedostatek – wszystko to w ręku Boga może działać ku dobremu...”.

Gimnastyczka znów okazała mi swoją dobroć. Znalazła rozwiązanie moich problemów.

– Dorota, mam do ciebie zaufanie. Za dwa tygodnie rodzę. Zajmiesz się dzieckiem, domem. Spać u nas nie możesz. Mąż się nie zgadza. Zarobisz mniej niż w sklepie, ale możesz u nas jeść. To, co ugotujesz dla nas. Trzeba sobie pomagać. Tylko nie wynoś. Im wystarczy wóda. Dla ciebie i tak byłoby lepiej, żeby się zapili na śmierć. Dla nich właściwie też. Nie widzieliby cię więcej na oczy. Cha, cha, cha. Dam ci mniej niż w sklepie. Za to będziesz miała wolne i będziesz mogła chodzić do szkoły wieczorowej. Rozmawiałam z dyrektorem. To mój znajomy. Poręczyłam za ciebie, pamiętaj. Do domu będziesz wracała późno, kiedy oni już padną. Wtedy przygotujesz im coś do jedzenia, posprzątasz, a raniutko wyjdiesz. Wszyscy będą zadowoleni. Wszystkim będzie dobrze.

Ucieszyłam się. Nie wiedziałam, jak jej dziękować. To znów był palec Boży. Teraz miałam pewność. Warto wierzyć. Ufać. Czekać z pokorą. I zapracować na szansę.

Przyrzekłam jej mężowi swoje dziewictwo, pod warunkiem że namówi żonę na zatrudnienie mnie do opieki nad dzieckiem. On będzie mi co miesiąc dorzucał nie mniej niż trzysta złotych („Chyba, że będziesz się bardzo starała, Dorotko, to dorzucę premię”).

Nie ma głupich. Muszę zapracować na tyle, ile potrzebuję. Już rządzi sobą Dorota (Dorotka-idiotka czasami tylko popłakuje, żali się, modli, boi). Policzyłam dokładnie. Trochę podbiorę od rodziców. Listonosz oddaje mi ich emerytury. Nie zorientują się. Powinno wystarczyć na wszystko. Ciuchy dostaję od pani Danusi. U niej jem i ciasto, i gorący kotlet schabowy. Odpadki mięsne na targu są tanie, kapusta też. Mogą jeść to, co lubią. Na chleb i na wodę im starczy. Lekarstw od dawna nie biorą. Ostatni raz, gdy prosiłam, żeby tata łyknął tabletki na nadciśnienie, twarz miałam zapuchniętą przez dwie doby. Siniaki pod oczyma schodziły tydzień. („Patrz matka, jakim dobry. Zafundowałem jej makijaż na parę dni”).

Wiedziałam, że to nie mąż gimnastyczki, tylko ona się boi. Była zazdrosna i wołała nie ryzykować. Czasami musiała nocować u chorej matki. Zostawalibyśmy sami. Wszyscy w okolicy mówili, że jej mąż każdą poniżej dwudziestki chętnie by przeleciał. O tym, że na mnie poluje, nie miała pojęcia. To, że ja jeszcze z nikim nie spałam, sama mu powiedziała. Nie znała zasady mówienia tylko tego, co konieczne. Jej mąż wyszeptał pieszczotliwie, śliniąc się:

– Dorota, musisz mieć dodatkowe pieniądze, żeby kupić sobie prezent. Ja ci chętnie pomogę pozbyć się błonki. Nie mam na koncie żadnej dziewczicy, będziesz pierwsza. Ja

tobie, ty mnie. Zrobimy dobre uczynki – mówił szeptem, sprawdzając, czy żona nie idzie...

Pamiętam wszystkie zapisane przykazania. Zbierałam je jak drogocenne perły. Wszystkie podpowiedzi, które jak drogowskazy zbliżały mnie do zostania królową. Mistrzynią dobroci. „Baby też potrafią”, mówiłam w myślach do zmarłego brata. „Udowodnię ci, że byłeś jedynie namiastką mistrza”.

Wiedziałam, że nie wolno lekceważyć nawet najmniejszego dobra, mówiąc: „To mi nic nie da”. Dzban napełnia się wodą kropla po kropli, podobnie jak mądry człowiek dobrem, gromadząc choćby jego najmniejsze cząstki. Nie wiem, od kogo to usłyszałam. Ważne, że zapamiętałam. Od kiedy pamiętam, wypełniam się dobrem. Przyjdzie taka chwila, że napełnię się cała. Po brzegi.

Marzyłam, że wtedy wyprawię sobie wspaniałe przyjęcie urodzinowe. Zaproszę rodziców, gimnastyczkę z mężem. Wiele innych osób. Szczególnie Krzyśka, bo to w jego obecności pragnę ogłosić się królową, tak żeby nie mógł nic zrobić, nawet słowa z siebie wydusić. Bóg musiał tego chcieć, żebym dobrem wypełniła się cała. Kapucyn, ojciec Pio, nauczał: „Nie odrzucaj krzyża, który niebiański Ojciec ci daje, ponieważ robi to, aby upodobnić cię do swego Boskiego Syna”. Sama założę sobie koronę. Poddani padną mi do stóp.

Nie zaproszę pani Danusi. Jej nie. Ona na to nie zasłużyła. Dla niej zawsze byłam wystarczająco dobra. Ona nie pomagała mi w dojściu do doskonałości. Ona jedna nie...

Gimnastyczka wiedziała, że znów śpię w kuchni. Rodzice wyklęli mnie w prezencie urodzinowym. Kazali wynieść

się z pokoju. Stawiać obiad na stole i znikać. Tak, żeby nie musieli na mnie patrzeć. Do łazienki mogłam przechodzić tylko wtedy, gdy mnie nie widzieli. „Kup sobie nocnik za zarobione pieniądze”, chichotali razem z udanego pomysłu. „Zejdź nam z oczu. Doceń, jacy jesteśmy dla ciebie dobrzy, i to kosztem siebie. Nie wyrzucimy cię z domu. Od teraz nie dostajesz ani grosza. Czas, żebyś ty coś dobrego zrobiła dla nas. Dajemy ci dach nad głową. Zapracuj na resztę”.

Mieli prawo, musiałam ich słuchać. Dzieci od małego uczy się: „Słuchaj rodziców. Dziecko, które słucha swoich rodziców, jest dobre”. Wszystkie dzieci słyszą to prawie za każdym razem, gdy zrobią coś inaczej, gdy chcą inaczej, czegoś innego lub w inny sposób. Nie wszystkie są posłuszne. Ja byłam. Mnie porządnie wychowano i dużo nauczono. Robię to, co każą. Nie sprzeciwiam się. Z małą różnicą. Tak robiła Dorotka-idiotka. Dorota douczyła się sama. Robi to mądrze. Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Jeden bez drugiego nie mógłby istnieć. Ludzie nie wiedzieliby wtedy, co jest dobre, a co złe. Za co niebo, za co piekło. Dlatego czyściec jest przepelniony. Tam jest kogel-mogel z dobrego zła i złego dobra. Uważnie słuchałam katechezy. Niebo to Bóg, który przyjął nas na zawsze do swojego domu. Piekło to Bóg, którego na zawsze utraciliśmy. Ale jest czyściec. Czyściec to Bóg, którego oczekujemy. Oczyszczając się i uświęcając. Bóg chce nagrodzić nasze dobre czyny, chociaż i tak spełnialiśmy je dzięki Jego łasce. Tylko naprawdę ciężki grzech oddziela nas od Boga.

I to, i to, i to – to Bóg. Według mnie rozumowałam logicznie. Gdy będę z pokorą i wstydem żałować, Bóg pozwoli mi na oczyszczenie się z grzechu (będzie mnie kochał jeszcze

bardziej – to było na innej katechezie). Jeżeli dobro czynię dzięki Jego łasce, to dzięki Jego niełasce czynię zło. Czyli złem też powinien się ze mną podzielić. Jest przecież sprawiedliwy...

Byłam gotowa pomóc rodzicom uzyskać pełnię szczęścia. Spełnić ich życzenie przy pierwszej okazji. Kiedy? Nie wiedziałam, ale pocieszałam się, że wszystko w rękach Boga.

Przy ostatniej kontroli piecyka gazowego uprzedzono ojca, że piecyk i kuchenkę trzeba wymienić. Chciałam kupić. Prosiłam, żeby dali mi pieniądze, bo z moich płaciłam za wszystko, łącznie z jedzeniem i alkoholem. Naśmiewali się z mojej naiwności, mówiąc, że tamtym chodzi tylko o to, żeby dostać parę groszy, gdy znów przyjdą.

– A tyle to chyba masz? – zagrzmiął ojciec i trzasnął drzwiami.

Kontrolerzy mieli wrócić za miesiąc. Sprawdzić. Jeżeli nie wymienimy, odciąć gaz. Minęły dwa miesiące. Piecyk wciąż stary, kuchenka też. Kontroli nie było. Za to przyszła wyjątkowo mroźna zima. Bez przerwy sypał śnieg i były takie zawieje, że mróz wchodził ścianami. Rodzice kazali mi opatrzyć szczelnie okna. Napchać waty w szpary i zakleić framugi gazetami. Na parapety położyć stare szmaty. Ojciec pozaklejał też wszystkie kratki wentylacyjne. Razem z mamą przenieśli się do kuchni.

Któregoś dnia, gdy wróciłam z zakupami, jak zwykle zastałam ich przy piecyku. Zapalone były wszystkie palniki. Wkładając kielbasę do lodówki, usłyszałam polecenie ojca:

– Dorota, dawaj obiad i się wynoś. My tu posiedzimy i się pogrzejemy.

Jedną ręką sięgnął po piwo, które wcześniej wyjęłam

z siatki i postawiłam na blacie szafki blisko niego, drugą włożył między piersi mamy. Nie widziałam ich. Stałam tyłem. Ushyślałam jej rozpromieniony wzrok spod spuchniętych powiek. Nie odwracając się, postawiłam garnek z ziemniakami na kuchence, mimo to widziałam, że prostuje się i wypina piersi, żeby ojciec mógł włożyć rękę głębiej. Patrzyłam na garnek, mieszając bigos na patelni. Jeszcze dziesięć minut. Bałam się odwrócić. Zastanawiałam się, gdzie iść. Do kogo? Kto mnie przyjmie? W kuchni śmierdziało alkoholem, po chwili także czymś jeszcze. Czym? Przeraziłam się: „Boże, czy to ta chwila? Nadszedł czas?”. Stałam na miękkich nogach, pytając samą siebie: „Kto będzie moim świadkiem?”.

O mało nie zrzuciłam patelni na ziemię, słysząc wrzask mamy:

– Krzysiek, każ jej wyjść. Natychmiast. Nas nie słucha.

Odwróciłam się. Piła z butelki. Czystą. Ojciec, widząc to, krzyknął:

– Kobieto, zostaw dla mnie.

Popił piwo wódką i padł na krzesło. Zaczęła płakać i zawodzić:

– Synek by nas od niej uwolnił. To było takie dobre dziecko – po czym bełkotała już tylko do mnie: – To przez ciebie. To niesprawiedliwe. Ciebie Bóg powinien zabrać, nie jego.

– Mamo, ojczy – powiedziałam, patrząc wprost na nich.
– Ja też jestem dobra.

Nie słyszeli.

– Wychodzę.

To usłyszeli oboje.

– Dzięki ci, Boże, chociaż za tyle – westchnęła mama, pijąc piwo.

– I nie waż się dzisiaj wracać. Przyjdź jutro ugotować obiad.

– Nie zapomnij o papierosach – przypomniała mama, chowając ukradkiem jedną paczkę do kieszeni.

– Wódkę podrzuć rano – polecił ojciec, wyciągając ostatnią butelkę z lodówki.

– Mamo, tato, nie zapomnijcie o ziemniakach i wodzie na herbatę.

– Jak zapomnisz o butelce, więcej się nie pokazuj. – Ojciec już jadł bigos z patelni. – Won mi z chałupy!

Wyszłam. Już się nie bałam. Przy mnie stał Archanioł Gabriel. Nie widziałam go, ale czułam jego obecność. Zwiastun potężnego, wszechmocnego działania Boga w sytuacjach dla ludzi niemożliwych. Potrzeba było mocy Bożej, by na świat przyszedł Jan Chrzciciel (rodzice starzy i niepłodni), a wreszcie by w dziewiczym łonie Maryi pojawił się Syn Boży. Archanioł Gabriel – zwiastun dobrych wiadomości.

Przenocowałam u pani Danusi na podłodze. Dała mi dmuchany materac, kołdrę i dwa koce. Powiedziałam, że wyrzucili mnie z domu. Siedzą w kuchni i piją. Mam nie wracać.

Na drugi dzień w wiadomościach podali: „Tragiczna śmierć małżeństwa staruszków. Ogrzewali się gazem i alkoholem. Skończyło się jak zwykle w takich przypadkach. Zatrucie jednym i drugim. Każde miało ponad trzy i pół promila alkoholu we krwi”.

Wielokrotnie czytałam rozdział XVIII „O grzechu czynkowym śmiertelnym i powszednim” (z Wykładu Nauki Chrześcijańskiej ułożonej przez kardynała R. Bellarmina na rozkaz papieża Klemensa VIII) i nic z niego nie rozu-

miałam. Do dziś nie rozumiem. Dawałam do przeczytania pani Danusi, gimnastyczce i pani od polskiego. Żadna nie rozumiała. Zachowam ten tekst i będę go pokazywała tym, którzy innym na siłę tłumaczą zasady wiary. Reguły dobrych i złych uczynków. Jeśli ktoś mi to wytłumaczy, odwdzięczę mu się tak, jak tylko będzie chciał (takie przyrzeczenia często daję wtedy, gdy z góry wiem, że nie będę musiała ich spełniać. Na pytanie: „Rozumiesz wszystko?” wystarczy odpowiedzieć: „Nie”. Czasami lepiej wyjść na matola).

Uczeń: Co to jest grzech uczynkowy i jaka jest różnica między grzechem śmiertelnym a powszednim?

Nauczyciel: Grzech uczynkowy to ten, który popełniamy, używając rozumu i z własnej woli, np. kradzież, zabójstwo, krzywoprzysięstwo i wszystkie inne złe uczynki zakazane prawem Bożym. Grzech jest śmiertelny, kiedy pozbawia nas życia duszy, to jest łaski Bożej; grzech taki czyni godnym wiecznej śmierci w piekle. Grzech jest powszedni, kiedy nie podoba się Bogu, lecz nie do tego stopnia, aby miał pozbawić Jego łaski; grzech taki zasługuje na karę, lecz nie na wieczną.

Uczeń: Jak można odróżnić grzech śmiertelny od powszedniego?

Nauczyciel: Chcąc poznać, czy grzech jest śmiertelny, trzeba zważyć na dwa następujące warunki: najprzód, czy jest przeciw miłości Boga albo bliźniego. Po wtóre, czy został popełniony z pełnym zezwoleniem woli. Jeśli na jednym z tych warunków zbywa, grzech nie jest śmiertelny, ale powszedni. Co do pierwszego warunku: grzech przeciwko miłości jest wtedy, kiedy jest przeciwko prawu w przedmiocie ważnym i kiedy tym samym jest obrazą dostateczną

do zerwania przyjaźni. Lecz jeśli jest w przedmiocie małej wagi i nie wystarcza do zerwania przyjaźni, natenczas chociaż nie jest przeciw miłości, nie jest wszakże podług miłości. Grzech śmiertelny jest także przeciwko prawu, bo jest przeciwko miłości, która jest celem prawa. Grzech powszedni zaś nie jest przeciwko prawu, bo nie jest przeciw miłości, lecz też nie jest podług prawa, bo nie jest podług miłości. I tak na przykład: ukraść znaczną ilość pieniędzy jest grzechem śmiertelnym, bo jest przeciwko prawu Bożemu w przedmiocie ważnym, i podług powszechnego zdania wystarcza na zerwanie przyjaźni, a więc jest przeciw miłości; lecz ukraść grosz lub rzecz bardzo małej wartości nie jest grzechem śmiertelnym, lecz tylko powszednim, bo przedmiot jego jest małej wagi; a chociaż grzech ten już przez to samo, że jest grzechem, nie jest podług miłości, nie jest wszakże przeciw miłości, bo nie wystarcza na zerwanie przyjaźni. Co do drugiego warunku, to dotyczy wolnej woli. Kiedy rzecz przeciwko prawu w przedmiocie ważnym popełniona jest z pełną wolą, wtedy grzech jest śmiertelny; lecz gdyby taż sama rzecz była popełniona nie z pełną wolą, byłby to tylko grzech powszedni. [Zob. www.ultramontes.pl/Katechizm_Bellarmina_XVIII.htm].

Byłam święcie przekonana, że nie zamierzam popełnić grzechu ciężkiego. Nie zamierzam ukraść dużych pieniędzy. Ciekawe, czy wolno kraść kilkakrotnie małe kwoty? Czy się sumują? Czy prawdą jest to, co zarzucali mi rodzice, że ich okradam? Nie. Dopóki musiałam, brałam na czynsz i opłaty, żeby nas z domu nie wyrzucili albo nie odcięli nam prądu. Nie zamierzam nikogo zabić. Nie zamierzam krzywoprzysięgać. Przecież wystarczy głośno powiedzieć:

„Przysięgam”, a w myślach dokończyć: „...że nie mówię prawdy”. Grzeszymy nie tylko słowami, lecz także myślami. Jednakowo ważne jest więc zarówno to, co powiemy głośno, jak i to, co dodamy w myślach. Postanowiłam iść do czyścica. Jestem cierpliwa. Umieć czekać. Poczekam na oczyszczenie...

E-mail nr 4

...*Progne subis*. Nie będę komentowała Twoich słów. Sam musisz ocenić, ile w tym prawdy, a ile wirtualnego horroru. Nie wiesz, jak to rozumieć? Nie pomogę Ci. Nauczyłeś się czytać. Przypomnij sobie swoją pierwszą samodzielnie przeczytaną bajkę. Nie tę, którą Ci ktoś czytał i szybko tłumaczył, że Baba-Jaga nie zje Jasia. Wilk nie skrzywdzi Czerwonego Kapturka i babci. Królowa Śnieżka nie umrze od zatrutego jabłka. Bajki uczą odczuwania strachu. I mają uczyć, że każde zło zostanie pokonane przez dobro. Bajki to nie życie. W krainę baśni wprowadziła Andersena babcia. Wiesz gdzie? W szpitalu psychiatrycznym. „Moje baśnie to pudełka, dzieci oglądają opakowanie, dorośli mają zajrzeć do środka” – miał powiedzieć. Podobno był zły, że jego baśnie od początku uznano za dzieła dla najmłodszych.

Co do mojej bajki, odpowiem tak: „Czy to bajka, czy nie bajka, myślcie sobie, jak tam chcecie. A ja przecież wam powiadam:” ... (tu już moja bajka).

Chciałeś ciągu dalszego. Bardzo proszę.

I choć tyle się zdarzyło, Calineczka dziękowała Bogu za Jego łaskę. Umiała gotować, sprzątać, prać, prasować i być niewidzialna. Teraz musiała się nauczyć mówić, chodzić, być. Najbardziej chciała być dobra. Dobra dla siebie. Wiedziała, że sama sobie musi pomóc. Wtedy znajdzie tych, którzy będą jej pomagać,

nawet o tym nie wiedząc. Dużo czytała, podpatrywała, obserwowała i porównywała teorię z praktyką. Była zdolna. Ambitna. Uparta. Miała cel. Wiedziała, że prędzej czy później przyjdzie czas na powiedzenie: „Jestem królową dobroci”.

Już mogła się śmiać ze słów, które tak często słyszała. Stare ropuchy rechotały. Adonis i jego panny chrapączczówny grzechotały: „Ona ma tylko dwie nogi, jakże to nędznie wygląda!”. „Nie ma macek”, mówiły inne. „Jakaż jest cienka w pasie, fe, jaka brzydka!”, dodawały chórem. Najpierw płakała. Musiała zmienić bieg czasu. Ćwiczyła, trenowała, uczyła się widzieć, słyszeć, czuć i mówić. Mówić to, co trzeba, jak trzeba, kiedy trzeba i do kogo trzeba. Wszystko jednocześnie. W ten sposób przyspieszała i skracala czas... C.d.n.

W tym jesteś podobny do mojej Calineczki. Cha, cha, cha.

Rozwinięcie do e-maila nr 4

Jestem prawną właścicielką dwupokojowego lokalu z trzema przedpokojami i dwoma pokojami. To mój zamek królowej. Pomału wyszykuję, żeby był godny koronacji. Piecyk już wymieniłam. Kuchenkę też. Rzeczy po Krzyśku dawno oddałam Piotrkowi. Chłopakowi z naszej ulicy. Miał w domu podobną sytuację jak ja. Też był z przeciętnej, bogobojnej rodziny. Też chodził po wódkę i piwo. Kupowałam dla siebie i dla niego. Byłam już pełnoletnia, on dwa lata młodszy. Bez butelek nie miał po co wracać. Starsi chłopcy spod sklepu pobierali opłatę. Minimum jedna butelka dla nich, za trzy kupione dla małolata. Podkradał w marketach. Co dało się zjeść na miejscu, zjadał. Co udało się wynieść, sprzedawał. Wiedział, że zawsze może liczyć na moją pomoc. Ukrywałam go. Kiedyś nawet w mojej szafie. Uciekał.

Potrzebował alibi. Bał się poprawczaka. Przenocowałam go i zapewniłam posterunkowego, że tego popołudnia był u nas. Pomagał mi prać dywany. Tak też powiedziałam rodzicom. O tym, że spał u nas, nie wiedzieli. Byłam zdziwiona, słysząc jak ojciec mówi do policjanta: „Moje dzieci nie kłamią. Jak Dorota mówi, że spał, to znaczy, że tak było. Po co by miała kłamać? Bałaby się kary. Dobrze ją wychowaliśmy”. Za karę (gdybym jednak skłamała), musiałam spać na siedząco. Nie wolno mi było rozłożyć polówki. Przez cały miesiąc. Warto było.

Piotrek był dla swojej młodszej siostrzyczki Alusi takim bratem, jacy istnieją tylko w bajkach. Nie bał się poprawczaka, bał się o siostrę, co się z nią stanie, jeśli jego zamkną. Należała mu się pomoc. Za to, że uchroniłam go od poprawczaka, obiecał pomoc mnie. Każdą. Zawsze.

– Dorota, nie traćmy kontaktu. Pamiętaj, ty się uczysz. Ciągnie cię do „wykszałciuchów”. Wśród nich też są źli ludzie. Nie używają pięści. Biją w białych rękawiczkach tak, że padasz na kolana. Pamiętaj, że pomoc nawet małego bandziora może się przydać. Ja będę dużym bandziorem. I to nie tylko wzrostem i posturą – dodał, widząc, że taksuję go wzrokiem.

Fakt, wyrośnie na bysia. To on ręcznie wycyklinował podłogi. Odmalował ściany. Pomalował okna i drzwi. Powynosił z kolegami graty. Za friko. Powiedział do kumpli: „Ja wam postawię piwo”. Pytali: „A stół też do wyrzucenia?”. I dziwili się: „Porządny, krzesła też”. Zapewniałam: „Wynosicie i róbcie z tym, co chcecie. Sprzedajcie. Forsa dla was, tylko się uwijajcie”. Zostawiłam ściany, okna, drzwi i oczywiście szafę w ścianie, w której wisiało tych moich parę ubrań. Mieszkanie już pachniało mną.

Od pani Danusi (widziała, rozumiała, cieszyła się ze mną) dostałam wersalkę, nową kołdrę, poduszkę i dwie zmiany pościeli. I śliczną koszulkę nocną z koronką, i do kompletu szlafroczek. Pierwszy w moim prawie dwudziestoletnim życiu. Gimnastyczka dała mi swój serwis kuchenny, bo właśnie wymieniała talerze na kwadratowe. Na nic nie było mnie stać. Musiałam opłacić świadczenia. Nie przejmowałam się, to było najmniej ważne. Wiedziałam, że ze wszystkim dam sobie radę. Od następnego miesiąca zaczynałam swoją prawdziwą pracę. Musiałam tylko zamknąć za sobą drzwi. Do przeszłości. Wiedziałam jak. Pieniądze, które zostały z zasiłku pogrzebowego, oddałam księdzu. Początkowo nie chciał ich przyjąć.

– Dziecko, tobie się przydadzą bardziej.

– Dam radę, proszę księdza. Moi rodzice byli bogobojnymi ludźmi. Ucieszą się, tam gdzie są (nie przeszło mi przez usta słowo „niebo”), że nie zmarnowałam ich pieniędzy. Oddałam Bogu. Proszę tylko księdza o jedno.

– Proś, dziecko. Proś, a ja postaram się spełnić twoją prośbę. – Słuchał wyraźnie zaintrygowany.

– Przy modlitwie za rodziców proszę podziękować Panu Bogu za łaskę, jaką mi okazuje.

– Podziękuj, dziecko, sama.

– Ja już dziękowałam. Nie raz. Zawsze, gdy pomaga mi spełnić dobry uczynek.

W myślach dodałam: „Szczególnie, gdy jest on dobry również dla mnie”. Nigdy nie kłamałam.

– Dobrze z ciebie dziecko, Dorotko. Dużo cię nauczyłem. Pamiętasz? Poznałem się na tobie. Wyrosłaś na piękną kobietę. Warto było. – Uśmiechnął się tym swoim obleśnym spojrzeniem.

– Pamiętam. Wszystko pamiętam i nie zapomnę do końca życia.

Mój ton i wzrok zgasił ten uśmiech. Poczłł niepokój. Słyszalam, jak myśli: „Czy jej odbiło? Co jeszcze powie?”. Patrzymał mu prosto w oczy. Bez mrugnięcia powiekami. Głęboko. Wyciągając powoli ukryte sztylety. Jeszcze chwila. Przebiją go. Na trzy! Spuścił wzrok i cofnął się o dwa kroki, bojąc się tego, co się za chwilę stanie. Wystarczy. Teraz sprawdź, czy uda ci się przywrócić go do pionu. Wywołać westchnienie ulgi.

– Pamiętam każde słowo, proszę księdza – (teraz zmień ton na pokorny, spojrzeniem wyraż wdzięczność, pochyl się i przygarb, żebyś zmalala, schyl się ku jego dłoni) – i przechowuję jak relikwie. Każdy ranek zaczynam słowami, które ksiądz włożył do mojego serca: „Celem naszych czynów powinno być czynienie dobra”. Każdego wieczoru powtarzam: „Dobre życie przypada w udziale tym, którzy się o nie starają”.

Wychodziłam stamtąd, grzesząc pychą: „Nastanie twój czas, królowo. Masz siłę. Ćwicz nadal. Zrób następny krok...”.

Zdrowie jest pierwszym dobrem, uroda drugim, a bogactwo trzecim (Platon). Zdrowie miałam, urodę także. Oceniałam to, przeglądając się w lustrze. Jest piękne. Stojące, z małą szafeczką na dole. Dostałam od kolegi Piotrka, Wojtka. Skąd je miał, nie pytałam. Ciekawość to też grzech. Zmierzyłam nie tylko obwód biustu, talii i bioder. Również długość nosa, czoła, brody. Proporcje twarzy. Rozstawienie oczu. Kształt ust. Pamiętam, co wtedy myślałam: „Może nie jestem jak Wenus, ale ujdzie. Przecież ona też nie wszystkim

się podoba. Mam czym oddychać. Mam na czym siedzieć. Idealnie mieszczę się w przedziale wagowym. Nogi proste, może trochę za grube w udach. Na pośladkach jakieś kreski białe, dodatkowe zgrubienia tu i ówdzie. Poszukam, może coś wyczytam. Muszę poćwiczyć, jak układać nogi, jak je stawiać, szczególnie w kostiumie kąpielowym (będę taki miała, nawet niejeden). Już widzę, że najlepiej wyglądają, gdy leżę, lekko je uginam i kładę na ukos. Są długie. Dobrze prezentują się w spodniach i wąskich spódnicach. Mam świetną sylwetkę. Długa sukienka, dopasowana, odkryte ramiona – jest dobrze”. Nawet nie przypuszczałam, że wystarczy prześcieradło, żeby to wszystko sprawdzić.

Wiedziałam już, że sama uroda nie wystarczy. Musi mieć oprawę. To postanowiłam zrealizować trochę później – jako punkt numer dwa w planie zaadaptowania się w pracy. Na początek warto grać szarą myszkę. Nieumalowaną i kiepsko ubraną. Znajdą się „specjalistki” chętne do dawania rad. Do uczenia biedactwa. Trzeba dać im możliwość spełniania dobrych, choćby nawet malutkich, uczynków. To najłatwiejszy sposób zjednywania sympatii. Każdy lubi być mądrzejszy, lepszy, podziwiany, oklaskiwany. Dlatego siłę ma komplement powiedziany ot, tak, spontanicznie, ze szczerego serca (wystarczy dodać parę odpowiednich słów w myślach, żeby to, co się mówi, było prawdą). Lubię wyzwania. Za pieniądze z pierwszej wypłaty kupię książki. Na razie czytałam fragmenty, udając, że chcę kupić i przeglądam, czy warto. Nic nie mogłam zapisać. Zapamiętać trudno...

Miałam pracę. Porządną. Chemik analityk. Laboratorium. Białe fartuchy. Pensja. Podobno mała. Dla mnie – bo-

gactwo. Żyłam za jedną trzecią tej kwoty. Większość kobiet. Mężczyzn mało. Oblegani. Nie szkodzi. Dwóch miałam na widelcu już od pierwszego spotkania. Potrzebowałam czasu, żeby zebrać o nich informacje. Punkt pierwszy. Sztama z babami. Muszę je kupić. Uśpić. Odpowiednio poustawić. Najważniejsze to porozumienie z szefową. „Rozważnie. Powoli. Cierpliwości”, mówiłam sama do siebie i instruowałam się w myślach: „Na razie wystarczy: »Dziękuję, ja bym tego tak sprawnie nie zrobiła. Patrzę z podziwem na tę precyzję. Ile lat trzeba praktykować, żeby wypracować taką dokładność?« (Dorotko-idiotko, masz już wroga. Dałaś jej do zrozumienia, że jest stara. Pilnuj się bardziej. Będziesz musiała się ukarać – Dorota była wściekła). »Jaka śliczna sukienka! Taka elegancka i szykowna. Od razu widać klasę«. Jaki, jaka, jakie... Dobrze, lepsze, najlepsze. Ładnie, ślicznie, pięknie. Trzeba znać siłę słów. Wypowiadać je we właściwym momencie i z odpowiednią tonacją. To jednak za mało. Trzeba umieć w jednej sekundzie stworzyć potrawę o takich walorach smakowych, na jakich nam zależy. Ważne: odpowiednia słodycz, gorycz, ostrość, łagodność, wygląd, zapach, kolor. Ważniejsze: dla kogo potrawa – w czym gustuje, na co by miała ochotę, co jej sprawi przyjemność, co wywoła u niej uśmiech, co akceptację, co dumę, co sprawi, że dostanie skrzydeł. Najważniejsze: odpowiedni czas, miejsce i okoliczności.

Oczywiste jest, że działa to w obie strony. Umiejętność wdeptywania w ziemię. Rozgniatania butem jak robaka. Jak pluskwę na ścianie. I jeszcze można się napawać widokiem krwi. Trening czyni mistrza. Mistrzowie potrafią. Wielu nauczyło się i zdobywało sztukę własną pracą, wysiłkiem i potem. Przez lata prób i błędów. Wiedzę dla wtajemniczo-

nych posiadli nieliczni. Większość tylko słuchała, nie słysząc, że lepsze efekty osiągnie się przy pomocy „marchewki” niż „kija”. Dalej stosują kij. Łapią, co pod ręką, i walą na oślep. Oby mocniej. W zacierzewieniu zapominają, że kij ma dwa końce. Ktoś może go użyć przeciw nim. Przed wykorzystaniem kija trzeba się najpierw zabezpieczyć, założyć kamizelkę i kask. Ochronić wszystkie możliwe zakamarki swojego ciała. Wybrać odpowiednie miejsce i czas. Działać systematycznie, rozważnie i co najistotniejsze, skutecznie. Tylko wtedy ma to sens. Tylko wtedy osiągnie się zamierzony cel.

Arcymistrzowie to ci, którzy wiedzą, że jedyną drogą do osiągnięcia tego, co chce się zdobyć, jest stosowanie powyższych zasad i trzymanie się przesłania: „Zwyciężaj dobrem – zawsze, wszędzie, w każdej sytuacji”...

Mieszkanie miałam „urządzone”. Pokoik rodziców to już nie sypialnia. Teraz to garderoba. Zawiesiłam drążki na różnych wysokościach. Na nich wieszaki. Mam dużo miejsca na wieszaki, ale ich samych na razie mało. Deska do prasowania i moje ukochane, teraz już duże, lustro. Ozdobna rama w świetle dziennym wyglądała wytwornie, przez co cała garderoba nabierała przepychu.

Nadal ćwiczyłam przed lustrem, żeby doprowadzić swoje ruchy do perfekcji. Nago, w różnych pozycjach. W prześcieradle upiętym na wszystkie możliwe sposoby. Musiałam ćwiczyć. Ruch, świadomość własnego ciała, twarzy, spojrzenia – będę trenować dopóty, dopóki nie zastuję na szóstkę. Do czasu mojej koronacji. Wtedy w oczach wszystkich dostrzegę uznanie dla mistrza.

Ile razy spoglądałam na lustro, tyle razy uśmiechałam się, przypominając sobie minę Wojtka, który z dumą

wniósł je ze słowami: „Zdobyłem dla pani, pani Doroto”. To był ten chłopak, który większość wynoszonych mebli zabrał dla siebie. Nawet dywan, ręczniki, ubrania matki i ojca. Telewizor sprzedali, pralkę też. Co prawda półautomatyczną. Wykręcać trzeba było samemu. Komuś była potrzebna, dostali parę groszy. Wszyscy dla wszystkich robili coś dobrego. Każdy chce być dobry, musi tylko dostać szansę. Jeśli nie od Boga, to od innego człowieka.

Garderoba. Brzmiało wspaniale. Recytowałam „garderoba” w różnych tonacjach. Dzieląc na sylaby. Poszczególne litery. Łącząc je szybciej lub wolniej w całość. Jednocześnie ćwiczyłam siłę i barwę głosu. Na właściwy moment trzeba czekać czynnie. Ćwicząc. Trenując. Powtarzając, żeby nie wyjść z wprawy. Deklamowałam sonet. Pierwszą własną kompozycję poetycką. Kunsztowną (słowo działające jak afrodyzjak), zgodną z regułami. Całe czternaście wersów. Były tam temat, podmiot i refleksja. I jedno słowo: „garderoba”. Pieściłam nim uszy. Na koniec dodawałam: „moja”. Przeżywałam orgazm. Błogostan. Ja, Dorota, za życia byłam w niebie.

Często mnie też z niego wyrzucano... I dziś również tak jest. Słyszę, że budzą się rodzice. Uszami widzę, jak matka się przeciąga. Siada. Ziewa, poprawiając włosy. Rękę trzyma na podbrzuszu ojca i drapie go po przyrodzeniu. „Przydaj się chociaż do tego, matka. Wyręczysz mnie, a sobie sprawisz przyjemność”, mówił, ziewając. Widzę, że otwiera usta, żeby zaraz wrzasnąć: „Pasożycie, co tak stoisz i robisz durne miny. Do roboty. Przynieś piwo. No już”. Uciekam. Biegnę do kuchni. Nigdzie nie ma piwa. W lodówce też nie. Nie ma lodówki. Wracam biegiem. Byle szybciej. Do szafy. Zamykam się. Serce powoli się

uspokaja i słyszę Dorotę: „Dorotko-idiotko, ich już nie ma. Zesłaś im z oczu. Nie widzą cię. Nie słyszą. Nie istnieją”. Tłumaczy mi to na próżno.

Ja widzę. Ja słyszę. Ja czuję...

Powyższe wspomnienia musiałam odtworzyć na nowo, bo gdzieś zapodziały mi się zeszyty, w których spisywałam tę historię. Poniżej już przepisuję tak, jak to zanoto- wałam kiedyś.

Najtrudniej było mi zagłuszyć krzyk w pokoju Krzyśka: „Wstań! Usiądź! Kucnij! Wyjdź! Wróć! Wynieś! Przynieś!”. Za- wsze na trzy. Ani sekundy później, ani pół sekundy wcze- śniej. Poprosiłam Piotrka: „Pomaluj ściany na żółty, słonecz- ny kolor”. Długo dobierałam odcień, żeby uzyskać to ciepło, tę ciszę, ten spokój, które miały wydobywać się z tego ko- loru. Jedna ze ścian to dzieło Wojtka. Mistrza graffiti. Prosi- lam, by nie przesadził. Miało być łagodnie, ale realistycznie. Muszę mieć fale i widnokrąg. Brzeg morza. W oddali, na widnokręgu jacht. Mój jacht, którym płynę ku słońcu. Pod- łoga po wycyklinowaniu wyglądała jak nowa. Jasna. Pach- nąca drewnem. Nagrzana słońcem. Była moim piaskiem. Na mojej prywatnej plaży. W pokoju i na balkonie przyby- wało zieleni. Coraz więcej kwiatów. Rwałam listki, kawałki łodyżek wszędzie, gdzie się dało. Doniczki znalazłam obok pojemnika na śmieci. Zielone, długie i krótkie. W sam raz.

Chciałam się otoczyć zielenią. Wykorzystać ciepło słoń- ca. Chodzić po piasku. Nie mogłam! A jednak, gdy się czegoś bardzo pragnie, można to zdobyć. Tuż przy brzegu mojego morza leżała około siedmiocentymetrowa warstwa śliczne- go, czystego piasku. Przynosiłam go po trosze. Moja plaża

miała półtora metra szerokości i trzy i pół metra długości. Już od jedenastej była nasłoneczniona. Leżenie na ciepłym piasku, tuż przy brzegu szumiącego morza (szumiało delikatnie, słyszałam lekki plusk fal) przynosi ukojenie dla duszy. Tak wyczytałam. Na razie nie przynosiło. Widocznie nie nadszedł jeszcze właściwy czas.

Poczekam. To teraz mój Raj. Mimo że coraz trudniej mi być cierpliwą, pokojo-przedpokój musi poczekać. Ściany bielutkie. Jedynym meblem jest wersalka. Śpię w pościeli w śliczne różowe stokrotki. Stoją tam dwa (sama kupiłam) białe, plastikowe krzesła i taki sam stolik. Nie szkodzi, że ogrodowe. Po sezonie były tanie.

Na porządne umeblowanie, godne koronacji, przyjdzie czas. Właściwy czas na wszystkie insygnia władzy. Jabłko królewskie, *globus cruciger*, powtarzałam we wszystkich tonacjach. Korona i berło. A w doniczce duża, największa z największych, krwistoczerwona *Euphorbia pulcherrima*. Tajemniczo brzmi. Wilczomlec piękny może się kojarzyć wieloznacznie. Najpiękniejsza nazwa to gwiazda betlejemka. Jasny obiekt astronomiczny, który według Biblii doprowadził mędrców ze Wschodu do króla Heroda, a potem do miejsca narodzin Jezusa Chrystusa w Betlejem. Symbol przyjścia na świat potęgi Boskiej. I mojej, we właściwym czasie.

Najważniejsze dla mnie, Dorotki-idiotki, ale i Doroty (z sentymentu) było urządzenie szafy. Azylu. Nieba Dorotki-idiotki. Jedyne miejsce, gdzie mogła zamknąć oczy i otworzyć je, nie czekając na polecenie: „Otwórz! Na trzy!”. Miejsca, gdzie już zdarzało jej się zasnąć bez strachu, czy sama się obudzi. Nawet jeśli Krzysiek o niej zapomni. Wyjdzie z domu i nie wyda rozkazu. Tu coraz rzadziej czuła jego obecność i słyszała jego krzyk.

Nie ma już pawlacza. Jest pomieszczenie o wymiarach 60 x 140 x 350 cm. Ściany są niebieskie. Nie za jasne, ale i nie za ciemne. W sam raz, takie, jakie chciałam. Gdzieś są rozświetlone. Piotrek pozakładał małe lampeczki. Mam Wielki Wóz i Wenus. Nazywaną też Gwiazdą Poranną i Gwiazdą Wieczorną. Jutrzenką. Nadzieją i wiarą w spełnienie marzeń.

Wszystkie rupiecie z szafy wyrzuciłam. Odkurzacz sama wyniosłam na śmietnik. Już nigdy nie będę spała, tuląc go na swoich kolanach. Teraz to moje, nasze Niebo. Nasza świątynia. Miejsce wyciszenia i bezpiecznego snu Dorotki-idiotki oraz sanktuarium Doroty. Oświetlenie do czytania wystarczające. Oczywiście jest i księżyc, i słońce. Dorota mówi, ale żartobliwie (nie chce wyjść na mazgaja): „Kicz, wszędzie tworzysz kicz”. Dorotka-idiotka wie, że nigdy, przenigdy nie pozbędzie się tego miejsca. „Tak mi dopomóż, Boże”, kończy, dodając w myślach: „Jeśli istniejesz”...

Księża nauczają: „Dobre jest to, co sprzyja udoskonaleniu jednostki ludzkiej, złe – to, co obniża jej doskonałość”. W tych słowach znalazłam wskazówkę. Chcę być dobra. Chcę dostąpić koronacji. Chcę być mistrzem. Muszę popracować nad udoskonaleniem siebie.

W sanktuarium Doroty było dużo półek. Honorowe miejsce zajmowały zeszyty zapisane przez Dorotkę-idiotkę dobrymi uczynkami. I „Calineczka”, nagroda za naukę. Dorota wszystkie oszczędności wydawała na poradniki. Ustawiała je tematycznie na półkach. „Naturalna mowa ciała. Jak ją odczytać i właściwie z niej korzystać?”. Mowa ciała: dla menedżerów, dla bystrzaków, kluczem do suk-

cesu. „Sekrety erotycznej mowy ciała”. Sztuka: skutecznego porozumiewania się, obserwacji (czyli studiowanie drugiego człowieka), bycia towarzyskim (czyli jak się odnaleźć w każdej sytuacji), mówienia (nie co mówić, ale *jak* mówić). Szermierka słowna. „Jak nie zrazić do siebie ludzi”. „Magnetyzm osobowości”. I najczęściej czytana, pomazana flamastrami, z pozaginаныmi kartkami: „Zdobądź pewność siebie i poczucie własnej wartości” (Joseph Murphy’ego).

„Jestem panią swojego życia, panuję nad swoją podświadomością. Tylko ja odpowiadam za własne myśli, uczucia i zachowania. Nikt inny nie ma nade mną władzy!”, te słowa były codzienną modlitwą Doroty przed zaśnięciem...

Nie mogłam sobie pozwolić na marnowanie czasu. Z książką na głowie (w celu utrzymania prostej sylwetki) maszerowałam boso po piachu (masaż stóp), recytując zapamiętane słowa. Nie zapominając o odpowiedniej modulacji głosu i mimice. Drżący głos świadczy o braku pewności siebie. Nerwowy, podniesiony, ostry oznacza agresywność. Sztuką jest wypośrodkowanie swojego tonu i umiejętne stosowanie pauz. Potem zmieniając ich szyk, dodając jakieś słówko, tworzyłam gotową wypowiedź do stworzonych sytuacji i wyobrażonych okoliczności. Moją wypowiedź. Płynącą z serca i rozumu. Też moich. Zapisywałam skróty, żeby mieć wszystko w jednym zeszycie i zaglądać tam dla przypomnienia.

Dorota dyrygowała mną dla mojego dobra. Odkryłam, że dyrygowanie ma dużo wspólnego z rozkazami, jakie dotychczas słyszałam. Te od Doroty spełniałam jednak z przyjemnością.

– Idziesz ulicą. Wejdziesz do biurowca. Do gabinetu prezesa. Teraz podchodzisz do niego i chcesz zrobić wrażenie osoby znającej swoją wartość. – Wydawała polecenia, a ja je wypełniałam.

Chodziłam w tę i z powrotem. Nie za dużymi krokami, ale i nie drobiąc w miejscu. W szpilkach. Boso. W klapkach. Wyprostowana. Łopatki ściągnięte. Pierś do przodu. Wszystko z umiarem. Szczególnie głowa. Nie za wysoko, ale i nie za nisko. Ważna proporcja. Ćwiczyłam przed lustrem. Podchodzenie do ludzi, z którymi chcę porozmawiać. Tak, żeby od razu dostrzegli, że nie ma we mnie strachu i wahania. Że wiem, jaki mam cel. Zapisałam: „Wyraz twarzy – odzwierciedla wszelkie zmiany zachodzące podczas rozmowy. Znający reguły rozpozna, czy zrozumiały są słowa, czy słuchacz akceptuje ich sens. Ważne, jakie emocje biorą górę”. Ćwiczyłam stanie i siadanie tak, żeby być zwrócona twarzą do rozmówcy. Przy każdej zmianie jego pozycji odwracałam twarz, by znajdowała się na wprost jego. Zapisałam: „Kiwanie głową, potakiwanie to zachęta do mówienia. Szansa na uzyskanie dalszych ważnych informacji”.

Kiedyś korzystałam z lusterka, by wyjąć rzęsę, która wpadła mi do oka. Obejrzeć kolor siniaków, by wiedzieć, za ile dni znikną. Później, by na siebie patrzeć. Przyglądać się swojej zmieniającej się figurze. Teraz odkryłam, że lustro może być instruktorem, który ma dla mnie nieograniczony czas i za swoją pracę nie pobiera opłat. Najlepszym i najsurowszym. Notka: „Cały czas utrzymuj kontakt wzrokowy. Nie przesadź. Uporczywe wpatrywanie się może wywołać skrępowanie”. Spojrzenie mówi o odczuciach. To już wiedziałam. Od dawna. Od niedawna umiałam to stosować.

Uśmiech. By uzyskać cel, musi być życzliwy, miły, wyglądać szczerze. Uśmiech może wyrazić wszystkie emocje. Od odrazy po podziw. Może zniszczyć i zbudować. Bolała mnie twarz, zanim udało mi się uzyskać modelowe uśmiechy. W nauce gestów przeszkadzała mi Dorotka-idiotka. Śmiała się do rozpuku, a ja z nią, więc ciągle musiałam zaczynać od nowa.

Kto by pomyślał, że gesty dłoni plasują się wśród zachowań pozawerbalnych tuż za wyrazem twarzy. Mówisz w umiarkowanym tempie, wyraźnie i ruchami rąk podkreślasz słowa, sens, na którym ci zależy. Ja wymachiwałam rękami jak cepem. Dłonie robiły dziwne wygibasy, w których przeszkadzały palce. Tańczyłam „ługi-bugi”. Do przodu prawą rękę daj. Do tyłu lewą rękę daj. I potrząśnij nimi. Bo przy „ługi-bugi” trzeba zręcznie się kręcić. A przecież najważniejsze było, żeby nie krzyżować rąk ani nóg. Nie zaciskać dłoni na żadnym przedmiocie. Nie kulić się. Zapisałam: „Pozycją ciała nie stwarzać bariery między rozmówcą a sobą. Pochyl się lekko w jego kierunku, zasygnalizujesz, że mówi interesująco. Odchylenie do tyłu to wyraz dezaprobaty. Sztywna postawa daje wrażenie napięcia”.

Na drzwiach szafy przykleiłam kartkę z dziesięcioma przykazaniami:

1. Dotykanie twarzy – nieszczerłość, zdenerwowanie.
2. Zasłanianie ust dłońią podczas mówienia – oznaka kłamstwa.
3. Uścisk dłoni – zdecydowany, krótki.
4. Wiercenie się na krześle – niepewność, zniecierpliwienie.
5. Pocieranie oczu, uszu – oznaki fałszu lub niepewności, niepokoju.

6. Pełne podparcie brody – nuda.

7. Założone ręce, trzymanie torebek, teczek – postawa defensywna.

8. Dotykanie podbródka, policzków – kojarzy się z myśleniem, z podejmowaniem decyzji.

9. Zasłanianie ust maskowane udawanym kaszlem lub stosowane w celu ukrycia ziewnięcia – mówienie nieprawdy.

10. Pierwsze wrażenie robi się tylko raz.

Kupiłam dwie książki o psychologii kobiet i mężczyzn. I kilka dotyczących *savoir-vivre'u*, urody, dekoracji stołów, przysmaków orientalnych, znajomości szlacheckich trunków. Nawet poradnik wiązania krawatów. Węzłami tradycyjnymi i awangardowymi. „Dobre jest to, co sprzyja udoskonaleniu jednostki ludzkiej”, powtarzałam, wydając kolejne pieniądze. „Doskonalenie kosztuje”, westchnęłam. „Dobro też”. Jadłam suchy chleb (świeżusienki, jeszcze ciepły, pyszny), popijając herbatą. Czas działał na moją korzyść...

E-mail nr 5

...*Progne subis*. Widzę, że coraz bardziej podoba Ci się moja bajka. Oczywiście, że będę opowiadała dalej. Przecież napisałam „c.d.n.”. Podpisuję się pod zacytowaną przez Ciebie myślą (R. Gary): „Nie można pytać życia o sens, można mu tylko sens nadać”.

Cała wielkość naszej przygody polega na życiu, które przychodzi do nas z pustymi rękami, lecz może nas opuścić wzbogacone i przekształcone. Cały czas pracuję nad tym, żeby nadać swojemu życiu sens. Chcę się doskonalić – zwyciężać dobrem.

I wzbogacać. Dlatego się uczę, zawsze, wszędzie i w każdej sytuacji. Pytasz, w czym jesteś podobny do mojej Calineczki. Mam nad Tobą tę przewagę, że wiem dużo o jaskółkowatych.

Ich mowa to Twój śpiew. Jaskółkowate używają bogatego zestawu sygnałów dźwiękowych. Inaczej objawiają zaniepokojenie i irytację, inne dźwięki służą im do porozumiewania się z członkami ich gatunku, jeszcze inne stanowią sygnał alarmowy, gdy w pobliżu pojawi się drapieżnik. Wreszcie tony wabiące i śpiew mają za zadanie oczarować samice.

Tonacja mojej Calineczki jest bardziej zróżnicowana. W zależności od celów.

Ciąg dalszy bajki. Przeszły zima, wiosna, lato, jesień i znów zima. Calineczka była sama w swoim lesie. Nazbierała piórek, gałązek, trawy, listków i ułożyła swoje miejsce na ziemi. Nie musiała się obawiać deszczu ani śniegu. Ciepłutko, czyściutko i pachnąco było na tej jej łące. Sok z kwiatów zastępowała chlebem. Rosę – herbatą. Miała nawet skrytkę ze skarbami. W niej gwiazdkę, promyk słońca i blask księżyca. Była dobra, spełniała dobre uczynki i w nagrodę otworzyły się przed nią drzwi. Drzwi do pięknej norki. Było to duże mieszkanie, bogato urządzone. Śliczna kuchnia i spiżarnia. Azyl bezpieczeństwa, spokoju i rodzinnego ciepła. Tak oceniła je Calineczka. Miała do porównania tylko czas ropuchowa i gniazdko, które sama sobie uwiła. To tutaj przypominało mieszkania, które oglądała w kolorowych pismach.

Właścicielką była *Mus musculus* – stara, wysuszona, chora mysz domowa. O myszach Calineczka wiedziała tylko tyle, że zjadły Popiela. I że Myszka Miki jest zabawna. Że to rodzina gryzoni nie miała czasu pomyśleć. Może szkoda, a może i nie.

„Biedne dziecko”, powiedziała mysz, bo nie była taką bardzo złą myszą. Była dobrą myszą. Na swój sposób. Do swoich celów. To była stara, mądra mysz: „Wejdiesz do naszego domu i niczego ci nie zabraknie”.

Calineczka wiedziała, że mysz mieszka z synem. Kretem. Sama zaproponowała kretowi pomoc dla schorowanej matki.

Kret pracował na kierowniczym stanowisku. Musiał utrzymać dom na poziomie, zadbać o lekarzy i lekarstwa dla starej myszy. Najlepsze, jakie istniały. Dlatego miał mało czasu. Bardzo kochał swoją matkę. Miał tylko ją. Dla niego ona nie była szarą myszą – tylko albinotyczną. Taką, którą się trzyma w domu dla przyjemności mieszkania z żywym stworzonkiem.

Po pewnym czasie mysz namówiła syna, żeby oświadczył się Calineczce. Ta jednak nie miała ochoty wychodzić za kreta. On nie miał zamiaru się z nią żenić. Zawarli układ. Kret spotykał się z piękną norką, której nie znosiła jego mama mysz. Krępowano go pomaganiem starej myszy w łazience i w toalecie. Miłość synowska była bardzo silna, ale nie na tyle, żeby miał ochotę spędzać swój wolny czas ze staruszką. Calineczka miała czas, nie miała pieniędzy. Jasne? Tym bardziej, że za noce z myszą (dwa razy w tygodniu kret z norką umawiali się na figle-migle gdzieś poza domem) dostawała premie. Łącznie przekraczało to jej pensję.

Szczęście trwało prawie rok. Calineczka obrastała w skarby. Było jej za dobrze. Pan Bóg nie mógł do tego dopuścić. Kochał ją. Wyraża to tak, jak umie. Zsyła cierpienie na tych, których wybrał. Dla ich dobra. By mogli zasłużyć na lepsze życie. Na życie wieczne. Norka znalazła sobie młodszego szynszyla. Mysz umarła. Kret się załamał. W niedługim czasie zrozumiał, że stara mysz chciała dla niego dobrze. Oświadczył się Calineczce. Odmówiła. Pamiętaj: „Miała z nim mieszkać głęboko pod ziemią i nigdy nie wychodzić na ciepłe słońce, bo kret nie znosił słońca”. Nie straciła pracy. Nie straciła pieniędzy, bo była mądrą dziewczynką. Obiecała pomagać kretowi jeszcze przez jakiś czas. Wiedziała, że to nie ten, że nie nadaje się na jej męża. Nie to „wzbogacenie”. Ona sama dokona wyboru. Właściwego.

C.d.n.

Rozwinięcie do e-maila nr 5

W pracy się układało, choć robiłam jeszcze wiele błędów. Trudność sprawiała mi synchronizacja słów z uśmiechem. Za wyprostowaną sylwetką nie nadążały nogi. Pilnowanie pewnych, równych kroków myliło mimikę twarzy. Na szczęście wiele tłumaczyła moja młodość. „Proszę się nie denerwować, pani Dorotko. Nic się nie stało”, uspokajał mnie kierownik laboratorium. Starłam się już od wejścia iść pewnie. Patrząc mu w oczy. Przyniosłam wyniki analiz do podpisu. Nie zauważyłam podwiniętego dywanu i wylądowałam z głową na jego ramieniu. Uderzyłam go, ale to ja zobaczyłam gwiazdy. Zachwiałam się. Przycisnął mnie do siebie, żeby podtrzymać. „Zaraz pomogę ci, dziecko, usiąść. Przyłożymy lód”. Trzymał mnie mocno. Jak dziecko, nie jak kobietę. Był po czterdziestce. Miał czterdzieści dziewięć lat. Prawdą jest powiedzenie: „po czterdziestce”. Nieprzychylni mówili „przed pięćdziesiątką”. Można tak, a można inaczej. Od tyłu szczegółików to zależy. Jak wszystko.

Wiedziałam, że jest wdowcem. Dorosła córka wyjechała do Japonii. Wyszła za męża i została na stałe. Miał tylko matkę. Chorą na cukrzycę. To był jeden z dwóch mężczyzn, których sobie upatrzyłam. Nie miałam szans. Plotkowano o jego gorącym romansie z pewną doktor z instytutu. Wiedziałam ją. Babka z klasą. Uchodziła za wzór elegancji i wdzięku.

Postarałam się, żeby polubiła mnie jego sekretarka. Trochę młodsza od niego. Niewiele. To jednak kobieta. Mówili o niej: miła, starszawa pani. Pracująca z nim już kilkanaście lat. Znała jego rodzinę. Z córką składały sobie okazjonalne

życzenia. Znała też jego norkę. Z kompresem na głowie siedziałam na kanapie w sekretariacie, popijając herbatę.

– Pani Dorotko, nie zauważyła pani, że ona przypomina norkę. Śmiałyśmy się nieraz z dziewczynami. Morduje po kolei członków swojej rodziny i wyprawia skórki. Zobacz pani sama. Tylko zrobi się trochę chłodniej. Będzie paradowała po korytarzach z narzuconymi na ramiona norkami. Uważa się za cud wszechświata. – Zaśmiała się (odnotowałam, że bez serdeczności) i dodała: – Szkoda mojego szefa, wykorzysta go i zostawi.

– Pani Mario, dla mnie jest wzorem kobiety wytwornej. Elegancka. Świetne ciuchy. Idealnie dobrane dodatki. Musi mieć olbrzymią szafę albo ze dwie. Widziałam parę jej torebek. Skórzane, w różnych fasonach. Chyba we wszystkich kolorach. I jest ładna. Zgrabna. Mnie się podoba.

– Pani jest jeszcze bardzo młodziutka, dlatego zwraca uwagę na skorupę. Ja już wolę wnętrze. To wamp. Nie, wampirzyca. Wypija krew i znika. Szuka następnej ofiary. Dziecko, ja swoje wiem i jest tego sporo. Na koncie ma poprzedniego dyrektora instytutu i głównego księgowego. To właśnie sponsorzy tej jej urody i dodatków. Teraz sponsoruje ją mój szef. Biedak z klapkami na oczach. Ta małpa doskonale wie, że on jest tylko z matką. Ma duże mieszkanie, sporo kasy i jest samotny. Od razu wiedziałam, że zastawia na niego sidła. Zrobię nam jeszcze herbaty.

Nie pytając mnie, czy się napiję, wstała. Popatrzyłam na siebie. Postać lekko pochylona do przodu. W jej stronę. Oczy śledzą jej twarz. Głowa porusza się delikatnie, zachęcając ją do kontynuowania. Ze wzroku da się wyczytać zainteresowanie. Boże, to naprawdę działa. Nie trzeba nic mówić.

W oczekiwaniu na wrzątek pani Maria przyglądała mi się uważnie. Czyste filiżanki z esencją już przygotowała. Przytrzymując kompres, leciutko westchnęłam i skrzywiłam usta w bezgłośnym bólu. W myślach zbierałam spostrzeżenia. Nie lubi jej, to mało powiedziane. Za ciepły, za pieśczośliwy głos przy słowach dotyczących kierownika. Przepada za nim. W mojej głowie kołatały klepki. Wszystkie pięć (mimo że byłam dzieckiem bez piątej. Nie wiem, dlaczego ma ich być pięć. „Temu dziecku brak piątej klepki”, słyszałam). Kołatanie to sygnał, że za chwilę wpadnie myśl. Dobra nasza.

Podchodząc z herbatą, stawiając ją na stoliku, pani Maria nadal na mnie patrzyła. Mówiłam, nie mówiąc. Odczytała moje zainteresowanie i zadowolona, ciągnęła dalej.

– Pani Dorotko, czy mogłabym mówić pani po imieniu? Widzę, że się nawet ucieszyłaś. Dorotko, czy wiesz, że ona przychodziła już na drugi dzień po pogrzebie jego żony? Taka przygnębiona. Zatrokana. Smutna. Złożone dłonie. Jak do modlitwy. Słowa zrozumienia, pocieszenia. Nie ubrana, tylko przebrana odpowiednio do roli, którą odgrywała. Szarość i biel. Mówiła, że przy jego żałobie chce strojem podkreślić, jak mu współczuje. Myślałam, że ją rozszarpię.

Od momentu, gdy zaczęła mówić mi po imieniu, rozluźniła się zupełnie. Widać było, że musi z siebie wyrzucić całą złość. I że nie robi tego pierwszy raz.

– A jak rozkładała ręce do uścisku, mało brakowało, a wyrzuciłabym ją z gabinetu. Tamto biedactwo jeszcze dobrze nie ostygło, a ta już chciała zająć jej miejsce. Po moim trupie. Ja z matką i córką do tego nie dopuścimy. Mówię im o wszystkim. Matka nie pozwala, żeby ją przeprowadzał do domu. Córka wybija mu z głowy romans z tą wydrą. Matka się boi, że gdy ona zasypia (bardzo wczes-

śnie się kładzie), tamta po cichu przychodzi. Już mamy plan. Z córką. Szukam zaufanej osoby. Będzie przychodzić na popołudnia, tak do dwudziestej. Trzy dni w tygodniu. Ja w pozostałe. Roboty niewiele. Starsza pani śpi, można popoglądać telewizję czy nawet się zdrzemnąć. Ważne, żeby być, wtedy tamtej nie będzie. Widziałaś, jakie ona ma duże, wyłupiaste gały. I policzki wysunięte, a brodę cofniętą. Dobrze się jej przyjrzałam. – Sięgnęła po filiżankę. Zadzwoił telefon. Odebrała i warknęła: – Nie! Nie dziś! Zajęty. Nie, mówię, że dziś nie będzie miał czasu. Proszę zadzwonić jutro. Umówię. – Odkładając słuchawkę, zwróciła się do mnie: – Coś powiedziałaś, Dorotko? Dzwonią bez przerwy (był tylko ten jeden telefon) i nie można w spokoju porozmawiać. Nie usłyszałam, co mówiłaś.

Ślodycz w jej głosie aż mnie mdliła. Muszę być ostrożna. Fałszywe babsko. Kleпки się uspokoily. Już wiem, co zrobić. Najpierw jeszcze trochę rozanielić, przekonać, że ja nie stanowią zagrożenia, by osiągnąć cel.

– Nic. W zasadzie nic. Powiedziałam *Mantodea* – mówiłam cicho, niewyraźnie, dotykając bolącego miejsca na czole i wtulając się w róg kanapy (jeszcze byłam na stażu, ciągle ćwiczyłam), żeby przysunęła się do mnie.

– Dziecko, dalej cię boli. Powtórz. Nie zrozumiałam.

Wstała z fotela. Usiadła blisko mnie. Wzięła za rękę i głaszcząc, czekała.

– *Mantodea*. Modliszka. Opisała pani wygląd modliszki. Ona jest modliszką w ciele norki.

Czekałam, aż przetrawi to, co usłyszała. Poruszała ustami, powtarzając to parę razy, potem powiedziała już na głos:

– Modliszka w ciele norki. – I po chwili: – Dorotko, niech cię ucałuję. – To już był entuzjazm. – No tak. Modliszka. Zja-

da samca po kopulacji. Cha. Cha. Cała ona. Muszę to powtórzyć dziewczynom. – Była rozpromieniona. Widząc mój przerażony wzrok, dodała: – Dorotko, przecież ja ją opisywałam. To ja w niej widziałam modliszkę. – I z zajadłością: – Mojego nie zeżre, udławi się.

Zorientowała się, co powiedziała. Spojrzała na mnie. Uspokoili się, widząc mój tępy wzrok i łzy w oczach.

– Dziecko, pójdziesz do domu. Zaraz zadzwonię do twojej szefowej. Nie martw się. Idź, zabierz rzeczy i do domu. – Przytuliła mnie, prowadząc w stronę drzwi.

– Pani Mario, mogę pani pomóc. To znaczy panu kierownikowi. Mam czas i mogłabym zająć się jego matką. Ale tylko raz w tygodniu. Chciałabym zrobić coś dobrego dla pana kierownika. I dla pani.

– Uczysz się wieczorami? – Zainteresowały ją moje słowa. – Czy musisz zająć się siostrą? Swoją drogą, miałam cię zapytać, dlaczego macie tak samo na imię? Od twoich dziewczyn z laboratorium wiem, że jesteście same. Nie masz rodziny. Ty jesteś jej prawnym opiekunem. Musi być ci ciężko? Usiądźmy jeszcze na chwilę.

Wróciłyśmy na kanapę. Znow trzymała mnie za rękę, dopytując o szczegóły.

– Pani Mario, byłam już pełnoletnia, gdy rodzice tragicznie zmarli. Zatruli się czadem. Nas wtedy nie było w domu. Nocowałyśmy u przyszywanej cioci. Nie mogłam oddać siostry do domu dziecka. Rodzice by mi tego nie wybaczyli. Zresztą ja sama sobie też nie. Było nam bardzo ciężko. Dorabiałam opieką nad dzieckiem, sprzątnięciem, gotowaniem i innymi pracami domowymi. Od kiedy tu pracuję, mam więcej pieniędzy. Nie na wszystko starcza. Książki do nauki kosztują. Dorabiam w sklepie i w jednym domu. Muszę

mieć czas dla Dorotki. Przypilnować lekcji. Chodzi do podstawówki. Pobawić się z nią. Poczytać. Chce słuchać tylko „Calineczki” Andersena. Starać się choć trochę zastąpić jej matkę. Dlatego mogłabym przychodzić tylko raz w tygodniu. Co do imienia: mama z tatą się śmiali, że siostrzyczka po urodzeniu była do mnie tak podobna, że od razu zaczęli mówić do niej Dorotka. Ja zostałam Dorotą.

Czekając, co powie, pochwaliłam się w myślach. Jestem coraz lepsza. Wypytywana przez dziewczyny, nie potrafiłam włożyć w swoje słowa tyle smutku i jednocześnie radosnej dumy, którą odczuwałam jako starsza siostra, odpowiedzialnie zajmująca się młodszą.

– Dorotko, porozmawiam z córką szefa. Powiem, że znalazłam zaufaną osobę. Ma pieniądze. Będzie ci musiała dobrze zapłacić. Nie martw się. Porozmawiam z jego matką. Jeśli tylko będzie z ciebie zadowolona, możesz być pewna dodatkowych pieniędzy. Jestem przekonana, że dostaniesz więcej, niż masz teraz razem. Dzisiaj jest wtorek. Załatw tak, żebyś od przyszłego tygodnia mogła zacząć. Będzie dobrze, dziecko. Ci, na których ja mogę liczyć, zawsze mogą liczyć na mnie. Pamiętaj. Przyrowadź kiedyś Dorotkę. Chętnie ją poznam. Wpadnij do mnie jutro. Obgadamy szczegóły...

Z umowy byłam zadowolona. Córka, w tajemnicy przed ojcem, płaciła mi za opiekę nad babką (nie wiedziała, że znam główny powód). Kierownik płacił za utrzymywanie domu w czystości, przygotowywanie posiłków i pomoc matce. Starsza pani była całkowicie samowystarczalna. Po prostu brakowało jej towarzystwa.

Mieszkanie było rzeczywiście duże. Kuchnia miała prawie osiemnaście metrów. Z oknem na całą ścianę. Las

krzewów, drzewek i iglaków. W części jadalnej na ścianach leżały duże kafle wyglądające jak szkło. Odbijały się w nich promienie słońca i rośliny. Nigdy takiej jadalni nie widziałam, nawet w czasopiśmie. Tu każdy posiłek musiał smakować podwójnie dobrze. Po wejściu do salonu najpierw zobaczyłam donice i doniczki. W nich przeróżne rośliny. Okno na całą ścianę. Rozsuwane. Duży taras. Tu nie było doniczek. Tu rosły po obu stronach sosny. Gałąź jednej z nich zwisała tuż nad tarasem. Patrząc na wprost, przed oczyma miałam dwie piękne brzozy. Dom znajdował się w lesie. Pani Eleonora, matka kierownika, oprowadzała mnie po pokojach i opowiadała:

– Moja synowa – otarła łzy – kochała kwiaty. Ja też. Chorowała, jak ja. Mieszkanie urządziła tak, żeby meble były proste, łatwe do utrzymania w czystości. Są tu dwie garderoby. Dwie łazienki. Jedna z oknem. Dwie sypialnie. Moja i ich. Teraz już tylko syna. Pokój gościnny. Gabinet syna. Tam niczego nie dotykaj. Nie porządkuj. Jest bałagan, ale tylko w nim syn się odnajduje. Odkurzaj i wycieraj kurze tak, żeby nie pomieszać żadnych papierów. I nie zamknąć otwartych książek.

Patrząc na starszą panią, pomyślałam: „Ją powinno się odkurzyć, wyczyścić, odplamić. Wyglądała jak stara, szara, zasuszona mysz. Mieszkanie lśniło. Najwięcej czasu poświęcałam na pielęgnację roślin. Przy okazji uczyłam się ich nazw, przeglądając liczne, pięknie ilustrowane książki, które znalazłam na regale. Godzinami słuchałam muzyki klasycznej, siedząc przy leżącej pani Eleonorze. Ciekawostek, które mi opowiadała o kompozytorach. Kochała utwory Mozarta i Bacha. Uczyła mnie odróżniać: *con amore* (z uczuciem), *grazioso* (z wdziękiem) od *triste* (smutno)

i *con dolore* (z boleścią). Opowiadała o swojej młodości, życiu, rodzinie – przy oglądaniu albumów ze zdjęciami. O manierach towarzyskich. Elegancji. Tłumaczyła, co to znaczy być dżentelmenem i damą. Dzięki niej ukończyłam parę kursów bez wydawania grosza, przy pysznej herbacie lub kawie. O jedzenie też nie musiałam się martwić. Wychodziłam z siatką wiktuałów, owoców, soków. Dla siebie i siostry. Przy okazji ogród w moim Raju wzbogacał się o nowe rośliny. „Tylko tak pracować”, śmiałam się sama do siebie.

Dorotka-idiotka stała się spokojniejsza. Częściej żartowała. Mniej płakała. Jedynie nocami leżała, wpatrując się w sufit. Trzymała powieki, żeby nie opadły. Nie umiała spać z otwartymi. Nadal bała się zamknąć oczy. Gdy usłyszy: „Otwórz! Na trzy!”, to znaczy, że śniła, a wszystko, co Bóg jej zesłał dobrego, było tylko snem. A jeśli nie usłyszy, może już nigdy nie będzie mogła ich otworzyć...

Dorota śpiewała. Pierwszy raz w życiu. Śpiewała, tańczyła, śmiała się.

– Dorotko-idiotko. Pakuj się. Jedziemy na wycieczkę. Zagraniczną. My.

Tak jak kiedyś deklamowała na wszystkie możliwe sposoby słowo „garderoba”, tak teraz wyśpiewywała trele. Ćwierkała, świstała, kwiliła, „pitpiliła i pimpiliła”. W pracy dziewczyny opowiadały sobie o wycieczkach zagranicznych. O urlopach na dalekich wyspach.

– Dorota, ty tylko wieś, rzeczka, ryby. Łąki i pastwiska. I śpiew krów. Zobacz góry. Pokaż siostrze morze. Świat jest piękny. Marnujesz młodość. Dzieciakowi też się należy. To naprawdę nie jest drogie.

– Mówiłam wam o mojej sytuacji. Nie wracajmy do te-

matu. Jeszcze zdążymy zobaczyć świat i ja, i Dorotka. Opo-
wiadajcie lepiej, jak było. Dokładnie. Ze szczegółami. To
będzie tak, jakbym to zobaczyła.

I słuchałam. Jedna przez drugą coś tam upiększały. Do-
dawały. Koloryzowały. Każdej pobyt był „naj”. Nawet jeśli
cała historia była mało prawdopodobna.

Jadąc do pani Eleonory, w myślach liczyłam oszczęd-
ności. Kupiłam już odkurzacz, żelazko, czajnik elektryczny
i parę drobiazgów do mieszkania. Trochę obkupiłam siebie.
Garderoba nareszcie zaczęła pełnić swoją funkcję. I najważ-
niejszy zakup. Nie na raty. Tych się bałam. Pralka i lodówka.
Najtańsze, z promocji. Nowe. Pachnące. Moje własne. Pio-
trek przewiózł, żebym nie musiała płacić za transport. Wnie-
śli z kolegą.

Polubiłam jego siostrzyczkę. Szkoda mi jej było. Pozwa-
lałam, żeby odrabiała u mnie lekcje. Pomagałam. Zawsze
miałam dla niej jakiś smakołyk. Dorota trzymała ją jednak
na dystans. Mała chciała się przytulić. Ona nie potrafiła. Za
to panią Danusię, sąsiadkę, zaprosiłam na kawę zaraz po
otrzymaniu pierwszej pensji. Nie do domu. Tu przychodzi-
ła do matki. Do kawiarni. Z początku się opierała: „Dziecko.
Oszczędzaj. Nie wyrzucaj pieniędzy”. Potem zadowolona
opowiadała o swoich problemach.

Mieszkała dwa piętra niżej w mieszkaniu o takim sa-
mym metrażu i rozkładzie jak moje. Ona z mężem i syn
z żoną. Zamartwiała się, co będzie, gdy na świat przyjdzie
dziecko. Jak się pomieszczą. Z drugiej strony mówiła:

– Może to będzie wnusia. Zabrał mi Pan Bóg córeczkę,
może da mi wnuczkę.

Dorotka-idiotka patrzyła na nią, słuchała uważnie i nie-
śmiało, bezgłośnie szeptała:

– Poznaj mnie. Proszę, poznaj. To ja, twoja Calineczka. Obiecuję. Przyjdzie Dzień Matki. Dam ci piękny prezent. Zadbam o ciebie, żebyś nie musiała się martwić. Może wtedy powiem ci prawdę.

Wieczorem, rozdrażniona, opowiedziałam (tym razem sama podkoloryzowałam) o słowach dziewczyn pani Eleonorze. Znałyśmy się niecałe pół roku, a mówiła, że zastępuję jej nieobecną wnuczkę. Już wiedziałam, że jej chudość, szaroziemisty kolor skóry i żółtawobrazowe plamy to efekt postępującej choroby. Zżerał ją rak trzustki. Powtarzała, że przy mnie jest szczęśliwa. Czuje się dobrze. Że budzi się, wiedząc, że dzięki mnie przytrafi się jej coś dobrego. Mnie też było dobrze. Nawet bardzo. Należały mi się prezenty – bransoletka, łańcuszek, kolczyki... Za dobro należy odpłacać dobrem.

– Dorotko (już od dawna tak do mnie mówiła), bardzo dobrze się składa. Dziś rano dzwoniła pani Zofia. Ta moja znajoma. Pamiętasz, była u nas przed miesiącem. Ta z pieskiem. Przypominasz sobie?

– Tak. Pamiętam. Bardzo miła.

Wstrętne psisko, załatwiło się na tarasie. Obsikało parę kwiatów. Zebrałam ziemię z wierzchu. Opłukałam liście, a i tak dostały plam.

– Jej córka zachorowała. Ona za tydzień miała jechać na wycieczkę zagraniczną. Tylko zapomniałam gdzie. Na parę dni. Chyba sześć. Jeśli córka nie poczuje się lepiej, zrezygnuje i wycieczka przepadnie. Przygotuj się na wszelki wypadek na wyjazd. Pracą się nie martw. Syn załatwi. Dadzą ci urlop.

– Nie mogę pani zostawić – mówiłam z troską w głosie, mimo że z trudem panowałam nad mimiką.

Pani Eleonora była podekscytowana, tak jakby to ona miała wyjechać.

– Nie przejmuj się. Dom wymuskany. Wytrzyma bez ścierania kurzy. Częściej poprzychodzi pani Marysia. Tylko co z twoją siostrzyczką?

– Ona wyjeżdża ze szkoły na dziesięć dni. Właśnie miałam pani powiedzieć. – Zareagowałam szybko, bez chwili zastanowienia. Przeważnie szkołą tłumaczyłam to, że nie mogłam jej gdzieś ze sobą zabrać.

Sprzątając, widziałam w szafie sukienki, bluzki, spódnice. Mój rozmiar. Przymierzałam, gdy pani Eleonora spała. Nie wiedziałam, czy należą do nieżyjącej żony, czy do córki. Były śliczne. Zaczęłam się głośno zastanawiać:

– Nie wiem, czy będę miała odpowiednie ubranie. Nie mam zbyt wielu rzeczy.

– Dorotko! Mam pomysł. – Klasnęła w dłonie. – Syn i tak nie interesuje się rzeczami żony i córki. Wnuczka miała przed wyjazdem zrobić porządek. Teraz wpada tylko na parę dni i też nie ma czasu. Mnie nie przeszkadzały. Jutro rano zadzwonię do pani Zofii. Dowiem się dokładnie, dokąd ta wycieczka. Na jaki klimat potrzebujesz ubrań. Przyjdiesz jutro i razem przejrzymy garderobę. Zabierzesz to, co ci się spodoba, resztę oddamy lub wyrzucimy. Trzeba to wreszcie zrobić...

Pierwszy wyjazd, pierwszy urlop, pierwsza wycieczka – trzy w jednym. Markowa. Oryginał. Nie podróbka. Chorwacja. Pani Krystynie zależało, by być na letnim festiwalu w Dubrowniku. Dla mnie sam wyjazd – i to zagranicę – to koncert najświetniejszych orkiestr świata.

Jechaliśmy autokarem. Wybrzeżem od strony Czarnogóry. Zobaczyłam wyłaniające się otoczone murami

miasto. Dubrownik. Punkt pierwszy wycieczki: zwiedzanie Starego Gradu. Wewnątrz murów (po przekroczeniu bramy Pile) na jednej ze ścian tablica informacyjna. Plan (w siedmiu językach) z budynkami i miejscami, które uległy zniszczeniu podczas wojny. Efektem był podział Jugosławii. Przeszliśmy główną ulicą Placa kończącą się placem Luža. Mała Fontanna Onufrego, wieża zegarowa, pałac Sponza. Odpoczynek i wędrówka po murach miejskich (miejscami wysokich nawet na dwadzieścia pięć metrów). Obeszliśmy całe miasto. Parę godzin szybkiego spaceru. Forty, twierdze, nawet piętrowa baszta. Ślicznie wyglądała restauracyjka w maleńkiej przestrzeni między murami i morzem. Patrząc w stronę gór, można zobaczyć wzgórze Srd (412 m n.p.m.), które mieliśmy w planie na następny dzień.

Upał dał mi się we znaki. Zmęczenie i nadmiar wrażeń. Nie mogłam zasnąć. Pierwszy raz nie z powodu koszmarnych snów. Mimo niewyspania z energią wchodziłam z grupą wąską ścieżką na wzgórze. Strome podejście. Widoki rekompensowały wysiłek. Przewodnik uprzedził, żeby nie zbaczać ze szlaku, bo istnieje niebezpieczeństwo nadeptnięcia na minę. Po kilkadziesiąt minutach byliśmy na szczycie. Stał tam wielki, biały krzyż, z którego platformy można było podziwiać rozległą panoramę. Po prawej stronie szczyt Srd, po lewej koniec Chorwacji i górzyste tereny Czarnogóry. Za plecami wzniesienia Bośni i Hercegowiny. Na dole Dubrownik, Lokrum i inne wyspy. Podobno przy dobrej pogodzie widać Włochy. Zwiedziliśmy muzeum poświęcone obronie miasta przed serbsko-czarnogórską agresją z 1991 r. W każdym pomieszczeniu było słychać przejmujące dźwięki. Na dużych telewizo-

rach odtwarzano nagrania z czasów wojny. Duże przeżycie. Po posiłku mieliśmy czas wolny.

Następnego dnia odwiedziliśmy wyspę Lokrum. Z małego portu za wschodnimi murami miejskimi popłynęliśmy w rejs. Moje wyobrażenia o płynięciu własnym jachtem po własnym morzu we własnym Raju będą już bardzo realne. Pierwszy raz widziałam pawie. Królewskie ptaki. Ta wyspa to rezerwat przyrody. Z ogrodem botanicznym, plażami (widziałam nudystów) i ruinami fortecy. Było je widać z najwyższego punktu Lokrum.

W drodze powrotnej przypominałam sobie: Pałac Rektorów, Sponza, Klasztor Franciszkanów, fortyfikacja Lovrijenac, dom Marina Držića. Nazwy, które muszę zapamiętać. Mętlik z nadmiaru wrażeń poplątał obrazy w mojej głowie. Już nie wiedziałam, co jak wyglądało.

Wracałam z postanowieniem, że jeszcze w tym roku pojedę na kolejną wycieczkę. Telewizor i komputer muszą poczekać...

Po przeglądzie rzeczy synowej i wnuczki pani Eleonory moja garderoba jest pełna ubrań. Buty również pasowały. Dostałam też „podniszczone” (jak mówiła moja pracodawczyni) torby, walizki itp. Moja obecność w domu kierownika spełniła założenia. Norka nie przekroczyła progu mieszkania. Przychodziłam dwa, trzy razy w tygodniu. Wychodziłam około dwudziestej pierwszej. Zarobiłam tyle, że kolejny wyjazd stał się bardzo realny. W soboty i niedziele przychodziła rozszalona pani Maria. Dwa dni bez niego, ze świadomością, że spędza je z norką, były dla niej nie do zniesienia. Moje przypuszczenia potwierdziła pani Eleonora.

– Dorotko, wiesz, że Maria kocha się w moim synu? I to od lat! Jest zaślepiona, zapatrzona w niego, choć nie ma żadnych szans.

– Niemożliwe. Ona jest tylko dobrą sekretarką. Dbą o szefa.

– Sekretarką, tak. – Roześmiała się. – Szparką-sekretarką.

– Jak to szparką? – spytałam zdziwiona.

W jej oczach byłam młodą, ładną, porządną dziewczyną. Rzadkim skarbem w dzisiejszych czasach. Słyszałam, jakie peany na mój temat wygłaszała do syna. Robi to coraz częściej. Czuję, że tka pajęczynę. Nie wiem tylko po co? Mam nadzieję, że nie chce użyć mnie jako konkurencji dla norki.

– Dziecko, ona z nim od dawna sypia. Nie raz, nie dwa. Zawsze wtedy, gdy akurat nie ma przy nim kolejnej norki.

– Jak to możliwe? Zna przecież panią i córkę, znała żonę.

Tym razem naprawdę byłam zaintrygowana. Warto poznać szczegóły. Nigdy nie wiadomo, kiedy i do czego się przydadzą.

– Synowa na długo przed śmiercią nie mogła spełniać obowiązku małżeńskiego. Syn to mężczyzna z klasą. Nie zdradzał żony. Kochał ją. Ale krew to nie woda. Musiał się gdzieś wyładować. Już jako młodzieniec był bardzo popędliwy. Szybko zmieniał dziewczyny. Ale nie dlatego, że był bawidamkiem. Musiał. Nudziły mu się. Gdy dowiedział się, że będzie ojcem, ożenił się. Mój syn to prawdziwy dżentelmen. – Z jej słów biła duma matki. – Pozostał przy żonie do jej śmierci. Był czułym i kochającym mężem. Ona była taką dobrą kobietą. Wyrozumiała żonę. Rozumiała potrzeby mężczyzn. – Westchnęła i nawet otarła ręką suche oczy. – Męskie sprawy musiał zawsze załatwiać inaczej. Ma duże potrzeby.

– Powiedziała pani, że pani syn musiał zmieniać dziewczyny. Jak to „musiał”?

Wychwyciłam w jej słowach ton *marcato*. Grubą kreską podkreśliła to słowo. Kryje się w tym jakaś tajemnica. Czeakałam z żywym zainteresowaniem i przejęciem, pełnym niedowierzania i niezrozumienia. Musiałam ją skłonić do dalszych zwierzeń.

– Doroto, wiem, że mogę ci zaufać. Zachowasz to w tajemnicy. Pani Maria szantażowałaby syna wypaplaniem tego w całym instytucie. Mój syn cierpi na efekt Coolidge’a.

– Co to za choroba? Śmiertelna? – Moje przerażenie było prawdziwe.

– Nie. Dzięki Bogu nie. Jak ci to wytłumaczyć, dziecko. Opowiem ci, skąd się wzięła nazwa tej choroby. Wtedy zrozumiesz.

Usiadła wygodniej. Lubiła mój wzrok wpatrzony w nią z nieograniczonym podziwem. Wiedziała, że zawsze chłonę całą sobą wszystko, co mówi. Byłam niezastąpionym słuchaczem. Teraz już jedynym, dla którego to, co mówi, jest najciekawsze i najważniejsze.

– Dorotko, nazwa pochodzi od nazwiska trzydziestego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Calvina Coolidge’a. Jest on bohaterem następującej anegdoty. Prezydent z małżonką odwiedzili rządową farmę. Rozdzielili się i zwiedzali ją osobno. Gdy pani Coolidge mijiała kurniki, zapytała oprowadzającego ją przewodnika, czy kogut kopuluje częściej niż raz dziennie. „Dziesiątki razy”, usłyszała. „Proszę to koniecznie powiedzieć mojemu mężowi”, odpowiedziała. Gdy prezydenta poinformowano o wyczynach kogutów, zapytał: „Stale z tą samą kurą?”. Przewodnik zaprzeczył, mówiąc, że kogut pokrywa za każdym

razem inną kurę. Prezydent pokiwał w zamyśleniu głową i odparł: „Proszę to powiedzieć mojej żonie”. Już wiesz, co to za przypadłość?

– Pani Eleonoro, wstyd mi, ale nie wiem – powiedziałam z niewinną miną.

– Dorotko, wiesz, co to jest libido?

Zaprzeczyłam.

– Dziewczyno, to popęd seksualny. Mężczyzna nie jest stworzony do monogamii – powiedziała stanowczo, jako coś oczywistego. – Wzrost libido nasila się u niego wraz ze zmianą partnerki. Tę skłonność do kosztowania seksualnych nowości naukowcy określają czasem mianem efektu Coolidge’a.

– Pan kierownik nie jest temu winien. Taki się urodził.

– Okazałam pełne zrozumienie, w myślach dodając: „Mężczyźni nie wiedzą, jaką broń mają w ręku. Większość mężów powinna wziąć zaświadczenia lekarskie: „Stwierdzam u (tu imię i nazwisko) efekt Coolidge’a. Skoki w bok są naturalnym, wytłumaczalnym objawem tej wrodzonej jednostki chorobowej”.

– Dorotko, norce i tak udaje się długo utrzymać go przy sobie. To sprytna baba. Zmienia się jak kameleon. Widziałas, że się przefarbowwała. Zmieniła image. Już Maria się postara, żeby tamta nie miała łatwego życia w pracy. Nazwała ją modliszką. Trafnie. Nie uważasz?

– Tak. Pani Maria jest spostrzegawcza. Dobiera trafne określenia – potwierdziłam.

– O tobie, Dorotko, mówi, że przypominasz jej lilię. Jesteś taka niewinna. Delikatna. Szlachetna. Radzisz sobie z problemami. Znając twoją datę urodzenia, sprawdziła w horoskopie kwiatowym. Trafne określenie ciebie.

Odpowiedziałam delikatnym uśmiechem ze szczyptą niewinności. Całość doprawiłam szlachetnością gestu i pozycji ciała. Większość ludzi, czytając horoskopy, podświadomie wybiera z nich to, co im pasuje, myśląc: „To o mnie”, natomiast odrzuca resztę: „To o innych”. Pani Maria wyczytała tylko to, co chciała dopasować do mnie, według jej powierzchownej oceny. Ludzie urodzeni pod tym znakiem są tylko z pozoru słabi i delikatni. Posiadają wewnętrzną moc. Lilia to nie tylko symbol niewinności. W internecie znalazłam taki opis: „Starożytni Grecy wierzyli, że lilia powstała z kropel mleka, które uroniła bogini Hera. Nazywali ją *leirion*, od przymiotnika *leiros* (delikatny, cienki, wrażliwy). Przypisuje się jej magiczne właściwości. Od niepamiętnych czasów lilia symbolizuje chwałę, królewskość i majestat”. Obie nie zdawały sobie sprawy, jak trafne jest to określenie. Lilia – symbol władzy królewskiej. Znak od Boga. Dla mnie. Podążam właściwą drogą. Prosto do celu...

Minęło parę miesięcy. Kret pasował do norki. Ubrała go w długą czarną jesionkę z flauszu. Czarny kapelusz. I namówiła na wiśniowy szal. Kret z kokardką pod ryjkiem – skojarzyło mi się. Tak pana kierownika nazywałam w rozmowach z Dorotką-idiotką, chcąc ją rozweselić. Siedziałyśmy w naszym Niebie. Przeczytałam jej po raz enty „Calineczkę”. Zastłuchana, dalej rozglądała się nieufnie, czy nie zbliża się, nie idzie, nie woła niewidoczny, niesłyszalny, ale wyczuwalny posłaniec dobra. Był stale przy niej. Nawet gdy udawało mi się uspokoić ją na tyle, że przysypiała, czułam jej napięte ciało, wyostrzone zmysły. Żeby tylko zdążyć zareagować. Równy. Na trzy!

Norka wiedziała, że w instytucie się z niej śmieją. Udawała, że nie wie. Kret był nieostrożny. Przespał się parę razy z laborantką z Pracowni Mikrobiologicznej. Z paroma z innych pracowni też. Tamte milczały. Były mądre. Ta pochwaliła się koleżance, ze szczegółami. Odeszła. Zabawa w głuchy telefon trwa. Norki nikt nie lubił. Mury instytutu szeptały: „Norka z rogami”. Pokoje chichotały: „Dobrze tak norce”. Korytarz, którym szedł pan kierownik, był cichutki. Jednak już po chwili zaśmiewał się: „Eroto-man pipetkowy”.

Moja schorowana stara mysz martwiła się o syna. Niewiele już jej zostało mysiego życia. Była dobrą myszą.

– Dorotko, co byś powiedziała, gdyby mój syn ci się oświadczył? – spytała, patrząc uważnie, jaki efekt wywołają jej słowa. – Wiem, że jest dla ciebie trochę za stary. Radzę ci jednak, dla twojego dobra, przemyśl to i podejmij mądrą decyzję. Byłby nie tylko mężem, lecz także ojcem, którego nie macie i ty, i Dorotka. Twoja siostra, po mojej śmierci, mogłaby zająć mój pokój. Miałybyście wszystko. Pieniądze. Duże mieszkanie. Syn na pewno kupiłby ci samochód. Kraina szczęśliwości. Ty miałabyś swoje życie, tak jak moja świętej pamięci synowa. On swoje. Jednak wspieralibyście się. Pomagali sobie i dbali o siebie. Ja bym się tobą nacieszyła. Tak niewiele mam czasu.

– Nie mogę wyjść za mąż. Wiem, że i pani, i pan kierownik jesteście dobrymi ludźmi. Chciałabym, ale złożyłam mojej mamie przysięgę, że nie wyjdę za mąż wcześniej niż w wieku dwudziestu pięciu lat. Pani Eleonoro, to już nie długo. Wtedy wrócimy do tej rozmowy.

– Dziecko, czy ja dożyję? – Uroniła parę łez.

– Proszę nie płakać. Będę się panią opiekowała najlepiej,

jak potrafię. Przecież za trochę, troszeczkę (musiałam skrócić czas) będzie pani moją teściową.

– Twoi rodzice musieli być bardzo dobrymi ludźmi. – Rozchmurzyła się. – Wychowali cię na dobre dziecko. Ja wiem, że i dla mnie będziesz dobrą córką.

Zaprowadziłam ją do łóżka. Podparłam poduszkami, żeby wygodnie siedziała. Podałam jej ulubioną herbatę jaśminową. Usiadłam wygodnie w fotelu i słuchałyśmy jej ukochanego koncertu Mozarta na flet i harfę C-dur. Mówiła, że to najdelikatniej brzmiący z jego koncertów.

– Dorotko, słuchaj, chłoń muzykę i zachwycaj się. Usłyszysz dźwięk harfy, falujący, delikatny. Solo fletu i w tle skrzypce. To wykwintna muzyka salonowa – powtarzała kilka razy, bo z jej pamięcią było coraz gorzej.

Zobaczyłam, że przymknęła oczy. Minęło niecałe pół godziny, usłyszałam lekkie chrapanie. Ona spała. Mnie muzyka pomagała zebrać myśli.

Nie może umrzeć. Jeszcze nie teraz. Za dwa tygodnie wyjeżdżam na półwysep Istria. To moja ostatnia wycieczka autokarowa. Potrzebuję więcej pieniędzy. Pan kierownik wyjechał na dziesięć dni. W ramach naprawy stosunków z norką. Karaiby. „Uprosił mnie” (nie mogę, co z siostrzyczką, tak bym chciała), płacąc za noce z matką równowartość moich dwóch etatowych pensji. Czyli w tym miesiącu mam pieniądze: od córki, za pomoc, dodatek. Drugi po cichu od pani Eleonory, który na pewno będzie podwójny, plus zapłata za noce – mogę kupić dawno upatrzony stół z krzesłami. Piękny. Godny pomieszczeń królowej. Przy nim zasiądą goście. Po koronacji. Bardzo drogi. Zostanie mi jeszcze na połowę laptopa. W przyszłym miesiącu premia. Pani Maria już mi mówiła,

że się ucieszę, bo czeka na mnie spora sumka. Kupię laptop. Na razie muszę korzystać ze służbowego, a wieczorami z kawiarenki.

W Raju ustawiłam palmy, które dostałam od pani Eleonory. Piotrek je przewiózł. Dwa daktylowce karłowate. Jeden prawie półtorametrowy, drugi maleńki. Na karteczce (żona pana kierownika przy każdej roślince zawiesiła ofoliowane karteczki z nazwą i zasadami pielęgnacji) było napisane: „Jedna z nielicznych palm, które w mieszkaniu wyglądają tak jak w naturze. Wrażliwa na suche powietrze”. W drugim rogu stoi *Licuala spinosa* (najpiękniejsza z palm uprawianych w mieszkaniu). I *Chrysalidocarpus* żółty (łatwy w uprawie, adaptujący się, znosi suche powietrze). W tym miejscu jest najwięcej słońca i światła. Ma piękne złotozielone liście. Przy wejściu postawiłam cyprysik *Goldcrest* o złocistym zabarwieniu igieł. Przy przypadkowym dotknięciu i już czuje się delikatny, cytrynowy zapach.

W pokojo-przedpokoju stoi tzw. salonowa jodełka. Bardzo się rozrosła. Muszę ją oddać, żeby zrobić miejsce na stół i krzesła...

– Alicjo, wyjdź z Krainy Czarów. Duch nakarmiony, czas pomyśleć o ciele. Przygotowałam ci kolację.

– Ciociu, jeszcze chwileczkę. Pięć minutek i przyjdę.

Jak zwykle nie chciała wychodzić z Raju. Wypędzić jej nie mogłam. Nie była Ewą. Nie zgrzeszyła. Była śliczną dziewczynką o wiecznie smutnej, zamyślonej twarzy.

Kiedyś, przy piwie, Piotrek się rozgadał:

– Dorota, nie wiem, co robić. Teraz, po śmierci matki, ona jest właściwie sama ze sobą. W świetlicy nie chce zo-

stawać. Męczy ją hałas. Ojciec pije, czasami pogłodzi ją po głowie, mówiąc: „Nie umiem być ojcem, wybaczcie, dzieci”, i znów zamyka się w pokoju. Ja muszę zarabiać. Sprzątam, gotuję. Nie mam dla niej za dużo czasu. Muszę dorabiać, gdzie i jak się da.

– Piotrek, uważaj. Gdy cię posadzą, ją zabiorą do domu dziecka, a tego na pewno byś nie chciał – przestrzegałam.

Liczył się z moim zdaniem. Czasami tak, jakbyśmy byli rodzeństwem.

– Działamy tylko we dwóch. Z Wojtkiem. Jestem szczęśliwy dzięki tobie, Dorota. Kupiliśmy starą furgonetkę. Zabieramy od ludzi pralki, lodówki, telewizory. Czasami jeszcze na chodzie. Te odsprzedajemy na działki. Z innych wyjmujemy sprawne części. Resztę sprzedajemy jako złom. Da się wyżyć. Renta starego starcza na opłaty. I jakoś leci.

Piotrek był z siebie bardzo dumny. I szczęśliwy, że może być ze swoją ukochaną.

Pół roku temu na moje pytanie, jak zarabiają, odpowiedział, że w magazynach pomagają rozładowywać towar.

– Piotrek, nie bujaj mnie. Wiem, że kradniecie samochody. Skończ z tym. Lepiej kupcie jakiś używany dostawczak. Sami wyremontujecie. Przewoźcie ludziom różne graty, stójcie w pobliżu sklepów. Czasami chcą od razu mieć transport z wniesieniem. Takie byki jak wy świetnie się do tego nadają. Jesteś odpowiedzialny i za małą, i za żonę – mówiłam poważnie. Bez cienia ironii. To ja zorganizowałam im ślub i wesele...

– Ja, Piotrek biorę cię za żonę i przysięgam ci wierność, miłość i że cię nie opuszczę aż do śmierci.

– Ja, Wojtek, biorę cię, Piotrze, za męża i przysięgam ci miłość po grób.

– Od tej chwili jesteście mężem i żoną. Bądźcie dla siebie dobrzy. To w życiu najważniejsze. Czyńcie dobro, a Bóg was pobłogosławi. Przypieczętuje zaślubiny. Możecie się pocałować.

Wojtkowi łzy spływały po policzkach. Piotrek był w siódmym niebie. Ksiądz, świadek, rodzice młodych, goście czekali na koniec małżeńskiego pocałunku, żeby złożyć im życzenia. Wszyscy w jednej osobie. Mojej.

Ślub odbył się w Raju. Uczta weselna też. Siedzieliśmy na trawie. Kupiłam sztuczną, żeby piasek się nie roznosił. Piotrek zrobił z listewek niski płotek wokół plaży. Zamontował mały wiatraczek, żeby liście poruszały się jak przy lekkiej bryzie. Zawieszane za palmami kinkieciki były niewidoczne. Delikatnie podświetlały i rzucały cień. W podziękowaniu za otworzenie furtki do ich szczęścia dali mi dużą, kulistą bryłę soli: „To słońce od nas, Doroto. Do twojego Raju”. Dawała lekki półmrok, zasnuty czerwoną mgiełką. Magiczne uczucie ciepła.

Menu weselne to kawa, porcja tortu i kieliszek wina dla każdego. Wiedziałam, że oni słowa na temat mojego Raju i Nieba nie pisną nikomu. Oni byli pewni, że ja o ich tajemnicy też nie. Widząc, jak się męczą, zaproponowałam: „Dam wam ślub. Chcecie mieć świadka swojej przysięgi. Ja nim będę. I wy. I to wystarczy”. Poradziłam: „Ty, Piotrek, powiedz ludziom, że Wojtek to siostrzeniec twojej matki. Nie ma gdzie mieszkać. Ojciec i tak z nikim nie gada. Za mieszkanie dołoży się do życia. Alusia kocha wujka i też chce, żeby był blisko. Będziecie razem. Dla mnie będziecie małżeństwem. Ludzie nie mogą się dowiedzieć. Wy dali-

byście sobie radę. Alusię zaszczują. Doniosą, że alkoholik i pedały wychowują dziecko. Zabiorą ją”.

– Alicja! Do mnie! Na trzy! – krzyknęłam, żeby mała wreszcie wyszła z Raju.

W tym samym momencie skuliłam się, zadrżałam. On tu był. We mnie. Czułam. Widziałam. Słyszałam. Pobiegłam do niej.

– Alusiu. – Spokojniej, ciszej, łagodniej. Głaszcząc ją po główce (to już potrafiłam), wyprowadziłam z Raju. Posadziłam przy stoliku. – Jedz, na pewno zgłodniałaś. Poczytam ci.

Dorotce-idiotce czytałam „Calineczkę”. Alusi, moją, Doroty, ulubioną bajkę „Alicja w Krainie Czarów”. Mała teraz często gościła u mnie w soboty i niedziele. Pukała cichutko do drzwi, nigdy nie dzwoniła. Wrażliwe dziecko. Wiedziała, że jeśli nie otwieram, to znaczy, że nie chcę otworzyć. Leciutkie pukanie wystarczało, gdy chciałam ją wpuścić. Bardzo ją polubiłam. Któregoś dnia przyklęłam przy niej i wyszeptalam:

– Alu, zaprowadzę cię do pokoju czarów. Pod jednym warunkiem. Nikt nie może się dowiedzieć. Inaczej Raj zniknie. Przemieni się w zwykły pokój.

Kładła się na podłodze. Godzinami patrzyła na morze i przechodziła przez lustro. Tak jak moje wyśnione dziecko z krainy marzeń. Przy kolacji zawsze czytałam jej fragmenty bajki i potem jeszcze raz, skrótowo, wracałam do treści, żeby wszystko zrozumiała.

– Alusiu – tłumaczyłam małej, patrząc jak pałaszuje kanapki. – To magiczny świat. Lustrzane światło. Kraina czarów. Alicja chce zostać królową. Wie, że nie wystarczy

chcieć. Trzeba się uczyć. Pracować. Pokonała już Czarną Królową, egoistycznego Wańkę-Wstańkę, Tralambuma i Tralambima w jednym. Dużo walki jeszcze przed nią. Jako mądra dziewczynka wie, że nie może ufać Mantykokcie. Niby pomaga, a szkodzi. Szczery Kot ma mi dzieci swym urokiem. W rzeczywistości jest niebezpiecznym tygrysem. Ty też nie możesz ufać wszystkim, którzy wydają ci się dobrymi ludźmi. Ani kobietom, ani mężczyznom. A już na pewno nie tym, którzy chcą, żebyś z nimi gdzieś poszła, dając ci czekoladę czy obiecując prezent – tłumaczyłam.

– Mama też tak mówiła. Jak ty, ciociu.

Skończyła jeść. Podparła bródkę rączkami i czekała na moje słowa.

– Alicja z bajki nauczyła się, że czas nie istnieje. Świadomość i czas to dwie strony tej samej monety. Wyłączysz świadomość i możesz jeść lody przez cały dzień, a nawet i noc.

– Ja wiem, wiem – zawołała. – Jak wchodzę do Raju, to jestem tam pięć minutek, a ty mnie już wołasz i mówisz, że byłam dwie godziny.

– Dobrze to rozumiesz, Alusiu – pochwaliłam. – Słuchaj dalej. Wszędzie było dużo bezimiennych Lustrzanych Owadów. Wierzono, że rozmawiają z duszami zmarłych i z nastaniem wieczoru stają się potworami.

– To dlaczego Królik ją tam zaprowadził?

– Królik to symbol. Magiczny przewodnik. Ten, kto za nim podąży, wejdzie do świata demonów.

Im więcej z nią przebywałam, tym częściej widziałam w niej swoje dziecko. Dziecko, którego nie mogę mieć. Świadomie. Zrobiłabym mu krzywdę. Zacałowała, zaprzytuła, zaściskała. Zapewne zadręczyła dobrocią na śmierć. Alusi

nie potrafię przytulić, ale pogłaskać po główce już tak. Za to Dorotka-idiotka bawi się z nią, śmieje, żartuje i obie są zadowolone. Obie wyganiają swoje Lustrzane Owady...

– Dzień dobry, pani Doroto. Proszę siadać. Zrobić kawy? – zapytała z uśmiechem pani zza biurka.

Tylko w tym biurze wykupywałam wycieczki. Zawsze u niej. Mogłam liczyć na specjalne „honory” (kwiatek, czekolada, perfumy, ciastka do kawy – niewiele kosztują, a czynią tyle dobra). Dzwoniła, gdy coś ciekawego pojawiał się w ofercie. Wiedziała, że mogę dostosować się do terminu. Jeśli coś mi nie pasowało, zawsze zwracała pieniądze. Okazje. Umiarkowany klimat. Kilka dni. Byłam w Berlinie. W Londynie. W Pradze. W Budapeszcie.

– Pani Elu, za trzy tygodnie muszę wziąć urlop. Przymusowo. Tydzień. Proszę dla mnie poszukać czegoś interesującego.

– Przymusowy urlop. Co się stało? Zwolnili panią?

– Nie, nie – uspokajałam. – Jest awaria. Trzeba zamknąć laboratorium. Przy okazji zrobią remont. Wszyscy pracownicy dostają urlopy.

– Były u mnie wczoraj dwie panie. Też podawały taki powód. Wzięły dwa miejsca do Wenecji. Może to pani koleżanki. Zostało jedno.

Spojrzałam na nazwiska. Małpy. Mówiły, że będą siedzieć w domu. Po powrocie chciały się znaleźć w centrum zainteresowania.

– Wolę być sama. Chcę odpocząć, przy okazji także od koleżanek z pracy.

Przeglądała oferty, popijałyśmy kawę przy ciasteczkach, które przyniosłam.

– Mam jedno miejsce, ktoś dzwonił, że musi zrezygnować. Chorwacja. Ale pani tam już chyba była? – Szukała dalej.

– Dubrownik? – zapytałam zaciekawiona.

Moja pierwsza wycieczka, podróż, przygoda. Okno na świat. Zaświtała mi myśl. To znak. Ostatnia też w Chorwacji. Już zdecydowałam.

– Półwysep Istria. Poreč. Wyjazd w piątek po południu. Dziewięć dni. Powrót w niedzielę. Zaznaczają, że mogą to być godziny nocne.

– Biorę. Płacę od razu. I bardzo się cieszę.

Nie rozumiała mojego uporu. W tej samej cenie proponowała mi okazje. Wyspy, plaże. Piękna pogoda. Samolotem. Nie chcę latać. Boję się. Leci ku niebu. Ja chcę dolecieć sama...

Nie polubiłam wycieczek. Długich podróży autokarowych. Początkowo tylko one były na moją kieszeń, szczególnie w okazjach na ostatnią chwilę. Potem stać mnie było na Karaiby. Wybierałam te krótkie. Ze względu na siostrę. Tylko po to, żeby moja odpowiedź na pytanie: „Gdzie spędziłaś urlop?” nie odbiegała od innych. Nie wywoływała ukrywanego politowania i żeby nie słyszała: „Biedactwo! Brr. Wieś. Pewnie z utęsknieniem oczekujesz końca urlopu, żeby wrócić do ludzi, do cywilizacji”. Nieważne, jaki standard autokaru – te odrętwiałe plecy, spuchnięte nogi, ból głowy i myśl towarzysząca od samego wejścia do pojazdu: „Będę dobra, Boże. Spraw tylko, abym już mogła wysiąść”. Szum i gwar rozmów współtowarzyszy. Zapach alkoholu pomieszany z potem. Tabletki przeciwbólowe (na ból głowy) w torebce. W dużych ilościach. Podobnie jak nasenne, bez których trudno było mi funkcjonować po nieprzespa-

nych nocach. Łączyły działanie uspokajające z nasennym. Taka „mieszanka wybuchowa” powodująca plagę zatruć. Coraz trudniej dostać coś z barbituranów. Wycofuje się je z rynku. Ja nie muszę się martwić. Koleżanki pomogą. Efektem nadużycia często jest śmierć. Jeśli ktoś będzie chciał umrzeć, to i tak umrze. Jest tyle innych sposobów, nie mówiąc o zapiciu się. Ludzie z najgłupszych powodów odbierają sobie życie. Najczęściej za wcześnie. Skazując się na wieczne potępienie. Trzeba żyć, żeby czynić dobro. Trzeba się w tym doskonalić. Dopiero przygotowanym można stanąć przed obliczem Pana.

„Czego chcesz?” to najważniejsze pytanie, jakie należy sobie zadać. I odpowiadając na nie, trzeba być uczciwym. Nie bać się siebie. Swoich pragnień. Nie oceniać ich. Nie mówić tego, co wypada – sobie. Jak często za wypowiedzianymi pragnieniami schowane są głęboko te prawdziwe! Boimy się do nich przyznać sami przed sobą. Bojąc się, nie osiągamy celów.

Podczas jazdy czytałam. Sam tytuł był intrygujący: „Proś, a będzie Ci dane” E. i J. Hicks. Zrozumiałam, że kluczem do realizacji moich pragnień jest świadome podążanie drogą wewnętrznego rozwoju. Ale nie tylko. Muszę jeszcze z radością prosić o wszystko, czego potrzebuję. Wtedy na pewno będzie mi to dane.

Piloci wycieczek nie bardzo wiedzieli, jak zapanować nad grupą ludzi podzielonych na zaprzyjaźnione chwilowo grupki. Każda miała inne pretensje, większość była niezadowolona ze wszystkiego. Pokój nie taki. Za zimno. Za gorąco. Za krótkie przerwy na odpoczynek. Za szybkie tempo zwiedzania, za dużo czasu wolnego, za mało

atrakcji. Od rana do wieczora: nie tak, w nieodpowiednim miejscu, czasie lub okolicy.

Po dotarciu do celu okazało się, że zaistniała pomyłka i zakwaterowano nas w hotelu robotniczym prawie dwadzieścia kilometrów od miasteczka Poreč. Łazienki wspólne, po dwie na korytarzu. W pokojach brak umywalek. Pół metra przestrzeni między dwoma łózkami. Malutkie szafki, szafa na parę wieszaków. Miałam tego dosyć. Zebrałam wszystkich wokół siebie.

– Słuchajcie. Nie bierzcie kluczy. Nie ruszamy się. Żądamy zakwaterowania w warunkach, które nam obiecano i za które zapłaciliśmy, albo wracamy.

Przewodniczka zgarbiła się i stojąc przy oknie, udawała, że nie słyszy. Że nie ma z nami nic wspólnego. Zawołałam ją.

– Pani Anno, proszę do nas. Pani jest pilotem. Do pani obowiązków należy wyegzekwowanie obiecanych w umowie warunków. Proszę porozmawiać z przedstawicielem firmy. My się stąd nie ruszymy.

Widziałam, że część osób chętnie rozeszłaby się do pokoi, żeby choć na chwilę się położyć i dać odpocząć nogom. Jechaliśmy czternaście godzin z dwiema pięciominutowymi przerwami na: „Panowie na prawo, panie na lewo”. Toaleta w autokarze była nieczynna. Zmęczenie malowało się na wszystkich twarzach. Na szczęście grupa złożona z trzech młodych par była w bojowych nastrojach. Kilka kieliszków koniaku podniosło poziom adrenaliny. Oni przejęli inicjatywę. Kierownik hotelu, pilotka i przybyły przedstawiciel firmy poprosili o pół godziny cierpliwości.

– Proszę dla wszystkich coś gorącego do picia. Kawę,

herbatę. Wtedy możemy poczekać. – Usłyszałam zdecydowany głos koniakowatego.

Przystojny facet. Szatyn, niebieskie oczy, wysportowany. Przydałoby się tak z piętnaście centymetrów wzrostu i byłby idealny. Cóż. Widocznie czekał w kolejce po inną część ciała, gdy Pan Bóg obdarowywał wzrostem. Obdzielanie przez Stwórcę przymiotami wewnętrznymi i zewnętrznymi jest sprawiedliwe. Gdy czegoś daje więcej, to dla równowagi czegoś innego mniej. Najpierw wzrost. Do wyboru. Większość mężczyzn ustawia się w kolejce do tego najwyższego. Ci mniej sprytni dostają już to, co zostanie. I tu przewrotność, a może Boskie poczucie humoru, mała niespodzianka. Na sznurku zawieszono od najmniejszych do największych klejnoty męskości. Tu niestety nie działa zasada pierwszeństwa. Wyznaczona kolejność. Najwyższy dostaje to, do czego środkowy palec dotknie czubkiem. Najniższy według tej samej zasady. Stąd do dziś gest wyprostowanego środkowego palca jest jednoznaczny.

Koniakowaty musiał się dobrze załapać. Żeby to ocenić, wystarczyło trochę spuścić wzrok. Mężczyźni taksują naszą sylwetkę, oceniając przez sekundę twarz, po czym zatrzymują wzrok na piersiach, potem na nogach, biodrach i wracają do twarzy. Oczywiście jeśli uznają, że warto.

My widzimy sylwetkę. Szukamy oczu, ust, nosa. Patrzymy na czuprynę, bary, potem – w zależności od tego, czy mężczyzna stoi przodem, czy tyłem – kierujemy wzrok na rozporek lub kieszenie spodni. Nas interesuje oczywiście krój, a nie to, co pod nim. Czasami patrzymy tylko na spodnie, czy to aby na pewno facet. Reszta nie jest istotna.

– Proszę państwa, mam bardzo dobrą wiadomość – zaczęła przewodniczka. – Zostaniecie zakwaterowani w wil-

lach tuż przy plaży. Proszę podzielić się na cztero- lub sześćoosobowe grupy. – Słyszając pomruk dezaprobaty, szybko dodała: – Sypialnie dwuosobowe, łazienki, wyposażenie kuchenne, wszystko. Na pewno będziecie zadowoleni. Tarasy i balkony. Trzynaście kilometrów do centrum. Autobus co dwadzieścia minut. Gdy uzbiera się więcej chętnych, autokar zawiezie was we wskazane miejsce i przywiezie z powrotem. – Wszyscy zaczęli bić brawo i ładować swoje bagaże do autokaru. Już w środku dodała: – Muszę poinformować, że są to bardzo drogie apartamenty, których cena przekracza tę opłaconą przez państwa. Dlatego będziecie musieli dopłacić różnicę. Ale to już po powrocie. – Zdenerwowana, czekała na reakcję.

Zapadła cisza.

– Nikt z nas nie będzie niczego dopłacał za państwa niedbalstwo. Proszę poinformować, że to my się zastanowimy, czy nie wystąpić o odszkodowanie za zmienioną lokalizację. Zapłaciliśmy za luksusowy hotel w centrum miasta - mówiłam, czując narastającą wściekłość. – Odszkodowanie należy nam się także za nerwy, które nam państwo zafundowali już na samym początku – dodałam przy aplauzie współtowarzyszy.

Byłam bardzo zmęczona. A do tego jedyna bez pary. Nawet przewodniczcze towarzyszył syn...

Lanterna. Luksusowy ośrodek nad samym morzem. Mnie wspólne zamieszkanie zaproponowali koniakowaty z żoną. Została dla nas willa stojąca najdalej od centrum ośrodka. Komfortowo urządzona. Klimatyzacja i ogrzewanie. Dwie sypialnie i pokój dzienny. Pozwoliłam im wybierać.

Stałam na tarasie i słuchałam szumu morza. Do plaży było podobno około dwudziestu metrów. Cisza. Spokój. Miejsce dla mnie. Dołączył do mnie koniakowaty. Podał kieliszek właśnie z tym trunkiem.

– Mamy kuchenkę elektryczną, mikrofalówkę, lodówkę, nawet piekarnik – zaśmiał się.

Głos miał stanowczy, ale miękki. Smutny, przygnębiony. To nie było zmęczenie.

– Pani Doroto, Ewa, moja żona, położyła się. Mówiliśmy o tym, żeby zaproponować brudzia. Spędzimy razem parę dni zdani na swoje towarzystwo. Będzie przyjemniej i swobodniej. – Czekał na odpowiedź, patrząc mi w oczy.

Zdjęłam wcześniej szpilki i byłam w klapkach. Był wyższy tylko troszeczkę, ale jednak.

– Dorota. – Wyciągnęłam rękę.

– Adam. – Odpowiedział mocnym, krótkim uściskiem dłoni. Rankiem przeszliśmy na „ty” z Ewą. Brązowe włoski z ciemniejszymi miejscami, przystrzyżone na dwucentymetrową szczecinkę. Cieniutkie brwi, sinawe powieki i zapadnięte zielonkawoniebieskie oczy, które sprawiały wrażenie przykrytych szklami od okularów trzymającymi się bez oprawek. Długi nos, podobny do dzióbka ptaka. Usta ładnie wykrojone. O głowę niższa ode mnie. Szerokie ramiona i klatka piersiowa, krępa sylwetka. Przypominała ptaszka z rodziny skowronków. Dzierlatkę – śmieciuszkę.

– Ewa. Miło mi, że będziesz z nami.

Podawała mi rękę wnętrzem dłoni do góry. Gestem uległym, pozbawionym agresji, przypominającym gest żebraka. Odruchowo wyprostowałam jej dłoń i lekko uściśniłam. Trzymając moją, patrzyła mi prosto w twarz. Jej wyraz oczu był dla mnie zaskoczeniem. Odważny strach. Beznadziejna

pewność. Agresywna uległość. Patrzyła, jakby pytała, co widzę. To ja odwróciłam wzrok. Chciałam cofnąć rękę. Nie puszczała. Trzymała mnie mocno, zdecydowanie.

– Doroto, chcę od razu wyjaśnić parę kwestii. Nami się nie krępuj. Większość czasu będziemy spędzać tu, na tarasie. I na plaży. Zaplanowaliśmy picie wina, słuchanie szumu fal i odpoczynek. Jesteśmy tu po raz drugi. Za pierwszym razem zwiedzaliśmy do upadłego. Teraz ma to być błogie leniuchowanie. Dla nas wyżywienie oferowane przez hotel jest wystarczające. Nie planuję piczenia. – Roześmiała się.

Byłam coraz bardziej dezorientowana. Mocny uścisk. Łkający śmiech.

– Ewa, ja też nie planowałam grupowego zwiedzania. Chcę poznać okolicę sama. Słyszałam, że cudowna jest Bazylika Eufrazjana z VI wieku ze złotymi mozaikami bizantyjskimi. Wstęp podobno bezpłatny. Tu jest tak pięknie. Byłam rano na plaży. Pogoda ma dopisać. Mną też się nie krępujcie.

Po chwili dołączył do nas Adam. Siedziałyśmy na tarasie. Otulił Ewę szalem. Pocałował w czoło. Jej wzrok wreszcie był czytelny. Miłość i czułość. Mnie podał koc.

– Ty też się okryj. Zrobiło się chłodno, a siedzicie tu jak te kwoki. Widzę, że się polubicie. A ja będę dbał o swój harem.

Czułam, że mówi to, żeby rozbawić Ewę.

– Kogucie, nie piej, tylko daj coś do picia. Kupiłeś?

– Oczywiście.

Wstał i za chwilę wrócił z paroma butelkami wina czerwonego, białego, wytrawnego, słodkiego. Spojrzałam zaskoczona.

– Dorotko, nie wiedziałem, jakie lubisz i ile lubisz wypić, a nie mam ochoty wracać – zażartował. – Zapraszam na

nasz wieczorek zapoznawczy. Nasi już się bawią. Dorota, tu jest centrum rozrywki „Zodiak”. Tańce na tarasie. Dyskotecki, wybory miss, koncerty i liczne imprezy. Możesz zaszać. Wypożyczalnie sprzętu wodnego. Automaty do gier. Czego dusza zapragnie. My z Ewą planujemy emeryckie wczasy.

– Nie przesadzaj. Przed nami spacer, tyle tu winnic. Może raz przejedziemy się do Poreču? Do naszej kawiarenki? – zaproponowała Ewa z ożywieniem.

– Zobaczymy, jak się będziesz czuła.

Popijaliśmy wino. Do późnego wieczoru siedzieliśmy w ciszy. Każdy zatopiony w swoich myślach. Adam przyniósł drugi koc dla żony. Otulił ją i trzymając jej rękę, delikatnie głaskał palcem.

Organizatorzy powiadomili, że przewidują tylko jedną wycieczkę objazdową. Obserwowanie z autokaru atrakcji i zabytków mijanych miasteczek. Zwiedzanie Puli i nocny powrót. Zapewne chcieli w ten sposób zrekompensować sobie koszty hotelu. W planie były codzienne wycieczki i zwiedzanie zabytków. Za autobus do centrum też nie płacili. To już nie była moja, to znaczy nasza sprawa. Nam to odpowiadało. W dzień plaża, po południu rozmowy z Adamem. Ewa drzemała. Wieczory spędzane we troje na tarasie i duże, bardzo duże ilości wina.

– Stoliczku, nakryj się. *Hladni pladanj*. – Adam postawił przed nami półmisek i zawrócił. Po chwili usłyszałyśmy: – Wszystko, co najlepsze, dla moich księżniczek. – Stawiał miseczki z figami, migdałami i rodzynkami. Na talerzu piękne kiście winogron. – Musicie coś zjeść. Żałuj, Dorota, że nie dałaś się namówić na stubicę. Ewa zna ten smak. Pyszna pieczeń wieprzowa z farszem śliwkowym duszona w winie i śliwowicy. Gdzie Ewa?

– Nadal czuje się słabo. Poszła się położyć. Ta temperatura ją męczy. Prosiła, żeby jej nie budzić. Poleży, poczyta i trochę się prześpi.

– Pójdę do niej. Sprawdzę, czy czegoś potrzebuje.

– Adam, idź na paluszkach. Nie obudź jej, wyglądała na bardzo słabą. Chociaż stara się to ukryć.

Na półmisku zimne przekąski: plastry salami, szynki, małych kielbasek, owczego sera, oliwek, kilka strąków papryki. Widziałam ich smak i poczułam głód. Sięgnęłam palcami po kielbasę, wachałam, ugryzłam kawałeczek, przeżuwając dokładnie.

Pani Eleonora mówiła, że tylko tak można wyczuć wszystkie smaki, zapachy, przyprawy. Potrawami należy nasycić każdy ze zmysłów. Najpierw wzrok – wyglądem, barwą, dekoracją. Potem węch – poszczególnymi woniami, aromatem bukietu. Kubki smakowe – delectowaniem się jedzeniem. Spożywanie w biegu to zaspokajanie wilczego głodu. Łapczywe zjadanie to żarcie. Samo przełykanie to morderstwo kolorów, zapachów i smaków.

To, co mówił Adam, było tłem. Główny motyw: słowa „dla moich księżniczek”. Liczba mnoga zaimka „mój”. Wróciłam myślami do poprzedniego wieczoru. Siedzieliśmy do późnych godzin nocnych na plaży. Sami. Ewa spała, strudzona po dość długim spacerze. Patrzyliśmy przed siebie. Powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Skuliłam się. Adam przysunął się do mnie. Objął ramieniem, przytulił. W pewnej chwili usłyszałam jego szept:

– Ewa była w ciąży. Drugi miesiąc. Tak bardzo się cieszyliśmy. Nie wierzyliśmy w przesady. Śmialiśmy się, słysząc: „Nie kupujcie jeszcze rzeczy dla dziecka. To przynosi pecha”. Mieliśmy już prawie wszystko. Od dnia, w którym lekarz po-

twierdził ciężę, stale kupowaliśmy coś nowego. Wymarzone łóżeczko Ewy, na zamówienie. Dla małej księżniczki lub księcia. Gotowe. Karoca czekała. Wieczorami w łóżku czytaliśmy poradniki. Ewa jest skrupulatna, dokładna i dociekliwa. Musi czuć się przygotowana, przewidzieć, wiedzieć to, co ma jej pomóc w osiągnięciu celu. Wszystko chce robić dobrze. Uważała, że dokładne przygotowanie będzie z korzyścią dla naszego dziecka. Tak mi tłumaczyła, gdy się śmiałem, że trochę przesadza, czytając już o problemach wieku szkolnego. Zimno ci, wracajmy. – Wyczuł, że się wzdrygnęłam.

– Nie, Adamie, jest dobrze. Mów dalej. – W myślach się przeraziłam: „O Boże. Mówi o niej czy o mnie?”

Odwiązał sweter przewiązany przez biodra. Zarzucił mi go na ramiona. Usiadł. Jeszcze mocniej mnie przytulił.

– Pod łopatką, w miejscu zapięcia stanika, już z miesiąc wcześniej Ewa zauważyła brodawkę. Dla mnie była to zwykła mała narośl. Sam mam parę takich. Powiększała się obcierana zapięciem. Przeszkadzała. Postanowiła ją usunąć. Od lekarza wyszła zapłakana. Nie chciała nic powiedzieć. Dopiero w domu. „Adam. Muszę ją natychmiast usunąć. Jestem w ciąży. Ona wygląda podejrzanie. Przemiana hormonalna czasami powoduje czerniaka”, powiedziała. „Jest blada, nie czarna” – uspokajałem ją. Wiedziałem, że czerniak to jeden z najzłośliwszych nowotworów. Czarne plamki na skórze, o nierównych, zaczerwienionych obrzeżach. „Nie jest ani czarna, ani nierówna. Zaczerwieniona od obtarcia. Jutro wytniesz i będzie po sprawie. Uspokój się, bo zaszkodzisz dziecku”. Ten argument zawsze działał. „Masz rację”, zgodziła się, ale wyczuwałem, że tylko po to, żebym nie zaczął się martwić. I zaproponowała: „Połóżmy się i posłuchajmy muzyki. We troje”.

Poczułam, że tym razem on zadrżał. Zamilkł. Długo nic nie mówił. Nietrudno było się domyślić ciągu dalszego. Sińce Ewy, jej słabość i słowa: „Muszę się napatrzeć, nacieszyć, nasłuchać dźwięków”. Niezrozumiałe pierwsze wrażenie stało się jasne. I spojrzenie, i ton głosu, i uścisk dłoni.

– Brodawkę wycięto. Dano do histopatologii. Rozpoznanie czytaliśmy parę razy. Nie rozumiejąc, co widzimy. *Melanoma malignum*. IV stopień wg Clarka. 3,99 mm wg Breslowa. Postać bezbarwnikowa. Ewa była spokojna. Otworzyła laptopa. Po dwóch godzinach przeglądania różnych stron, czytania pytań i odpowiedzi na forach wiedzieliśmy wszystko. Czerniak złośliwy. Najzłośliwszy. Postać niezawierająca barwnika lub zawierająca jego znikome ilości, co świadczy o niezmiernie małym zróżnicowaniu komórek nowotworowych. Ogromna złośliwość o niepomyślnym przebiegu. Według obydwu skali bardzo zaawansowane stadium. Do roku. Poprosiła, żebym nic nie mówił. Musi pomyśleć. Nie spaliśmy całą noc. Rano powiedziała: „Już wiem, co muszę zrobić, co zrobimy. Powiem ci po wizycie u onkologa”. Zlecieli dodatkowe badania. Miała już przerzuty. Wątroba i kości. „Kochanie, ważne, że nie w mózgu”, mówiła z przerażającym spokojem, informując mnie, co postanowiła: „Mogę nie doczekać porodu. Nie wiadomo, co ze zdrowiem dziecka. Nie pozwolę przyjść na świat sierocie. Usunę”. Nie docierało do niej żadne tłumaczenie, że dziecko przecież będzie miało ojca, że jestem ja. Jej matka umarła przy porodzie. Ojciec, który bardzo matkę kochał, nie odebrał córki ze szpitala. Winił ją za śmierć żony. Ewa wychowywała się od piątego roku życia (po śmierci babci) w domu dziecka. „Adamie. Nie poddam się leczeniu. Rokowania dla mnie są jednoznaczne. Chcia-

łabym wyjechać. Najbardziej do Japonii. Powtórzyć naszą podróż poślubną. Rozmawiałam z lekarzem. Odradzał. Pojedziemy do Chorwacji. Do Poreču. Na wino, do naszej kawiarenki. Tam, gdzie się poznaliśmy”. Potem długo milczała, aż w końcu powiedziała: „Zapamiętaj, Adasiu. Ja już wiem. Zrozumiałam, że dobro i zło idą w nierozłącznej parze. Nie wierzyliśmy w przesady. Nie wierzymy w Boga. Los dał nam dziecko. Był dobry. Za bardzo się cieszyliśmy. Pokarał mnie chorobą. Żebym nie rozpaczała, nie mam, na razie, przerzutów do mózgu. Załatw najszybszy termin”...

Wrócił Adam.

– Przepraszam, że tak długo. Ooo! Nic nie zjadłaś. Posiedziałem z Ewą. Okazało się, że nie spała. Wiedziała, że wróciliśmy nad ranem. Była zadowolona, że ci powiedziałem. Nie będzie musiała udawać. Poczuj się swobodniej. Wiesz, Dorotko, zaskoczyła mnie. Mówi, że czuje, jakbyście się znały od dawna. Na moje: „Ewuniu, znamy Dorotę dopiero cztery dni, a ty mówisz, że nadajecie na tych samych falach. Nie poznaję cię. Ty, taka nieufna wobec ludzi” odpowiedziała: „Kochanie, ty też ją traktujesz jak naszą starą przyjaciółkę. Powiedziałeś jej. Z nikim do tej pory nie rozmawiałeś o mojej chorobie”.

Adam patrzył na mnie z chochlikami w oczach. Odrobina blasku. Potrzebna mu była ta wczorajsza rozmowa. W zasadzie monolog. Czując ciepło drugiej osoby, wyszeptał swój strach, gniew, przerażenie, rozpacz. Pił wino, dziwnie mi się przyglądając.

– Dziewczyno, jesteś wróżką? Czarownicą? Zaczarowałaś nas? Zakłęłaś czas, żeby stanął? – Roześmiał się naprawdę szczerze.

– Jakbyś zgadł. – Chciałam podtrzymać pogodny nastrój.

– Ewa czyta. Za godzinę, gdy zrobi się troszkę chłodniej, ma się do nas przyłączyć. Obiecała, że zje, co mamy, pod warunkiem że będzie dużo wina. To co z tymi czarami?

– Jestem mądrą wróżką – odpowiedziałam. – Znasz teorię względności Einsteina?

– Wzór czy wytłumaczenie? – spytał zaskoczony.

– W paru prostych słowach powiedz, na czym polega istota względności. Prosto, tak żeby największy jełop zrozumiał – poprosiłam, śmiejąc się serdecznie z jego zaskoczenia moim pytaniem.

– Nie da się, kobieto. To dość skomplikowany, dłuższy wywód – powiedział, patrząc na mnie trochę dziwnie. Z politowaniem, jakby mówił: „Masz za mały mózdzek”.

Chichocząc, ale już tylko w środku, pomyślałam: „Typowy samiec”. Poważnie, z podkreślaniami słów wyjaśniałam:

– Adamie, twoja bardzo mądra żona i ja, twoja supermądra, kilkudniowa nieznajomo-przyjaciółka (to moje, utworzone właśnie określenie), znamy najprostsze wytłumaczenie względności.

– Mów wreszcie. Widzę, że chcesz ze mnie zrobić głupka. Pewnie za tę czarownicę.

– Sam Einstein dał wyjaśnienie, mówiąc: „Gdy siedzisz z przemiłą dziewczyną przez dwie godziny, wydaje ci się, że to tylko minuta. Lecz gdy siedzisz przez minutę na gorącym piecu, wydaje ci się, że trwa to dwie godziny. Na tym właśnie polega istota względności” – mówiłam nie bez satysfakcji, widząc jego minę.

– Skąd to znasz?

– Adamie, ty odrabiałeś lekcje, ja się uczyłam. Proste, co? Roześmialiśmy się. Widziałam w jego spojrzeniu zaciekawienie.

– Muszę przyznać Ewie rację. Nadajecie na tych samych falach. Ona wyszukuje jakieś myśli, cytaty tylko po to, żeby mnie zaskoczyć w sprzyjającym momencie. Moja kolej. Też cię zaskoczę. Mam dla ciebie prezent.

Wręczył mi zawinięty pakuneczek.

– Co to?

– Rozwiń.

– Pocztówki z Poreča? I przewodnik? Dziękuję, Adamie. Chętnie obejrzę, później.

– Nie. Zrób nam kawę, a ja poukładam je w kolejności. Pójdziemy główną ulicą starego miasta, z łacińska zwaną Dekumanus, z wypolerowanymi białymi kamieniami. Zabieram cię na wycieczkę. Nie chciała góra do Mahometa...

– Mrugnął okiem, dając mi znak, że też zna powiedzenia odpowiednie do danej chwili.

Przyniosłam kawę. Papierosy. Mogliśmy swobodnie zapalić. Adam umiał opowiadać. Dokładnie, ze szczegółikami. Część zapisywałam za jego żartobliwym pozwoleniem.

– Pisz, pisz, mądra Doroto. Nauczysz się na pamięć i będziesz błyszczeć wiedzą. Zapisz. Piękny, czteropiętrowy pałac Sincič, pozostałości starożytnego ołtarza Neptuna.

– Gruchacie, gołąbeczki. Stoję tu już dziesięć minut, nie chcę przeszkadzać w słodkim tête à tête. Może jednak czas na trójkącik. Nie macie wyjścia, ja i tak się przyłączam. Z tego, co słyszałam, kończycie wycieczkę. – Ewa przyglądała się nam z kubkiem herbaty w ręku.

Widziałam ją kątem oka. Nie reagowałam. Byłam ciekawa, jak się zachowa. Obserwowałam ją od pewnego czasu.

Ona mnie. Obie wiedziałyśmy, że słyszemy więcej, widzimy więcej, mówimy więcej. Ja uczyłam się tego od dziecka, o czym jej nie powiedziałam. Ona opanowała to chyba w chwili, gdy dotarła do niej świadomość, że na słyszenie, widzenie i mówienie ma bardzo mało czasu.

– Ewa. – Adam poderwał się z fotela. – Kochanie, zjesz coś? – spytał jak zawsze z wielką troską. – Co ci przynieść?

– Nie chciałam wam przerywać wycieczki. Zjadłam bułkę z owczym serem i dwie kielbaski. Teraz pojem trochę winogron. I oliwek. Do wina. Co jedliście na obiad?

– Twój mąż namówił mnie na tutejszy rarytas, sarmę. Nie wiedziałam, że liście kapusty kiszonej mogą tak zmienić smak potrawy. Adam jadł...

– Nie mów – przerwała mi. – Na pewno grillowaną rybę i to pewnie jakiegoś cudaka.

– Zgadłaś. Filet z merlina. – Spojrzałam na nią. – Skąd wiedziałaś?

– Teraz już i ty będziesz wiedziała. On uwielbia ryby. Im mają mniej znane nazwy, tym bardziej chce ich spróbować. Adam, zbieraj się i fruń na automaty. I przestań się bujać. I tak wiem, o co ci chodzi.

Adam włożył ręce w kieszenie spodni tak, że sterczały z nich kciuki. Gest charakterystyczny dla ludzi chcących ukryć nałogi. Kołysał się na stopach, żeby wydawać się trochę wyższy. Widać było, że chce zapalić. Paliliśmy, gdy byliśmy sami. Przy Ewie nigdy.

– Idź. Miałeś Dorotę dla siebie tyle czasu. Daj nam poplotkować po babsku. – Poganiała męża.

– Ewusiu, mam dla ciebie niespodziankę. Zaczekaj.

Po chwili przyniósł butelkę i postawił na stole, patrząc, czy się ucieszy.

– Likier Maraschino. Mój ulubiony. Jedyny, jaki piję. Dorota, spróbujesz i też w nim zasmakujesz. Wiśnie Maraschino to gorzka, kwaskowata odmiana dalmatyńska. Wyczujesz smak gorzkich migdałów, jaśminu i wanilii. Wiesz, że produkuje się go od XVII wieku? Pili go królowa Wiktorja i Napoleon. Wspaniały aromat. Adamie, zjeżdżaj, kochanie, mój Napoleonie. Zostaw królową Wiktorję w objęciach likierku. Buzi.

Nachylił się i pocałował ją w usta. Chciał odejść, jednak zatrzymał go jej głos.

– A Dorocie nie należy się całus za to, że zasłuchała, zapatrzyła się w swojego cicerone?

Adam cofnął się, spojrzawszy na nią, na mnie, podszedł i pocałował mnie w policzek. Czułam się dziwnie. Wiedziałam, że teraz przyszedł czas na Ewę. Uprzedziła mnie, że chętnie by ze mną pogadała. O nich. Zrozumiem, dlaczego tak im ciężko. Poznam ich lepiej. Dziękowała za spokojną noc. Dałam jej tabletki. Podziały i dobrze spała. Mnie nie były potrzebne. Ilość wypijanego wina sprawiała, że koszmary nie wracały. Dorotki-idiotki też nie było. Majaczyłam czasami o koniakowatym. Cudowny facet. Okazywał Ewie tyle czułości. Ojcowskiej. Na inną ona nie miała siły, a on chyba się tego bał. Pokazywał żonie zadrapanie tak przerażony, jakby chodziło o wielką ranę szarpaną. Drętwiał mu mały palec. Pobiegnął do kawiarenki internetowej sprawdzić, czy to nie objaw nowotworu. Ona, jak matka, uspokajała: „Idź, sprawdź. Poczytaj. Upewnisz się, że to nic takiego”. Myślałam o nim: „Hipocondryk”. Teraz rozumiałam. Bardziej jego zachowanie niż jej. Ona nadal była dla mnie zagadką.

– Dorotko, kocham wiśnie. Od naszej podróży poślubnej. Każde z nas chciało jechać gdzie indziej. Ja po babsku:

Wenecja, Rzym, Paryż, Karaiby, Haiti. Opalać się lubiłam od dziecka. Przewracałam się jak kotlet na patelni i skwierczałam. Nieraz przypłacałam to poparzeniem. Teraz mam za swoje.

Zamilkła.

Nietrudno było się domyślić, że według niej czerniak mógł ją zaatakować właśnie z tego powodu. Miała bardzo jasną karnację. Słyszałam głosy w jej głowie. Obwiniła się, że teraz płaci za lekkomyślność. Za chwilę pocieszała, że na słońcu było jej tak dobrze i że te chwile na zawsze pozostaną w jej pamięci. Filozofowała, czy za każde dobro człowiek musi doświadczyć też zła. Dla wyrównania. A jeżeli to kara za to, że nie wierzyła? Może Bóg naprawdę istnieje?

– Istnieje, Ewuniu. Miłosierny i sprawiedliwy. Wybrał cię i chce cię mieć u siebie.

Spojrzała na mnie z przerażeniem, jakbym była istotą nie z tego świata.

– Nie bój się! Mówiłaś o tym wszystkim. Cichutko. Słyszałam – uspokoiłam ją.

Teraz ja przysunęłam się do niej. Objęłam tak jak Adam mnie. Przytuliłam do siebie, myśląc: „Pierwszy raz kogoś przytulałam. Pierwszy raz chciałam zrobić coś dobrego, nie myśląc o sobie. No, może troszeczkę. Chciałam tu zostać na zawsze. Z nimi. Nie z moim koniakowatym. (On był mój. W moich majakach to mnie osłaniał, to mnie brocił. Mnie utulał. Przy nim nie bałabym się zamknąć oczu. On by mnie obudził. Pocałunkiem. I wstałabym ze swojej trumny). Zostać tu z jej Adamem. I z nią. Nie ruszać się z tego miejsca. Adam robiłby zakupy, Ewa drzemała. Po tem we troje siedzielibyśmy na tarasie. Po prostu byśmy byli. Tylko – aż – byli”.

– Adam – Ewa zmieniła likier na wino – wolał Pekin, Tokio, Delhi, Bangkok, Buenos Aires. Zrobiliśmy karteczki do losowania. Umówiliśmy się, że pojedziemy do miejsca, którego nazwa będzie się znajdować na ostatniej karteczce. Pierwszy ciągnął Adam, zmartwiony, że odpadł Pekin. U mnie od razu odpadły Hawaje. Zostało Tokio. Kraj Kwitnącej Wiśni – to osłoda miesiąca miodowego dla mnie. Miasto. Stolica. Centrum pulsujące życiem. Radość dla Adama. Ginza – jedna z najdroższych dzielnic Tokio. Mnie podobał się teatr kabuki. Scena z pomostem wzdłuż widowni. Tędy wchodzą i wychodzą bohaterowie przedstawienia. Sceneria potrafi zmieniać się w trakcie sztuki. Aktorzy są na scenie, kurtyna podniesiona, a ubrana na czarno obsługa usuwa rekwizyty, zmienia elementy scenografii. Pomieszanie patosu z farsą, opery mydlanej z moralitetem oraz procesji religijnej z kabaretem. Pojawiają się elementy tańca, akrobacje, różnego rodzaju pozy oraz barwne kostiumy. Niesamowita charakteryzacja. Makijaż z linii różniących się barwą i kształtem. Każda symbolizuje odrębną cechę.

– Ewuniu, pamiętasz, jak to dokładnie wygląda? – przerwałam jej.

Nigdy nie słyszałam o symbolach barw. Muszę to sprawdzić.

– Czerwień to sprawiedliwość, granat – zło. Więcej nie pamiętam. Lubisz symbole? – spytała.

– Tak, czytam dużo na ten temat. I o znakach, które często do nas mówią, a my ich nie rozumiemy.

– Dorota, od kiedy wierzysz w przesady?

– Wierzę? Chyba nie. Jestem ostrożna. Co mi szkodzi uważać w piątek trzynastego? Wiesz, skąd ten przesąd?

– Nie – odpowiedziała, poprawiając się w fotelu. – Opowiedz.

– A nie chcesz dokończyć swojej opowieści?

– Teraz trochę ty poopowiadaj, a ja odpocznę. Potem skończę. Dobrze?

– Jak chcesz. W starożytnej Babilonii cały system liczbowy był oparty na liczbie 12. Dwanaście miesięcy, znaków zodiaku, godzin dnia i nocy. Następną liczbą oznaczała zniszczenie porządku. W chrześcijaństwie to Judasz, trzynasty uczestnik Ostatniej Wieczerzy, okazał się zdrajcą. Piątek to dzień ukrzyżowania Chrystusa – wyjaśniałam. – Ludzie przesądni przywołują z historii współczesnej: misję kosmiczną „Apollo 13”, zamach na papieża Jana Pawła II 13 grudnia 1981 roku. Nawet wprowadzenie w Polsce stanu wojennego – dokończyłam.

– Dorotko, proszę, powiedz, skąd wstawanie prawą nogą? Jak masz ustawione łóżko?

– Na wszelki wypadek wstaję prawą. – Widząc, że zapomina o tym, o czym trudno zapomnieć, mówiłam. – Ewuniu, według islamu lewa ręka służy do czynności nieczystych. Chrześcijanie wierzą, że w dniu Sądu Ostatecznego po prawicy Ojca usiądą zbawieni, po lewicy – potępieni. Ja się pocieszam, że i tak jedni i drudzy będą siedzieć w obecności Boga.

– Dorota, to i ja tam zasiądę? Potępiona za niewiarę i za to, że zabiłam. – Ewa chciała, żeby zabrzmiało to żartobliwie. Nie wyszło.

– I ty. I ja. Twój mąż też. Ewa, wszystko podobno spotyka nas za Jego wiedzą, więc chyba wie, co robi i dlaczego? A Anioł Stróż? On też jest winny, że nas nie upilnował. W nieodpowiednim momencie zerwał się na piwko i zo-

stawił w szponach szatana. Poczekaj. Pójdę siusiu. Przynieść ci koc? Herbatę? Wina już wypijaś za dużo.

– Nie baw się w moją matkę. Albo w Adama. Traktuj mnie normalnie! – Zjeżyła się. – Dziękuję. Jest bardzo ciepło.

– Nie bądź przewrażliwiona. Idę po koc i herbatę dla siebie, więc przy okazji, łaskawie, mogę przynieść i tobie. Zrozumiano? – spytałam, robiąc groźną minę.

– Tak. Idź i wracaj szybko. – Ułożyła się wygodniej.

Wróciłam z kocem.

– Masz, uparciuchu. Połóż sobie na fotelu. Przykryjesz się, jak ci się zrobi chłodno. Przyniosłam teraz, żeby potem specjalnie nie chodzić. Ty, z wrodzonego lenistwa, na pewno byś się nie ruszyła. Teraz ja piję herbatę, a ty opowiadasz.

Usiadłam naprzeciwko niej.

– Trzeci dzień wycieczki był koszmar. Wieża, którą trzeba zaliczyć, bo jest najwyższa na świecie. Trzysta trzyście metrów wysokości. Z tarasu widok na Ginzę. Zatokę Tokio, Yokohamę i górę Fuji. Rzeczywiście, przepięknie oświetlona w nocy. Potem Pałac Cesarski. Z fosą, fontanną upamiętniającą małżeństwo pary cesarskiej. Znow do autobusu i przejazd do świątyni Asakusa (jakiegoś boga, nie pamiętam dokładnie), pasaż handlowy Nakamise i świątynia Sensoji. Najstarsza z ulic Japonii, z XVII wieku. Czas wolny na chodzenie po sklepach. Adam łąził. Ja miałam dosyć. Marzyłam o hotelu. Łóżku i drinku. Znow autobus i do Ginzy – srebrnego miejsca, głównego centrum handlowego Tokio – przerwała. – Dorota, nie rób takiej miny. Chciałaś, to słuchaj. Adama słuchałaś z większym zainteresowaniem. Mnie zaczynasz zbywać – skarciła mnie łobuzerskim tonem dzieciaka, który wie, że nie dadzą mu po łapach.

– Tak to opowiadasz, że już jestem zmęczona.

– Jeszcze troszkę, wytrzymaj. To cię zainteresuje. Wsiadaj do autobusu. Jedziemy do Galerii Perleń w Tasaki. Siemdem pięter. Perły tylko na czterech. Trzy to „mniam-mniam”. Wyspy perleń. Poznajesz produkcję i różne aspekty kulturowe. Ile można? Wysiadaj, jesteśmy w domu. To znaczy w hotelu. Kładziesz się i jest ci błogo. Adama wyrzuciłam z łóżka. Chciał po lekkim „bara-bara” i drzemce wyjść na spacer nocą. Poszedł sam.

– Doskonale cię rozumiem. Za szybkie tempo. Nie dla mnie. Ja bym to rozłożyła na parę dni – zgodziłam się z nią, że taki pobyt to koszmar.

– A wy oczywiście paplacie. O czym? – Nagle z półmroku wyłonił się Adam.

Ewa wstała. Przesunęła się, robiąc mu miejsce.

– Chodź do nas. Siadaj obok mnie. Dorota opowiada o przesądach. Ona tyle wie. No, nie marudź, bo zepsujesz nastrój – ponaglała.

– Ewusiu, słyszałem tylko ciebie. Dlaczego mi nie powiedziałeś wprost, że nie chcesz jechać do Tokio? Pojechalibyśmy tam, gdzie byś chciała – mówił z wyrzutem, okrywając jej nogi kocem, a pod szyję wkładając poduszkę, żeby mogła oprzeć głowę. – Po co wymyśliłaś losowanie?

– Cały pobyt na Hawajach byś przeplakał. Bez gwaru miasta, bez smogu nie miałeś czym oddychać. – Głaskała go czule po głowie. – Dorotko, wiedz, że Adam to stworzenie, które umie oddychać pełną piersią jedynie w smogu.

Przyniósł poduszkę i jeszcze jeden koc.

– Co to jest smog? – spytałam.

– Ooo! Dorota czegoś nie wie? Ewa, ona opowiadała mi o palmach, od razu z nazwami po łacinie. O muzy-

ce z terminami. Tak lubisz „Appassionatę”. Mówisz, że cię uspokaja. A w muzyce *appassionato* oznacza „gwałtownie”. – Usiadł. – Posłuchaj, Dorota, jak ja cierpię. Ewa raz w tygodniu robi z domu klub seniora. Pozwala mi wybrać trunek, ale muzykę puszcza sama. Leci „Bella, bella donna”, „Pamiętasz Capri” – zanucił, starając się naśladować głos Gniatkowskiego. – Koszmarne, ale czego nie robi kochający kogucik dla swojej kurki. – Mówił do mnie żartobliwym tonem, jednak oczy miał smutne. Patrzył na żonę. Była zmęczona. Przysypiała.

– Ewusiu, połóż się już. Proszę – zwracał się do niej jak do małej dziewczynki.

– Nie. Rozbudzę się i nie zasnę. Proszę, rozmawiajcie, ja słucham z zamkniętymi oczyma – broniła się.

– Zaniosę cię i położę do łóżka. Nie zdążysz się rozbudzić – nalegał.

– Adamie, nie naciskaj. Ja ją rozumiem. Tu, przy tobie, i mam nadzieję, że także przy mnie, czuje się bezpieczna – wtrącałam się.

– Baby, kto za wami nadąży! Trudno was zrozumieć. Dwóm nie dam rady – poddał się.

– Co z tym smogiem? – zapytałam.

– Nazwa to zbitka angielskich słów: *smoke*, czyli dym – puścił do mnie oko, widząc, że brakuje mi papierosa – i *fog*, mgła. Smog to zawieszone w powietrzu cząsteczki pyłowe, szkodliwe związki gazowe: tlenki azotu i siarki. W połączeniu z dużą wilgotnością stają się czymś na kształt dużej chmury nad miastem i stanowią zagrożenie dla zdrowia.

Wstałam. Adam też. Porozumieliśmy się wzrokiem. Czas na dymka. Dotlenić się.

– Dorotko, nie wychodźcie. Przesuńcie się tylko z fote-

lami w drugą stronę tarasu i palcie. Mnie nie przeszkadza – zapewniła Ewa, cichutko, nie otwierając oczu.

– Jednak jesteś czarownicą, mnie nie pozwala – stwierdził Adam, przesuając fotele.

Zapaliliśmy. Patrzyliśmy na Ewę. Poczułam jego rękę na swojej. Ścisnął moją dłoń, puścił. Znow ścisnął.

– Adamie, a co z tym kogucikiem i kurką?

– Jak mnie kochasz, mężu? – usłyszeliśmy Ewę.

Leżała wciśnięta w róg kanapy, nogi zgięta w kolanach. Kręgosłup podierała poduszka, staranie ułożona przez Adama. Wtulała się w nią, tak że miała zasłonięte policzki i czubek głowy.

– Ja cię kocham, ale troszkę, jak kogucik swą kokoszkę.
– W ustach Adama te słowa zabrzmiały jak najczulsze wyznanie miłości.

– Bo kogucik swą kokoszkę kocha stale, ale troszkę – dokończyła Ewa, nie zmieniając pozycji. Po chwili zwróciła się do mnie: – Dorotko, poopowiadaj o przesądach.

– Robi się – powiedziałam posłusznie, z przyjemnością zaciągając się dymem. – Może wiecie, że jeden z przesądów mówi, iż nie można się witać, żegnać czy składać sobie życzeń przez próg? Sięga on pogańskich czasów. Pod progiem chowano kości samobójców i dzieci, które urodziły się martwe. Wtedy wierzono, że ich duchy są dobre. Nie tak jak dziś, gdy uważa się ich za niewartych pochówku. Pogańskie czasy były bardziej chrześcijańskie niż dzisiejsze. Na pewno pod tym względem. Aby nie naruszać spokoju duchów, nie wolno było witać się ponad ich głowami. Dlatego pan młody przenosi żonę przez próg. Próg to symbol. Granica. Oddziela to, co bezpieczne, od tego, co groźne – kończyłam, patrząc na Ewę. Myślałam,

że zasnęła. Dała mi znak uśmiechem, żebym mówiła dalej. Adam nadal trzymał moją rękę. Czasami tak mocno, że siłą powstrzymywałam się, żeby nie okazać bólu. Uwolnić się z uścisku nie chciałam. – Pamiętacie „Alicję w Krainie Czarów”? W skórze miłego kociaka może kryć się tygrys. W średniowieczu sądzono, że ludy pogańskie, które czciły koty, bratały się ze złem. Czarny kot przebiegający drogę to wysłannik szatana. Trzeba się mieć na baczności. Mnie najbardziej podoba się źródło zabobonu o lustrze. Zbicie lustra oznacza siedem lat nieszczęścia. Przesąd wywodzi się z czasów, kiedy przeglądano się jedynie w tafli wody. W odbitym wizerunku przebywa dusza. Jeśli odbicie zmaćci wiatr, wówczas w duszy powstaje chaos. W przypadku stłuczenia lustra spokój duszy zostaje zmaćcony w jeszcze większym stopniu.

– A dlaczego siedem lat nieszczęścia? – dopytał Adam, nie puszczając mojej ręki.

– Rzymianie byli przekonani, że w czasie siedmiu lat dusza i ciało przechodzą proces odnowy, a pech zostaje odwrócony.

– Dorota, masz podkowę? – wyszeptała Ewa.

– Mam. Nawet parę. Tak na wszelki wypadek. To symbol szczęścia. Święty Dunstan, zanim został arcybiskupem Canterbury (w X wieku), pracował jako kowal. Pewnego dnia przyszedł do niego diabeł, prosząc o podkucie kopyta. Dunstan rozpoznał szatana, uwięził go i męczył tak długo, póki ten nie zaczął błagać o litość. Uwolnił go, gdy bies przysiągł, że będzie omijał domostwa, nad których drzwiami wisi podkowa.

– Ja nie miałam podkowy. I kupowałam wyprawkę, nie wierząc w przesady. Mogłam poczekać, tak na wszelki wy-

padek. Byłam nieostrożna. Strzeżonego Pan Bóg strzeże – westchnęła.

Siedzieliśmy po cichutku. Ewa zwiesiła głowę. Zasnęła. Adam gładził moją rękę palcem, dokładnie tak samo jak wcześniej dłoń Ewy. Gładził ją. Nie mnie. Wczoraj spacerowaliśmy. Adam w środku. Objął nas ramionami. „Moje kochane dziewczyny”, mówił, przyciskając nas do siebie. Ją, delikatnie i czule. Mnie, mocno, wpijając palce w moje ramię.

Dorota starała się obserwować tych troje z daleka. Ocenić, co widzi. Widziała ptaka ze złamanym skrzydłem. Przytulał je delikatnie, żeby go nie uszkodzić, żeby nim nie poruszyć, nie wywołać bólu. Drugim pragnął machać. Sprawdzał, czy jest zdrowe, silne, gotowe do lotu. Dające wiarę, że rozpostarte, może mieć magiczną moc, by unieść go ku niebu.

Siedzieliśmy na tarasie do brzasku. Ewa tak smacznie spała. Obróciła się na bok. Podkuliła nogi. Policzek oparła na dłoniach i uśmiechała się przez sen. Ona była spokojna. My też. Każde na swój sposób. Łączyło nas jedno. On wiedział, że ją traci. Ja, że go nie stracę. Nigdy nie będzie mój...

– Dziewczyny, propozycja nie do odrzucenia. Ewciu, nawet nie próbuj protestować. Rano mówiłaś, że jesteś tak wyspana i wypoczęta, jak od dawna nie byłaś. Ty, Dorota, też nie. Nie zdążyłem wam się wczoraj pochwalić. Wygrałem sporą sumkę na automatach. Dziś wieczorem znowu pójdę i dam wam czas na nocne pogaduszki. Pod warunkiem, że nie usłyszę teraz sprzeciwu. Umówiłem się z jednym tutejszym, z Chorwatem. Zabierze nas swoim samochodem. Popłyniemy statkiem do małej wyspy Hrvat ze szczytem Sveti Nikola. Potem idziemy na starówkę. Do na-

szej, Ewciu, kawiarenki. Tak jak chciałaś. Później on przywiezie was z powrotem i wtedy będziecie miały czas dla siebie. Ja zostanę i się powłóczę. Mam dość tego siedzenia na miejscu. I nawet nie próbujcie się sprzeciwiać – dodał, patrząc na nas z groźną miną.

– Adamie, to wasze miejsce. Tam się poznaliście. – Widząc ich miny, dodałam: – Zgodzę się pod warunkiem, że do kawiarenki pójdziecie sami. Ja pospaceruję i sprawdzę, co zapamiętałam z „wycieczki” z tobą, cicerone.

– Dorota, bez ciebie nie pójdę. Chcę, byś pooddychała tym miejscem, poczuła, że ono jest także twoje – zaprotestowała Ewa.

Domyślałam się, jaki pomysł rodzi się w jej głowie. Za często mówiła: „Opowiem ci o Adamie. Lepiej go poznasz. Adam lubi to, a tego nie. To go drażni, tego nie akceptuje, to go podnieca”. I zaznaczała: „Jesteśmy do siebie podobne. Adam przy tobie czuje się tak jak przy mnie. Patrzyłam na was, było wam razem dobrze. Spokojni, uśmiechnięci. Adam z iskrami życia, które biją od ciebie”.

– Mówiłem, żadnego sprzeciwu. Macie pół godziny na wystrojenie się. – To nic niewidzący i niesłyszący Adam.

On wykorzystywał zmysły w najbardziej prymitywny sposób. Chcąc zobaczyć kształt, wielkość, barwę, ruch, używał oczu. Mowy słuchał zatkanymi uszami. Językiem smakował. Nosem wąchał. I to wszystko, na co go było stać. Za pośrednictwem wzroku do mózgu dociera około osiemdziesięciu procent wszystkich bodźców. Jeżeli ćwiczymy umiejętności ich odbierania. Wybrany pomaga Bóg. Odbiera jeden zmysł, żeby doskonalili inne. Mnie wyróżnił, przydzielając anioła w ciele brata. Nauczył, że tylko wykluczając jeden zmysł, szkolimy inny. Odłączając

dwa, słuchamy wibracji dźwięków i widzimy kształty dotykiem. Całym ciałem. Uderzenie głową w kant szafki daje nam szansę zobaczenia gwiazdozbioru. Gdy pomagałam księdzu w ukaraniu się, nie używałam wzroku i słuchu. Za pomocą ręki widziałam zmieniający się kształt, ręką słyszałam jęki i ostatni krzyk oznaczający koniec pokuty.

Ewa wykorzystywała zwłaszcza zmysł czucia. Najczęściej używała określeń: miękki, zimny, sprężysty, kanciasty, wygodny. Czuła swój koniec i to pomagało jej lepiej widzieć i słyszeć...

Spadł deszcz. Przyszedł tylko na chwilę, ale przyniósł trochę przyjemnego chłodu. Adam zaznaczył, że wróci późnym wieczorem.

– Nawet nie zauważycie, że mnie nie ma – powiedział i już go nie było.

Już się wyrwał, żeby mieć chwilę zapomnienia. Wiedział, że z chorym skrzydłem nie pofrunie. Może tylko troszkę podskakiwać. Odbić się na chwilkę, żeby znów spaść. Choć czasami także ta chwila może być spełnieniem.

Siedziałyśmy na tarasie. Bez wina. Z sokiem. Trzeźwe do bólu.

– Ewa, może dokończysz opowiadać o waszej podróży poślubnej – podsunęłam, chcąc wyrwać ją z zamyślenia.

Próbowała przeliczyć, ile czasu jej zostało – na wszystko...

Po południu czuła się bardzo źle. Leżała w łóżku. Zapytała, czy może oprzeć głowę na moich kolanach. Zrozumiałam, że nie chce, bym widziała jej zapłakaną twarz i patrzyła w wystraszone oczy.

– Dorotko, o śmierci nie wspominałam od czasu rozmów z babcią. Pamiętam, że mówiła: „Wnusi, w środku naszego życia na wiele możemy mieć wpływ. Możemy się uczyć, jak walczyć z przeciwnościami losu. Na początek istnienia nie mamy żadnego wpływu. Wszystko, co ma początek, ma też koniec. Są ludzie, którzy koniec przyspieszają. Ci, co chcą się wyrwać z uścisku imadła losu. Czasami ci, którzy chcą szybciej spotkać się z kimś bliskim. Przyspieszają też ci, którym brak odwagi. Bardziej boją się cierpienia niż śmierci. Niektórzy robią to, żeby skrócić męczarnie najbliższych. Większość podąża taką drogą ku śmierci, jaką im przeznaczył Bóg czy los”. Od śmierci babci wyparłam to słowo ze swojej podświadomości. Jak dziecko, które zasłania oczy w miejscu pełnym ludzi i myśli, że się schowało i muszą go szukać. Boję się. Nie mam z kim o tym porozmawiać. U lekarza byłam razem z Adamem. Powiedziałam, że chcemy znać prawdę. Całą prawdę. Lekarz zapytał: „Ze szczegółami? Czy rozpoznanie?”. Poprosiłam o szczegóły, mówiąc: „Rozpoznanie znam. Czerniak złośliwy. Sprawdziłam, że zaawansowany. Czy są przerzuty? Jak rozległe? Jakie mam szanse, jeśli poddam się terapii? Co będzie, jeśli odmówię leczenia?”. Byłam natarczywa, wprost napastliwa.

Adam się nie odzywał. Trzymał ręce między kolanami. Zgarbił się i patrzył w podłogę. Onkolog odpowiedział beznamiętnie: „Są przerzuty do wątroby i kości. Stan bardzo zaawansowany. Rokowania złe”. Spytałam: „Ile mam czasu?”. Spławił mnie: „Trudno powiedzieć, każdy organizm jest inny”. Nie dałam za wygraną: „Ile? Statystycznie ile, przy tym stopniu zaawansowania? Muszę mieć czas, by się przygotować na... odejście. Słowo „śmierć” nie chciało mi

przejsć przez gardło. „Odejście” brzmi przyjaźniej. Znasz prawdę, Adam ci mówił. On jej po prostu do siebie nie dopuszcza. Nie chce. Udaje, że nie wie. Rozmawiam sama ze sobą. Rozumiesz mnie?

– Ewuniu, lepiej, niż sądzisz. Mów. Czego się boisz? Śmierci? – Głaskałam ją po głowie, nie zwracając uwagi na łzy i drganie łopatek.

– Dorota – zaczęła, podnosząc się i ocierając łzy. – Spójrz mi w oczy. Ja się nie boję śmierci. Panicznie boję się przetrzutów do mózgu. Boję się cierpienia. Słuchaj uważnie i zrozum, co mówię. Nie dam satysfakcji śmierci. Nie wypędzi Ewy z raju. Nie pokonam jej, ale chcę odejść z podniesioną głową. Nie rozgniecie mnie jak pluskwy. Nie rozdepcze jak robaka. Nie zrobi ze mnie rośliny. Sama wybiorę moment zdmuchnięcia mojej świeczki, tak jak zdmuchnęłam płomyczek mojego dziecka – wypowiadała słowa wolno, ważąc sens każdego z nich. Stanowczo, z pełnym rozumieniem tego, co mówi, i podjętą decyzją.

– Ewuniu, masz prawo odejść tak, jak sobie życzysz. Ja cię rozumiem. Powiem więcej. Ja dawno zaplanowałam swój moment odejścia. Też się nie dam zaskoczyć. Odejścia z podniesioną głową. Wszystko planuję z wyprzedzeniem, żeby nic mnie nie zaskoczyło. – W końcu mogłam wypowiedzieć głośno to, o czym wiedziałam od dawna. – Podobno są ludzie, którzy swoje miejsce na ziemi odnajdują dopiero po pogrzebie.

– Dorota, pomóż mi. Proszę.

Położyła się.

Opowiadałam jej o Tęczowym Moście, adaptując historię do określonej sytuacji.

– Ewuniu, przekroczysz próg i znajdziesz się na Tę-

czowym Moście. Zobacysz w dole piękną łąkę z polnymi kwiatami, zieloną, mięciutką trawą. Będzie tam twoje dziecko. Roześmiane, radosne, biegające i zrywające kwiatki, z których twoja mama plecie wianek. W cieniu leży babcia, młoda i zdrowa. Popija świeży sok z jabłek i marchewki. Pamiętasz, taki najbardziej lubiła. Są bardzo szczęśliwe, ale zamyślane. Tęsknią. Za tobą. Babcia martwi się, że tak wcześnie zostawiła cię samą. Mama chciałaby móc cię wreszcie przytulić.

Obok nich stoi mały szkrab, który czeka na ciebie, żeby wypowiedzieć swoje pierwsze słowo: „mama”. Stoisz na Tęczowym Moście, patrzysz na nich. Mama uniosła głowę, babcia patrzy przed siebie. Dziecko zatrzymało się, zastygło w oczekiwaniu. Babcia i mama wstają, biorą dziecko za ręce i wszyscy razem coraz szybciej idą w jedną stronę. Zobaczyli cię. Podbiegli i przytulili się do ciebie. Mama i babcia obsypują cię pocałunkami, maluszek domaga się wzięcia na ręce. W twoich ramionach na cały głos krzyczy: „Mama, moja mama”. Opuścili cię w twoim życiu, ale cały czas byłeś w ich sercach. Objęta przez mamę i babcię, z dzieckiem w ramionach przekraczasz Tęczowy Most. Nie martw się o Adama. Da sobie radę. A ty będziesz na niego czekała i wybiegniesz mu naprzeciw. – Kończąc, patrzyłam na jej spokojną, uśmiechniętą, rozmarzoną twarz.

Było mi dobrze. Tak bardzo chcę tu zostać. Tu mogłabym przestać się bać...

Taras był idealnym miejscem na odpoczynek i pogaduszki.

– Ewa, halo, jesteś tu? Wróć do mnie. Miałaś opowiadać o waszej podróży. Czekam i już się niecierpliwię.

– Przepraszam. Zamyśliłam się. Nie będę mówić o zwiedzaniu. Powiem o marzeniu Adama. Mówiłam ci, że ciąga go wszystko, co ekstremalne. Czasami myślę nawet, że nie zawahałby się zagrać w rosyjską ruletkę. Lubi wyzywać los. Koniecznie chciał spróbować torafugu, bardzo toksycznej ryby. Chyba właśnie dlatego w Japonii uważa się ją za kulinarny rarytas. Nazywają ją też rozdymką tygrysią. Zawiera śmiertelną dawkę trucizny. Pojechał sam. Ja zostałam. Przy okazji w internecie poczytałam na temat tej ryby. Ta trucizna to tetrodotoksyna. Ryba jest nią nasycona. Ma jej najwięcej w wątrobie i jajnikach. Spożywanie tych części jest zabronione. Sprzedawać i przygotowywać fugu mogą tylko licencjonowani kucharze. Trucizna powoduje paraliż mięśni przy pełnej świadomości. Człowiek się dusi. Nie ma odtrutki. Jest około tysiąca dwustu razy gorsza od cyjanku. Zawierają ją w sobie także niektóre ośmiornice, ślimaki i trytony.

– Nie rozumiem. Po co to jeść? Straszna śmierć? To chyba nie sposób samobójstwa? – spytałam zaintrygowana.

– W zasadzie jest to niewytłumaczalne. Ryba jest bardzo droga. Podobno ma mdły smak. Niewielka ilość trucizny umieszczona na języku daje specyficzne, przyjemne odczucia. W komercyjnej restauracji prawdopodobieństwo zatrucia jest wyjątkowo niskie. Zakup ryby jest kontrolowany. Każdego roku umiera jednak pewna liczba ludzi. Przeważnie po spożyciu wątroby i jajników, bo te podobno są najlepsze. Wiedziałam, że Adam skacze na bungee. Po pierwszym skoku zapytałam, co w tym takiego wspaniałego. Wiesz, co mi odpowiedział?

– Co?

– Cudowne uczucie przerażenia. Zaczynasz spadać. Bra-

kuje ci powietrza. Ogarnia cię strach, że może to już koniec. Czujesz linę ciągnącą cię za nogi. I teraz najcudowniejsze odczucie. Bezład. Świat wiruje. Dorota, gdybyś słyszała, jak on to opowiadał.

– Domyślam się. Wystarczyło posłuchać jego wrażeń z przejażdżki motorówką. Ewa, sporo ludzi skacze.

– Posłuchaj. Skończył kurs nurkowania. Kilka dni szkolenia i już jesteś pełnoprawnym płetwonurkiem. Możesz schodzić do głębokości dwudziestu metrów.

– Co cię w tym przeraża? – spytałam, znów nie widząc w tym niczego nadzwyczajnego. – Teraz wiele osób uprawia te sporty. I też chwalą się swoją odwagą i opowiadają o ekstremalnych wrażeniach.

– Tak. Ale on się uczy nurkowania dekompresyjnego i tri-miksowego. I nie pytaj mnie, co to dokładnie znaczy. Wiem tyle, że chce nurkować jak najgłębiej. Powiem ci, jak wyglądają niektóre jego weekendy. Ponad trzysta kilometrów pieszo, rowerem, kajakiem i na rolkach. Pokonywanie mostu linowego, wejście po linie i wspinaczka. Ma już za sobą dwadzieścia skoków spadochronowych z ośmiuset metrów. Jeszcze kilkadziesiąt skoków z opóźnionym otwarciem czasy spadochronu i będzie samodzielny skoczkiem. Dołóż do tego zawody we wspinaniu, na szczęście na ściankach wspinaczkowych. Zapowiada, że to tylko pierwszy etap. Kajakarstwo górskie. Na razie spływał rzekami górkimi. Ma jakieś WW IV, a WW VI to najwyższe umiejętności. Starczy ci? – Była coraz bardziej zła.

– No cóż, Jane, wyszłaś za współczesnego Tarzana. – Zaśmiałam się szczerze i nagle urwałam, widząc paniczny strach w jej oczach.

– Czego ty się boisz, Ewa? Powiedz wreszcie, po co mi to

opowiadasz? Mów szczerze, nie owijaj w bawełnę. Nie każ mi się domyślać.

– Widzisz, Dorota, gdy go poznałam, nawet mi to imponowało, że jest taki odważny, że niczego się nie boi, że pokonuje strach. Gdy dowiedzieliśmy się, że jestem w ciąży, obiecał, że zrezygnuje ze skoków (chodziło mi o kręgosłup, bałam się, że będzie sparaliżowany), że spadochroniarstwa (bałam się, że zostanę wdową, a dziecko sierotą). Miał porzucić na wspinaczce. Tym bardziej, że przy dziecku nie będzie miał już tyle czasu wolnego. Oboje nie mamy rodziców. Byliśmy zdani tylko na siebie.

– Uspokoiliś się, a teraz boisz się, że po twojej śmierci Adam wróci z jeszcze większym natężeniem do tych wycieczek? Ewusiu, to chcesz powiedzieć?

– Tak, właśnie to. Boję się o niego, że może sobie zrobić krzywdę, szarżując. Nie odbierze sobie życia, tylko wyzwie los na pojedynek i przegra. Tym się zamartwiam.

– Pójdę po herbatę. – Wstając, zawadziłam o stolik. By nie upaść, złapałam się blatu i przewróciłam dwie butelki.

– Przynieś też wino – dodała Ewa. – Tego chyba nie będziemy zlizywać.

Odprężyła się. To już było za nią. Podzieliła się swoim strachem. Zrobiło się jej lżej.

Przyniosłam herbatę, koce i wino. Łatwiej jednak rozmawia się przy alkoholu.

– Ewa, nie będzie szarżował. Obowiązują pewne zasady. Musi się ich trzymać. Na szczęście nie nurkuje się w pojedynek, a skacze pod okiem pilota – mówiłam tylko po to, żeby ją uspokoić. Nie miałam o tym bladego pojęcia.

Wycierając blat, obserwowałam ją. Widziałam, że jeszcze ją coś gnębi, chce to powiedzieć i sama boi się swoich myśli.

– Ewa, mów, to nasz ostatni wieczór. Zaraz przyjdzie Adam i nie będzie okazji. Wyrzuć z siebie wszystko, czego się boisz. Czuję, że się boisz, ale nie wiem czego.

– Że się udusi. Umrze w męczarniach. Przeze mnie – wyrzuciła z siebie i zaczęła płakać.

– Dziewczyno, mów jaśniej. Nic nie rozumiem. Udusi się? Przez ciebie? Dostyc płaczu.

Podaliśmy jej chusteczki.

Jeszcze chwilę szlochała. Wydmuchała nos, wytarła oczy, policzki. Przysunęła się do stolika. Oparła łokcie o blat. Ręce złożyła jak do modlitwy.

– W Tokio poszliśmy do restauracji specjalizującej się w daniach z fugu. Nazywała się Takefugu. Adam przeglądał dania przyrządzone z tej ryby. Podglądał na innych stolikach, żeby zobaczyć, jak wygląda na talerzach. Najpopularniejszą potrawą jest sashimi, zwane też fugu sashi. Mięso pokrojone na tak cieniutkie plasterki, że widać wzór wymalowany na pięknie zdobionych talerzach. Płetwy rozdymki mogą też być smażone i podawane w gorącej sake. Ta potrawa nazywana jest fugu hirezake. Mięso fugu jest atrakcyjne wizualnie. Nieco przezroczyście. Ryby dostarcza się do restauracji żywe, pływają w wielkich akwariach ustawionych w lokalu. Gotową do spożycia fugu można też kupić w sklepach spożywczych posiadających odpowiednie licencje. Pytałam Adama, dlaczego, mimo że jej spożycie zagraża śmiercią, tylu ludzi ją je. „Właśnie dlatego, że to wyzwanie losu na pojedynki. Taka rosyjska ruletka”, odpowiedział z błyskiem w oku. „Adasiu, czytałam, że ofiary tej trucizny są sparaliżowane, ale przytomne. Były przypadki, że uznawano ludzi za zmarłych. Budzili się kilka dni później, czasem dopiero tuż przed kremacją”, powtarzałam wszystko, co przeczytałam.

„Wiesz, że są regiony w Japonii, w których osobę zatrutą fugu kładzie się obok trumny i zostawia na trzy dni, żeby upewnić się co do jej śmierci? Patrzą, czy ciało się rozkłada. Jeżeli nie, to znaczy, że nie jest jeszcze martwe”.

„Kochanie, ciągle ryzykujemy”, odpowiedział. „Idziesz ulicą, lecisz samolotem, ryzykujesz. Mniej jest ofiar fugu niż ludzi potrąconych przez samochód. To jest wyzwanie losu. Męska rzecz”. Przeraziła mnie jego mina, ton, jakim to mówił, i nie poddałam się. „Adamie, największe wyzwanie losu masz już za sobą”, mówiłam, śmiejąc się, ale jednak poważnie. „Jesteś moim mężem. To będzie ekstremalna przygoda. Już ja się o to postaram, żeby nie zabrakło ci wrażeń. Teraz przysięgnij na moje życie, na życie naszego dziecka, a może nawet dwojga lub trojga dzieci, jeśli tylko będziesz chciał”... „Co mam przysięgnąć, moja ślubna?”, Adam brał to na wesoło.

„Nie śmieję się, tylko powtarzaj za mną: »Ja, Adam, mąż Ewy, uroczycie przysięgam, że nigdy nie spróbuję ani kawałeczka tej wstrętnej ryby fugu. Dopóty żona mnie nie opuści«”.

Powtórzył słowo w słowo. Pocałował mnie i niby się ucieszył.

„Czyli, gdy mnie opuścisz, będę mógł?”

„Oczywiście”, odpowiedziałam. I dodałam: „Nie ciesz się, idioto, bo ja nie zamierzam cię zostawić. Przysięgałam ci: »Aż do samej śmierci«. I przysięgi dotrzymam”.

Ewa zamilkła. Nie musiała nic więcej mówić. Patrzyliśmy na siebie bez słowa. Jej strach był moim strachem. Połączył nas...

– Spakowane? Zielona noc przed nami. – Podchmielony Adam najwyraźniej nie miał ochoty na wczesne pójście do łóżka.

– Prawie. – Ewa wstała. – Jutro dorzucę to, co mam na sobie. Ciebie, niefrasobliwy mężu, też spakowałam. – Po głaskała go po policzku, pocałowała w nos, oczy, brodę. Usta omijała.

– Dorota, Adam pakuje się w ostatniej chwili. Połowy rzeczy zapomina. Wylicza, już w autokarze lub samolocie, wykrzykując: „Boże, maszynka”, żeby po paru minutach krzyknąć: „Zostawiłem aparat”. Mówię ci, Dorotko. Koszmar.

– Nie oczerniaj mnie przed Dorotą. Nie psuj mojego wizerunku – powiedział, popychając ją lekko do środka.
– Dorota, idziemy pożegnać się z morzem. To ostatni raz...
– przerwał, zreflektował się, jak to zabrzmiało, i szybko dodał: – ...we troje. Czekam na was. Weźcie swetry. Ja zabiorę koce.

Rozeszliśmy się do pokoi. Schowałam do walizki koszulę nocną. Nie przyda się. Na siebie założyłam to, w czym zamierzałam wracać. Wystarczy, że zostawię szczoteczkę do zębów i pastę. Zapięłam walizkę. Przejrzałam szuflady, szafę. Pusto. Wszystko zabrałam. Jeszcze wrzucić do torby apteczkę i kosmetyczkę.

Po winie i rozmowach zasypiałam szybko i bez lęku. Na sen mieliśmy zaledwie po trzy, cztery godziny. Ewa łykała moje tabletki nasenne cztery razy. Te na ból głowy przydały się tylko raz, zaraz po przyjeździe, mnie. Trzymałam w ręku proszki uspokajająco-nasenne. Jak w kalejdoskopie przesuwwały mi się obrazy minionych dni, godzin, minut i sekund. Ze szczegółami. Z każdym wypowiedzianym i zachowanym tylko w myślach słowem. Wiedziałam, że kończą się najpiękniejsze dni w moim życiu. Kończy się życie Ewy. Żegnam się z koniakowatym. Ja jeszcze muszę

żyć. Jeszcze nie nadszedł mój czas. Schowałam apteczkę. Tabletki muszę mieć pod ręką. Mogą się przydać w autokarze. Wrzuciłam je do kosmetyczki, a ją położyłam na wierzchu torby. Rozejrzałam się po pokoju. Dobrze, mogę iść. Wyszłam na taras, po drodze krzyknęłam, że jestem gotowa i już na nich czekam.

– Ja też już. – Adam przyszedł z kocami w ręku. – Ewa prosiła, żebym cię zapytał, czy zdecydowałaś się dać jej jakiś błyszczak czy coś takiego? Mówiłem, że przecież może go sobie kupić. Uparła się, że nie, bo trudno taki dostać. Nie będzie miała siły łązić po sklepach, a on podobno ma działanie kojące.

– Powiedz jej, że kosmetyczka leży na wierzchu, niech sobie weźmie, co chce. Adamie, uspokój się. Koleżanka zawsze mi go zostawia. Rzeczywiście trudno go kupić.

– Ewa – krzyknął, stając w drzwiach. – Weź z kosmetyczki Doroty, co chcesz. Leży na wierzchu. Pośpiesz się. Idziemy.

Siedzieliśmy na plaży. Zasłuchani. W noc. W nasze myśli. Każdy z nas się żegnał. Żadne nie mówiło „do widzenia”.

– Dziękuję za wszystko. Za spokój. Za słowa. Za nadzieję. Za godność – Ewa szeptem dziękowała nocy.

Wiedziałam, że dziękuje też mnie.

– Dziękuję za niemyślenie – dołączyłam się. – Za spokojny sen. Za nowe odczucia. Za was.

Minęło sporo czasu. Adam mówił tonem, którego do tej pory u niego nie słyszałam. Nawet nie próbowałam go nazwać. To nieważne. To, co powiedział, było najistotniejsze.

– Dziękuję za Dorotę.

I nic więcej.

Nie był już kogutem. Ewa nie była kokoszką. Ja nie byłam Dorotą. Trzy skulone kurczaki. Smutne, bez nadziei. Ich los zapisany, przesądzony. Wybór między rosołem i pieczy-stym. Wiedziały, że nadzieja to udawanie błazna wtedy, kiedy się wie, że sytuacja jest beznadziejna. Nie bały się. Każdy w oddali, za widnokręgiem, widział swoją latarnię. Migające światełko. Tam była ich kraina szczęśliwości. Bez jasnej, ciemnej, srebrnej szarości. Bez czerni. Dobro bez zła. Tam będą nieomal szczęśliwi. Mądre kurczaki...

Im bliżej miałam do domu, tym mocniej do głosu dochodziła Dorota. Wchodziłam po schodach wolno. Każdy następny stopień wydawał się coraz wyższy. To ona włożyła klucz do zamka. Czekala, łudząc się. Nacisnęła klamkę i stanęła w progu. Nieświadomie. Tak jakby ktoś jej kazał. Stała chwilę nad głowami duchów. Sięgnęła ręką, zapaliła światło. Odstawiła walizkę, torbę podróżną, torebkę. Zapaliła światło w kuchni. Upewniła się, że wszystko jest na swoim miejscu. Szybko weszła do pokojo-przedpokoju. Tu też bez zmian. Do przedpokoiku. Po staremu. „Jeszcze Raj, garderoba i Niebo”, pomyślała, mówiąc głośno:

– Jestem.

I usłyszała:

– My też. Czekamy na ciebie. Wróciłeś do domu.

Wiedziała, że przeszła przez lustro. Znów jest w swoim świecie. Poczula się krańcowo wyczerpana. Nie chciała się rozbierać. Nie myślała o myciu. Pragnęła jednego – zasnąć. Szybko. Wróciła, żeby wyjąć z torby apteczkę. Nachyliła się i wyprostowała. Przypomniała sobie, że tabletki są w kosmetyczce. Tylko nie w jej. W Ewy. To jej miały przynieść sen. Gdy zdecyduje się zasnąć.

Otworzyła drzwi do Nieba: „Witaj Dorotko-idiotko. To ja, twoja Dorota. Śniłam, marzyłam, bujałam w obłokach. Zapomniałam się. Zatraciłam. To jest złe. Muszę się ukarać. Pamiętasz, ksiądz mówił: »Niezbadane są wyroki Boskie«. Znów jestem ta sama. Przytul się, nie płacz. Będzie dobrze, zobaczysz. Zrobię jeszcze parę dobrych uczynków. Osiągnę swój cel. Nie jesteśmy same. Bóg nam pomoże, byśmy zasłużyły na dobroć po wsze czasy”.

Tuliła ją mocno, kołysząc się w przód i w tył. Drżała. Szlochała. Zasnęła...

Rano, po kąpieli, w szlafroku, usiadłam do śniadania. Jak zwykle z książką. Szukałam odpowiedzi. Kwiaty podlałam, witając się z każdym i przepaszając, że zostawiłam je na tak długo. Nie zrobię tego więcej. Na pewno nie. Mam jeszcze dwa dni urlopu. Po południu przyjdzie Alusia. Widziałam z balkonu, że stoi wpatrzona w okno. Szukała znaku. Gdy na parapecie zobaczy duży czerwony wazon, może wejść bez pukania. Nacisnąć klamkę i zamknąć za sobą zasuwę. Żebym nie musiała jej otwierać, gdy akurat jestem w Raju. Dołączała do mnie. Najczęściej kładła się na ziemi. Bródkę podpierała piąstkami i patrząc w morze, czekała, aż pierwsza się odezwę. Wazon kupiłam z myślą o koronacji. Wstawię do niego tyle krwistoczerwonych róż, ile lat skończę w tym dniu. Jutro przed południem pójdę do pani Eleonory. Teraz poczytam. Potem się rozpakuję. Zrobię pranie i będę czekać na Alę.

Przeczytałam parę stron z „Dojrzeć do szczęścia. Rozwijanie osobowości. Unikanie pułapek. Porozumienie bez przemocy” Thomasa d’Ansembourga. Znalazłam odpowiedź. Iluzją jest myślenie, że życie spełniające nasze

marzenia da nam szczęście. Szczęście to ulotne chwile. Od marzeń należy się uwolnić. To pułapka, w której sami dajemy się zamknąć. Marzenia ograniczają naszą wolność i zdolność do odczuwania szczęścia. Wiedziałam, co muszę wymazać. Gumką. Pumeksem. Rozpuszczalnikiem. Wyciąć. Wyrznąć. Amputować.

Wytrwałość i dążenie do osiągnięcia celu. To dla mnie jedyna droga. Dam radę. Muszę to zrobić dla Dorotki-idiotki, dla Calineczki, dla Alicji z Krainy Czarów, dla Doro-oty – i wreszcie dla samej siebie. Wtedy będę mogła powiedzieć, że jestem szczęśliwa. I przestać się bać. Jestem bardzo zmęczona. Baniem się. Tak bardzo, że to zmęczenie nie pozwala mi zasnąć. I znów jestem tylko zmęczona. Wróciłam naprawdę – wróciłam do samej siebie.

Rozpakowałam rzeczy, wrzucając je od razu do prania. Rozłożyłam prezenty. Nie wydałam ani grosza. Zastrzegli już drugiego dnia: „Twój czas poświęcony nam jest więcej wart niż to głupie wino”. Później dodali: „Mamy dużo pieniędzy do wydania, za to nie mamy dużo czasu na ich wydawanie. Ty masz czas. Zdążysz wydać”. Miałam za co kupić pamiątki. Dla mojego małżeństwa, Piotrka z żoną, piernikowe serce o intensywnym czerwonym kolorze, ozdobione wachlarzem barw. Według legendy, dziś tradycji, młodzieniec daje je dziewczynie, której chce okazać miłość, uwagę i przychylność. Dla Alusi – symbole: ciasto z Rabu i Irtyjski Kažun – domek z polnych kamieni. Dla pani Eleonory – broszka morčić z podobizną Murzynka niosącego turban. Opowiadała mi związaną z tym legendę. Ucieszy się. Dla pana kierownika – jedwabny, ręcznie malowany krawat. To najbardziej charakterystyczna pamiątka z Chorwacji. Mnie się nie podoba, ale norka będzie zachwycona. A jeśli ona,

to i on. Sobie przywiozłam muszle i muszelki, będą pięknie wyglądały na brzegu morza w Raju. Likieru Maraschino nie kupowałam, musieli mi go włożyć do walizki. Nie chcę go. Nie będę piła. Oddam pani Marii ze słowami: „To eliksir miłości. Mówią, że czyni cuda”. Już ona będzie wiedziała, z kim go skosztować.

Ala przyszła prosto ze szkoły. Za pozwoleniem Piotrka. Ojciec właściwie nie wychodził z pokoju. Wojtek spał w średnim. Piotrek – teoretycznie w dużym. Od dnia ich ślubu mała spała w kuchni. Na łóżku polowym. To był znak. Dla mnie. Od Boga. Od tego momentu zdałam sobie sprawę, że coraz bardziej przypomina mnie. Piotrek z Wojtkiem załapali się na dużą przeprowadzkę, za spore pieniądze. Obiady nie miałam. Jedząc bułki z serem, Ala mała się nie zadławiła. Chciała do Raju. Tam nie wolno jeść. Można się delectować smakiem mandarynek, rodzynek lub bananów.

– Ciociu Doroto, te muszle są piękne. Mogę je wziąć do ręki?

Ala zawsze pytała. Od czasu, gdy bez pytania chciała otworzyć szafę w przedpokoju i dostała po łapach z nakazem natychmiastowego wyjścia. Długo nie mogła przychodzić. Od tamtej pory pyta. Przemogłam się, żeby ją znowu wpuszczać, dopiero w jakiś czas po śmierci ich matki. Nie byłam na pogrzebie. Nie widywałam Piotrka. Gdy pewnego dnia wracałam do domu z pracy, zobaczyłam Alę w bramie. Stała zziębnięta, skulona, wpatrzona w moje okna. Udałam, że nie widzę. Powtarzało się to codziennie. Bez względu na pogodę. Któregoś popołudnia wyszłam ze sklepu z siatkami w obu rękach. Byłam tuż po wypłacie. Musiałam dokupić środki czystości, papier, mydło. Lubiłam

mieć w domu zapas. Dawało mi to poczucie zamożności. Dawno już minęły czasy, gdy mydło zużywałam do samego końca. Resztki moczyłam w gorącej wodzie i używałam ich do prania. Szła przede mną. Wracała ze szkoły. Mamrotała pod nosem, na tyle głośno, że zwracała uwagę mijających ją ludzi. Dwóch chłopców przeszło obok, krzycząc: „Wariatka, gada do siebie na głos”. Kobieta idąca z naprzeciwka przeszła i odwróciła się. Chwilę myślała, czy zainteresować się dziewczynką, jednak ruszyła szybkim krokiem przed siebie. Przyśpieszyłam, chcąc usłyszeć, co mówi. Modliła się. Powtarzała w kółko dwa słowa: „Mamo, pomóż. Mamo, pomóż. Mamo, pomóż”.

– Ala, zaczekaj. Matka ci nie pomoże. Za to ty możesz pomóc mnie. – Podałam jej siatkę z zakupami. – Idziemy.

Ruszyłam przodem. Ona za mną. Usłyszałam: „Dziękuję, mamo. Wysłuchałaś mnie...”

– Alusiu, obejrzyj te duże muszle. A tu, w torebeczce, są mniejsze i takie zupełnie malutkie. Porozsypuj na plaży, tam, gdzie chcesz. Ja przyniosę nam sok ze słomkami. – Wycho-
dząc, widziałam zachwyty malujący się na jej twarzy.

Dopijałam sok, patrząc, jak rozkłada muszelki. Po jednej, potem zmienia, zbiera po kilka i kładzie razem. Przygląda się. Poprawia. Nie widziała nigdy prawdziwego morza, a muszelki leżą tak, jakby właśnie wyrzuciły je fale.

– Ciociu, parę jest rozkruszonych. To nie ja. Ja uważałam. Już takie były w woreczku – mówiła ze łzami w oczach.

– Alusiu, na prawdziwej plaży dużo jest rozkruszonych. Morze wyrzuca już pokruszone. Ludzie rozdeptują. Roz-
rzuć na naszą plażę parę pokruszonych.

– Ciociu Doroto, powiedziałaś „naszą”, a przecież to two-

ja plaża. Twoje morze i palmy, i słońce, i... – zaczęła wymieniać wszystko po kolei.

– Alusiu, od dziś to wszystko będzie nasze, chcesz?

Objęła mnie za szyję. Przytuliła się mocno i powiedziała:

– A jednak mama pomogła.

Adam i Ewa sprawili, że już nie bałam się przytulenia i sama umiałam je odwzajemnić.

– Ala, uspokój się. Udusisz mnie i nie dostaniesz niespodzianki. Siadaj grzecznie.

– Jaki śliczny domek. Będę mogła go zabrać? – Była tak podekscytowana, że nie wiedziała, czy chce siedzieć, czy chodzić. Najchętniej by poskakowała, ale miałyśmy tam za mało miejsca.

– To Irtyjski Każun. Domek z polnych kamieni. Takie domy chroniły przed złą pogodą. Ciebie będzie chronił przed smutnymi myślami. Spojrzysz na niego i zobaczysz swój przyszły dom. A jeśli nie dom, to mieszkanie. Duże, jasne i należące do ciebie. Obiecuję ci. A teraz zjedzmy po kawałku ciasta. Sama go jeszcze nie jadłam, chciałam go skosztować razem z tobą. – Wyjęłam ciasto z Rabu. Mała jadła pomalutku, smakując, ja opowiadałam: – Po raz pierwszy to ciasto podano papieżowi Aleksandrowi III w 1177 r. Przyjechał pobłogosławić Katedrę Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Wyrabiały je siostry zakonne. Tylko na specjalne okazje. Przepis jest tajemnicą. Bardzo mało ludzi go zna i strzeże jak największego skarbu. Najczęściej jedzą je ludzie bogaci. Jest bardzo drogie. Uchodzi za najwspanialszy deser. A jeśli najwspanialszy, to znaczy, że jest dla nas. Dla ciebie i dla mnie.

– To ja też jestem wspaniała? – spytała zdziwiona i zaskoczona.

– Oczywiście, że tak. Ja o tym wiem – powiedziałam, patrząc w jej duże oczy.

– To ty, ciociu, jesteś najwspanialsza. Ja dawno to wiem. Wiedziałam już wtedy, gdy jeszcze żyła moja mama – mówiła z takim przekonaniem, że aż poczułam się dziwnie.

– Wcale nie. Właśnie sobie przypomniałam, że mam jeszcze jeden mały prezent i zapomniałam go wyjąć z torby. Zaczekaj. Zaraz przyniosę.

Poszłam do garderoby. W boczną kieszeń włożyłam dwa olejki lawendowe. Lubiłam zapach lawendy. Delikatny. Kojący. A co najważniejsze, odstraszał owady. Miałam nadzieję, że Lustrzane Owady też. Rozpięłam suwak. Obok owiniętych w serwetki buteleczek dostrzegłam małą paczuszkę. Może przez przypadek zabrałam coś nie swojego. Nie przypomiinałam sobie, żebym oprócz olejków wkładała coś jeszcze. Wyjęłam paczuszkę. Usiadłam na podłodze. Rozwinęłam. W środku były telefon komórkowy, ładowarka i karteczka. Twój numer... Twój PIN... Karta włożona. Mój numer... To nie była komórka Ewy ani Adama. Nie znam ich charakterów pisma. On? Ona? Obydwoje?...

Ostatniej nocy, nad ranem, gdy już mieliśmy wracać, Adama olśniło.

– Dorota Cichocka. Rodzice nie żyją. Wychowujesz siostrę. Tylko tyle o tobie wiemy. Jak się porozumiemy, żeby się spotkać? Podaj mi numer telefonu. Adres. Zapiszę – poprosił, wyciągając z kieszeni komórkę.

– Dorota, wiesz o nas tak wiele. My o tobie prawie nic – przyznała mu rację Ewa, nie wiedząc, jak mu powiedzieć, że my już wszystko uzgodniłyśmy.

– Adamie, Adasiu. Nie podam wam adresu. Ani numeru telefonu. Żadnego numeru. Żadnego zamiaru. Nie zapiszę

waszego adresu i numerów telefonu. Spotkaliśmy się. Może los tak chciał. Dziwnie zabrzmiało to, co powiem. To były najszczęśliwsze dni w moim życiu. Nie mów nic, Adamie. Poczekaj, nie skończyłam. – Musiałam zrobić chwilę przerwy. Teraz miałam powtórzyć słowa Ewy. Ona nie mogła się na to zdobyć. To jej prośba, którą też obiecałam spełnić.

– Adamie, Ewa umiera. U-mie-ra – powtórzyłam, sylabizując. – Dopuść wreszcie do siebie myśl, że twoja żona umiera. Rozmawiaj z nią o śmierci. O jej i swoim strachu. O tym, co czujecie. Wykorzystajcie te chwile, które wam zostały, i bądźcie razem. Naprawdę razem. Ewa tego potrzebuje. Nie pozwól jej umierać samotnie, w ciszy. I tak w momencie śmierci będzie sama. I jeszcze jedno. Razem z Ewą podjęliśmy taką decyzję. Było nam wszystkim, z różnych powodów, bardzo dobrze we troje. Tu. Teraz wy macie do przeżycia swoje, a ja swoje. I nie mów ani słowa. – Ruszyłam do hotelu. Po chwili poszli za mną.

W autokarze usiadłam daleko od nich. Wyszłam jak najszybciej. Nie obejrzałam się. Czułam długo ich wzrok na swoich plecach...

– Ciociu, już ciemno. Ty nie przychodzisz. Muszę iść do domu. – Ala czekała na mnie długo. Za długo.

– Przepraszam cię. Zamyśliłam się i straciłam poczucie czasu. Alusiu, masz tu buteleczkę olejku. Lawendowego. Ślicznie pachnie. Druga jest dla mnie. Ja dwie, trzy krople kropię na poduszkę i prześcieradło. Możesz zrobić tak samo. Kładąc się spać, będziemy otulone tym zapachem. I będzie tak, jak chciałaś. Pamiętasz, o co prosiłaś mamę przed moim wyjazdem?

– Pamiętam. Żebym częściej mogła być z ciocią Do-

rotą – wyrzuciła z siebie z prędkością karabinu maszynowego.

– Teraz i ty, i ja będziemy spały w lawendzie. Czyli tak, jakbyśmy spały razem. Rozumiesz? – Przytuliłam ją.

– Tak. I bardzo się cieszę. – W podskokach zbiegała ze schodów, śpiewając: „Będę spała z ciocią, będę spała z ciocią...”.

– Dzień dobry! Pani tu, pani Mario? Nie w pracy? Coś się stało? Teraz u was remont?

Weszłam do mieszkania pana kierownika. Przyszłam wcześniej. W domu było mi źle. Ze sobą było mi jeszcze gorzej. Do tej pory udawało mi się zachować w sobie porządek, kierować się rozumem. Po to ćwiczyłam, uczyłam się, doskonaliłam. Logiczne myślenie i ład to jedyna droga, żeby osiągnąć wyznaczony przez siebie cel. Czasami wyznaczony przez Boga. Teraz logiczne myślenie zakłócają mi zmysły. Nic nie dzieje się przypadkiem. Intuicyjnie czułam, że spotkanie koniakowatego, Ewy to sprawdzian, czy jestem gotowa. Porządek Doroty został zachwiany przez chaos, który dominował we mnie. Zapomnieć. Wymazać. To nie kara. To zagojenie rany. Jedyny sposób, żeby się ukarać, to ciągle rozdrapywanie do bólu i robienie następnych kroków na swojej drodze. Komórka, zawsze przy mnie, będzie mi o tym przypominała. Nigdy jej nie użyję.

– Doroto, jak dobrze, że jesteś. Szef załamany. Córka nie ma czasu mi pomóc. Jutro wyjeżdża. Wszystko na mojej głowie. Nie daję rady. Jemu poświęcam czas, noszę herbatę, kanapki. Gotuję. On siedzi w pokoju i nie wychodzi. Nie rozmawia. Odburkuje, żebym go zostawiła w spokoju. Nie chce mnie widzieć. Ledwo toleruje – mówiła drżącym głosem.

– Proszę się uspokoić. Nic nie rozumiem. Z jakiego powodu pan kierownik jest załamany? Dlaczego zamyka się w pokoju? Co się stało?

Przesunęłam ją, żeby wejść do kuchni i zaparzyć melisę. Na pewno także pani Eleonora jest zdenerwowana zachowaniem syna. Jednej i drugiej przyda się na uspokojenie.

– Dziecko, co za nieszczęście. Pani Eleonora nie żyje. Wczoraj był pogrzeb. Norka znalazła sobie gacha. Dziękuję za to opatrności. Szef ma teraz tylko mnie.

– Pani Eleonora nie żyje? Co się stało? Czują się nieźle – pytałam zaskoczona, jednocześnie rozmawiając ze sobą: „Masz za swoje, egoistko. Czują się dobrze z tym, że możesz robić coś dobrego dla innych. Bezinteresownie. Nie dałaś im możliwości zrobienia czegoś dobrego dla ciebie. Masz za swoje. Skończą się pieniądze. Znowu zaczniesz od zera. A kupiłaś dopiero stół i krzesła”.

Stawiając ziółka na stole, zachęciłam panią Marię, żeby usiadła i wszystko mi opowiedziała. Ze szczegółami.

– Doroto, pani Eleonora była słaba, ale nie czuła bólu. Poprosiła: „Mario. Idź, zajmij się czymś i poczekaj na syna. Jestem zmęczona. Jutro porozmawiamy. Ja też czuję, że z norką się pokłócili. Częściej zostaje w domu. Może wreszcie na dobre. Miej nadzieję”. – Wytarła nos i łyknęła melisy. – Szef wrócił wcześniej. Nie chciał niczego. Powiedział, żebym już poszła, więc wyszłam. – Poderwała się od stołu. Nasłuchiwała. Wydawało jej się, że kierownik wychodzi z pokoju. Była w gotowości. Po chwili usiadła i mówiła dalej: – Następnego dnia przyszedłam do pracy bardzo wcześnie. Chciałam przygotować kanapki, żeby jak tylko wejdzie, miał co zjeść. Ciebie nie było, a ja nie szykowałam mu

w domu. Wolałam podawać świeże, w pracy. Tuż po ósmej zadzwonił telefon. Pomyślałam, że to ktoś z zewnątrz. Naszych już wytresowałam, dzwonią od dziewiątej. To był on, przerażonym głosem mówił: „Mario, matka leży w łóżku. Nie rusza się. Oczy ma otwarte, ale nie mruga. Przyjeżdżaj”. Zadzwoniłam po kierowcę i do lekarza. Dojechaliśmy w tym samym czasie. Doktor stwierdził zgon. Powiedział tylko, że trzeba dziękować Bogu. Umarła we śnie. Uśmiech na jej twarzy oznacza, że bez bólu. Wyszedł. Zostaliśmy sami. Pani Eleonora, biedaczka, nie cierpiała. Szef bardzo. Powiedział:

– Mario, zajmij się wszystkim. Doroty nie ma.

– A pani doktor? – spytałam.

– Już dla mnie nie istnieje. Nie ma jej. Tylko ty mi zostałaś, Mario. – Ostatnie słowa powtórzyła dwa razy, delectując się nimi. – Od razu zadzwoniłam do jego córki. Przyleciała następnego dnia. Pogrzeb był już załatwiony. Pani Eleonora miała wszystko przygotowane, spisała dyspozycje. W szufladzie komódki były dwie koperty: jedna dotycząca pogrzebu i druga dla ciebie, Doroto. Wnuczka je wzięła. Była tam też paczuszka dla niej. Od czasu pogrzebu szef nie przychodzi do pracy. Ja go doglądam.

– A córka? – zapytałam.

– Mieszka w hotelu. Nie chce widzieć ojca. Nawet się z nim nie przywitała. Jeszcze to go spotyka. Niewdzięczność córki. Ty wiesz, Dorota, że ona od śmierci matki nie zamieniła z nim słowa? Do mnie dzwoniła często, żeby zapytać, jak się czuje babcia. Tylko do niej przyjeżdżała. Niezmiernie ją kochała. Mówiła, że bardzo chciałaby cię poznać. Spotkać się i porozmawiać o babci. Umówię cię z nią. Na jutro przed południem. Tylko w tajemnicy przed szefem.

– Od rana jestem już w laboratorium. Nie mogę – powiedziałam, wiedząc, że i tak nie ma to znaczenia.

– Uprzedzę twoją szefową, że masz inne zadanie. Ostatecznie ona jest podwładną mojego szefa i nie ma nic do gadania.

– Dzień dobry, Dorotko. Jak dobrze, że już jesteś. Wiesz już? Matka cię bardzo lubiła. Ceniła. Mario, zrób mi herbaty i idź już. Nie jesteś mi potrzebna. Muszę porozmawiać z Dorotą na osobności. – To był kierownik.

Pani Maria wściekłość miała wypisaną na twarzy. Jej spojrzenie, pierwszy raz, przeszywało mnie na wylot. Muszę coś zrobić. Załagodzić jego słowa. Poszłam za nią do kuchni.

– Pani Mario, nie wiedziałam, że panią tu zastanę o tak wczesnej porze. Myślałam, że jest tylko pani Eleonora. To do niej przyszłam. Pan kierownik powinien być z panią w pracy – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Przywiozłam specjalnie dla pani likier o specyficznych właściwościach. Pije się go z wybraną osobą. Jutro przyniosę do pracy. Nie wiem, z kim będzie pani chciała go wypić, ale jest silniejszy od lubczyku. – Chciałam ją uspokoić, że nie znam jej tajemnicy, a jednocześnie, że jestem tu tylko dla pani Eleonory. – Nie wie pani, o czym chce ze mną rozmawiać pan kierownik? – Nie odpowiedziała, więc zrobiłam to za nią: – Pewnie chce mnie zwolnić, bo teraz już nie jestem mu do niczego potrzebna.

Uśmiechnęła się leciutko, wlepiając we mnie spojrzenie jaszczurki.

– Doroto, przyjmę likier jako dowód wdzięczności za wszystko, co dla ciebie robię. Dobrze, dziecko, że nie zapominasz, ile mi zawdzięczasz. Trzymaj ze mną, a nie pożalujesz – powiedziała dobitnie.

Obie wiedziałyśmy, że się rozumiemy. Słowami można zwodzić, manipulować, ale można także samemu zostać ograny, zmanipulowanym, zwiedzionym. Muszę się mieć na baczności. Ona ma dużo więcej doświadczenia.

– Wracam do domu – poinformowała, podając kierownikowi herbatę. – Jestem pod telefonem. Proszę pamiętać, że w każdej chwili jestem do dyspozycji. Wszystko dla pana zrobię – sylabizowała każde słowo. Z podkreśleniem wyrazów: „wszystko” i „dyspozycyjność”.

Wyszła. Zamknęłam drzwi i wróciłam.

– Usiądź, Doroto. Chcę z tobą porozmawiać o matce. Bardzo cię lubiła, ceniła i szanowała. Rozmawiała ze mną zaraz po twoim wyjeździe. Nie przypuszczałem, że to będzie nasza ostatnia rozmowa. Ona chyba to czuła. Ty wyjechałaś. Chciałem poświęcić jej więcej czasu. – Upił łyk herbaty. Wstał, podszedł do barku. – Napijesz się koniaku?

– Chętnie – powiedziałam, przeczuwając, co ma mi do powiedzenia.

Nie spodziewałam się, że nastąpi to aż tak szybko. Cóż, norka z nieznanym mi powodów zniknęła.

– Doroto, matka powiedziała mi, że najlepiej bym zrobił, żeniąc się z tobą. Przekonywała, że jesteś młodą, ale doświadczoną przez los dziewczyną. Bez perspektyw lepszego życia dla siebie i siostry. Docenisz warunki, opiekę i poczucie bezpieczeństwa, jakie mogę zapewnić. Tobie i twojej siostrze. Chciałbym ją poznać. Przyrowadź ją. Jestem dużo starszy, ale widzisz, jak dobrze się trzymam. Mam swoje wady. Kto ich nie ma. Moja nieboszczka żona była mądrą kobietą. Rozumiała słabości mężczyzn. I była ze mną szczęśliwa. Ja spełniałem jej zachcianki, ona moje. Zajmowała się domem, miała urządzone życie. Musiała

tylko być przykładną żoną i mnie nie kompromitować. Dlatego wychodziła ze mną. W moim towarzystwie wiedziała, jak się zachować. Niestety, odeszła. Córki nie chcą znać. Wydziedziczyłem ją. Matka nie chciała, żebym był sam. Powiedziała, że z doskoku zapewnię sobie jedynie chwilową przyjemność. Czas płynie i na starość będę samotny. Jeśli ożenię się z tobą, będę miał opiekę i pomoc na stałe. Mówiła, że ty znasz jej plany i że ci się podobają. Ja teraz pójdę popracować, a ty się zastanów nad tym, co powiedziałem.

Wstał i wyszedł.

Nalałam sobie pełną lampkę koniaku. Zaproponowano mi etat. Na czas nieokreślony. Z jednostronnym prawem do wypowiedzenia. Odejdzie samej – nago i boso. Znam, w zarysie, obowiązki. Oczywiście jest, że miałabym pracować w warunkach o podwyższonej szkodliwości. Nie wiem na ile niebezpiecznych. Pensja duża. Będę grzeczna i posłuszna, dostanę wysokie premie. Gdy się postaram, zajmę w przyszłości fotel kierowniczy. Mogę zostać z samym fotelem. Czy to ten moment? Może czas na stabilizację? Jak wytłumaczę, że nie mam siostry? Córkę wydziedziczył. Żona musiała podpisać intercyzę. Nic nie było jej. Nie pracowała, zabronił. Wpływ matki. Pani Eleonora pochwaliła się swoją przezornością w zabezpieczeniu interesów syna: „Nic na nią nie zapisuj. Może pragnąć twojej śmierci. Masz córkę (nie mówiła, dlaczego nie utrzymują kontaktów). Ona dorośnie, zrozumie ojca i się pogodzicie. To ona będzie po tobie dziedziczyć”. Mówiła też: „Dorotko, w życiu trzeba być ostrożnym. Żona, mąż to obcy ludzie, których związały obrączki. W każdej chwili można je zdjąć i znów stać się obcymi. Najczęściej wrogami”.

Tego uczyła syna. Twój majątek, twoja pewność. Zmieniła ton dopiero, gdy zaplanowała mój ślub z nim. Nalałam sobie drugą lampkę. Puściłam muzykę. Chciałam zagłuszyć myśli. Pani Eleonora słucha. Musi tu gdzieś być. Nie odeszła. Pilnuje. Nie mogę lekceważyć szparki-sekretarki, właściwie szpary-sekretary. Jest groźna. Muszę zachować pracę. Nie dam też rady zrealizować swoich planów bez dodatkowych dochodów. I to tak dużych.

Rozboliła mnie głowa. Sięgnęłam po tabletkę. Ręka dotknęła komórki. Objęłam ją, mocno zaciskając dłoń. Tak jak Adam ścisnął moją. Próbowałam ją zgnieść. Bez rezultatu. Bolało bardziej niż podczas uścisku Adama. To był mój ból – „koniakowaty”.

Dorotka przypomniała sobie Calineczkę, która sprzeciwiła się planom myszy. Nie została żoną kreta. Długo musiała czekać na sprzyjający los. W chłodzie, deszczu, głodna i uboga. Dorota też nie zostanie żoną kreta. Jednak na swój moment będzie czekać w słońcu, najedzona i coraz bogatsza.

Musiałam o swojej decyzji powiedzieć pani Eleonorze. W jej pokoju prawie nic się nie zmieniło. Tylko łóżko było załane. Brakowało zdjęcia wnuczki. Paru pamiątkowych bibelotów: słonika, którego dostała na szczęście. Podkowy, którą kupiła jeszcze w młodości. Srebrnej papierośnicy jej męża. Ślicznej pozytywki z baletnicą tańczącą w takt walca. Poza tym wszystko stało na swoim miejscu. Usiadłam na krześle, jak zawsze, przy małym okrągłym stoliku. Piłam jej ulubioną herbatę i mówiłam cicho, ale tak, żeby mnie dobrze słyszała, bo była trochę przygłucha: „Pani Eleonoro, proszę odpoczywać. Miała pani rację. Bez pani syna będzie mi źle. Zrobię wszystko, żeby go uszczęśliwić.

Ja wiem, że dobro należy czynić zawsze, wszędzie i w każdej sytuacji. Dobro zwycięża zło". Wstałam. Zasnęła.

– Dobrej wieczności. Pani też była dobra – powiedziałam głośno i w tym samym momencie poczułam na piersiach czyjeś ręce. Ciężar pleców. I smród alkoholowego oddechu.

– Tak się cieszę, Dorotko. Kochałaś moją matkę. Wiesz, że chciała dla ciebie dobrze. Bądź dobra dla mnie. Ja będę dobry dla ciebie. Będzie nam razem wspaniale – mówił, coraz mocniej miętosząc moje piersi.

Odczekałam chwilę, żeby mógł je jeszcze trochę pogniatać, ponaciskać, pogłaskać. Był coraz bardziej podniecony. Sapał. Wysunęłam się z jego objęć. Wzięłam go za rękę i jak niegrzeczne dziecko zaprowadziłam do salonu. Dało się zauważyć, że to go jeszcze bardziej pobudziło. Cóż, czeka mnie poznawanie ciemnych zakamarków duszy pana kierownika. Szkodliwości warunków pracy u tymczasowego pracodawcy. Kazałam mu zaczekać. Szybko weszłam w rolę, która mu odpowiadała. Przyniosłam nowe kieliszki, tym razem do wina.

– Nalej – nakazałam, podając mu korkociąg. Cały czas go obserwowałam. Musiałam być pewna, że dobrze odczytałam. Miałam już plan odwrotu. Nie był potrzebny. Poderwał się jak grzeczny chłopczyk. Otworzył butelkę. Nalewał wino powoli, patrząc, kiedy dam znak, że już dość. – Wystarczy. Siadaj i słuchaj. Obiecałam twojej matce, że za ciebie wyjdę. Ale dopiero, gdy skończę dwadzieścia pięć lat.

Ostatnie słowa wywołały zaskoczenie i powrót pana kierownika, którego znałam.

– Jak to? – spytał grzecznie, ale już władcym tonem. – Myślałem, że...

– Daj mi skończyć. Nie przerywaj – ciągnęłam tonem nauczycielki. Był zdezorientowany. Zaciekawiony. Zniecierpliwiony. Myślał, że złapał króliczka, ale ten się wymknął. – Na razie nie zostanę twoją żoną, ale tylko formalnie. Nieformalnie weźmiemy ślub. Będę u ciebie spała co drugą noc, pod warunkiem że nikt się nie dowie. Musimy szczególnie uważać na Marię. W te noce będę żoną. Taką, jakiej pragniesz. Posłuszną. Rozumiejącą słabostki. Zaspokajającą pragnienia. Tak, żeby ci było nie tylko dobrze, ale wręcz cudownie. Jako żona też chcę się czuć dowartościowana. Im bardziej mnie docenisz, tym bardziej ja docenię ciebie.

Odczekałam chwilę. Patrzył na mnie. Początkowo starał się przeniknąć moje myśli. Rozpraszały go moje piersi. Mówiąc, rozpinalam guziczki u bluzki, wolno, tak żeby z ostatnim słowem rozciągnąć dekolt, przejechać ręką po piersiach i powiedzieć:

– Zrobiło mi się gorąco. Pewnie od twojego uścisku.
– Po chwili dodałam: – Panie kierowniku.

Powiedziałam to tak, jak odzywa się pracownica do chlebodawcy. Zaskoczenie w jego oczach było tak duże, że ledwie panowałam nad sobą, żeby się nie roześmiać. Brawo, Dorota. Na szóstkę. Zrobiłam przerwę i kontynuowałam:

– Będę tu nadal przychodziła za to samo wynagrodzenie. Dbać o dom. Tego życzyła sobie pana matka w rozmowach ze mną. Panie kierowniku, mam małą prośbę. Dostawałam zawsze od pani Eleonory dodatkowo premię na koniec miesiąca („Nie zawsze, czasami” – to w myślach, żeby nie kłamać). Czy byłby pan tak dobry i wyrównał mi różnicę? Potrzebuję tych pieniędzy. – Nie czekając na od-

powiedz, przesłałam do szczegółów: – Dni dbania o dom to stosunki służbowe. Wtedy przychodzi pani Maria. Po-
cząwszy od jutra. Ja muszę zająć się kwiatami, porządka-
mi. Pan traktuje ją tak, żeby czuła się dowartościowana. To
mnie pan prosi o zrobienie herbaty. Dla niej też. Podczas
wieczorów i nocy jako mąż i żona jesteśmy na ty. Przy-
sięgę małżeńską złożymy sobie w parku. Proszę zadbać
o obrączki. Zarezerwować stolik. Zamówić kwiaty, grajka,
koniecznie skrzypce, twoja mama tak je lubiła. Masz ubrać
się elegancko, jak przystało na ślub.

Słuchał mnie jak zaczarowany. Napomknęłam, że je-
stem splukana po wycieczce, więc przyjdę w tym, co mam.
Po kolacji wrócimy do domu. Prezent dla żony. Noc po-
ślubna. I miesiąc miodowy.

– Kiedy ślub?

– Za dwa dni. Muszę zadbać o włosy, zrobić coś z twarzą.
Położyć domowe maseczki, bo na kosmetyczkę mnie nie
stać. Odpowiada ci? – zapytałam, znając odpowiedź.

Miał ją wymalowaną na twarzy. Już przebierał noga-
mi. Już się cieszył jak dziecko. Pani Eleonora mówiła, że on
musi zmieniać kobiety. Możliwe. Tego nie wiem. Jeszcze.
Wiem już, czym go norka tak długo trzymała. Ona zmie-
niała się to w wampa, to w nastolatkę lub w posłuszną
pracownicę, żeby następnego dnia być wymagającym
szefem. Grała w jego grę. Na pewno często odgrywała rolę
karcącej. Inne też poznam, niedługo...

Do pracy wpadłam tylko po to, żeby dowiedzieć się,
gdzie i na którą pani Maria umówiła mnie z wnuczką pani
Eleonory. Wręczyłam jej likier. Zapewniłam, że naprawdę
działa, bo sama wypróbowałam na urlopie. Czekałym

mnie spotkaniem byłam lekko podenerwowana, a jednocześnie zaintrygowana. Córkę kierownika znałam tylko ze zdjęć. Pani Eleonora mówiła o jej dzieciństwie, szkole, studiach. Chwaliła się wnuczką. Zdolna. Najlepsza na roku. Skończyła filologię japońską.

Jadąc autobusem, przypomiinałam sobie rozmowy z nią o wnuczce. Chciałam poskładać w całość poszczególne fragmenty.

„Dorota, trzeba znać minimum dwa tysiące znaków. Małgosia zna ze cztery. Jako drugi język wybrała chiński. Tłumaczyła mi, że japoński wywodzi się właśnie z chińskiego. Widziałaś te ich znaczki? Muszą być dokładnie narysowane. Liczy się każdy ogonek i każde zagięcie. Nauczyła mnie pisać: *hito*, co znaczy »człowiek«. Ona od dziecka była uzdolniona plastycznie i manualnie. Angielskim posługiwała się biegle. Była kilka razy w Anglii. Potem gościła u nas w domu Angielkę. Ojciec płacił za jej lekcje. Po maturze już biegle się porozumiewała. Nie wiem, dlaczego i jak wymogła na ojcu wyprowadzenie się z domu. On płacił za wynajęcie mieszkania. Na trzecim roku zaczęła się utrzymywać sama. Ja jej z różnych okazji dawałam pieniądze. Ode mnie brała”.

Zastanawiałam się już wtedy, jaki mógł być powód wyprowadzki córki. Chciała się usamodzielnic? Możliwe. Nie wierzyłam, że pani Eleonora nie wie, dlaczego wnuczka tak postąpiła. Powiedziała: „Ode mnie brała”. Zabrzmiało to jednoznacznie. Od ojca nie chciała. Matka nie miała własnych środków. Pani Eleonora opowiadała też, że wnuczka zaczęła pracować jako tłumaczka. Chodziła na kolacje z gośćmi z Japonii. Kiedyś ktoś z ambasady zadzwonił na jej wydział. Prosimi o przystanie, nagła potrzeba, kogoś dobrze znającego język. Posłali ją. Potem

wyjechała na stypendium. Tam poznała japońskiego dyplomatę. Pobrali się. Pracuje w ambasadzie. O ślubie powiedziała babci trzy lata po fakcie. Przyjeżdżała raz na pół roku, tylko do niej. Zrozumiało, że z matką też nie była w dobrych stosunkach. Nie powiedziała jej o ślubie. Przychodziła wtedy, gdy była pewna, że ojca nie ma w domu. Pani Eleonora zaznaczała, że odwiedzała tylko ją. O matce nic nie mówiła. Jednak na pogrzeb matki przyjechała.

Uciekła z domu. Tylko dlaczego? Musi kochać babkę. Pani Maria mówiła mi, że córka szefa dzwoniła do niej co miesiąc. Dla mnie przysyła pieniądze. Teraz przyjechała na pogrzeb babci, ale z ojcem nadal nie chce utrzymywać stosunków.

W kawiarni jej nie było. Chyba. Od wejścia spoglądałam, kto siedzi przy stolikach. Sporo ludzi. Wczesna przedpołudniowa pora. Może służbowe spotkania. Wagary, bo sporo młodych dziewczyn w grupkach. Nie byłam pewna, czy ją rozpoznam, mimo że widziałam zdjęcia. Powiedziała, że ona na pewno pozna mnie. Nigdy mnie nie widziała. Nawet na zdjęciu. Byłam trochę niespokojna. Ile mam czekać? Już zdążyłam wypić kawę.

– Bardzo przepraszam, złapałam gumę. Chciałam uprzedzić, ale pani Maria powiedziała, że nie ma pani komórki. – Usiadła zdyszana. – Napije się pani jeszcze czegoś. Może lody? Kawalek tortu?

– Dziękuję. – Sięgnęłam po papierosy. – Pali pani, pani Małgosiu?

– Tak. – Wyjęła z torebki swoje. Zamówiła dla siebie kawę i wodę mineralną dla nas obu. – Może spróbuje pani moich?

– Nie, nie. – Już zapalałam swojego.

Pałac, patrzyłyśmy na siebie. Bez udawania, że zer-
kamy. Bacznie. Taksując się wzajemnie wzrokiem. Była
świetnie ubrana. Wszystko markowe, modne, ale bardzo
eleganckie. Skończyłyśmy palić, nie wypowiedziawszy
słowa. Jednocześnie przydusiłyśmy niedopałki w popiel-
niczkach. Patrząc mi w oczy, nie mrugała powiekami. Prze-
stałam i ja. „Próba sił”, pomyślałam. Musiałyśmy wyglądać
przekomicznie. Dwie sroki widzące błyskotkę. Każda z tej
samej odległości. Gotowa do skoku, złapania zdobyczy
i odfrunięcia z nią. Każda chce wyczuć odpowiedni mo-
ment. Odpowiedni dla siebie. Jednocześnie parsknęłyśmy
śmiechem.

– Jestem Małgorzata. Gosia. Mówmy sobie po imieniu.

– Dorota. – Jeszcze się śmiałam.

– Jednak cię polubię. – Śmiała się i ona.

– Będzie mi miło.

Uspokoiliłam się. Podsunęłam papierosy.

– Poczekaj, bruderszaft palaczy.

Skrzyżowała swoją rękę z moją, trzymając pudełko. Ja
zapaliłam jej, ona mojego. Przypieczętowałyśmy przeje-
ście na „ty”.

– Dorota, może po lampce wina? – zaproponowała, już
szukając wzrokiem kelnera.

– Jesteś samochodem. Nie możesz.

– Ja mogę wszystko. Ile masz czasu, śpieszysz się?

– Nie, do popołudnia mam czas. Potem idę do twojego
ojca.

Na słowo „ojciec” zjeżyła się. Dzwoniła do kogoś: „Słu-
chaj, jestem w kawiarni, tej przy centrum. Tak, w tej. Bądź
za dwie godziny. Poczekam. Weź taksówkę. Ja piję wino.
Poprowadzisz. Pa”.

– Dorota, lubię jasne sytuacje. Nie mów przy mnie o nim „ojciec”. Proszę cię – powiedziała, odkładając komórkę na blat stolika.

– Dobrze. Ale jak mam mówić? Nie unikniemy rozmowy na jego temat.

– Wystarczy „on”. To i tak za dużo. – Była bardzo bezpośrednia. Podobała mi się. – Butelkę wina poproszę. Dorota, jakie?

– Wszystko jedno, byle nie słodkie. Zdaję się na twój wybór.

– Ja na pana – zwróciła się kokieteryjnie do kelnera. – Co pan poleca? Z półwytrawnych. Czerwonych.

Patrzyła na niego, jakby miał zdecydować o najważniejszej sprawie jej życia.

– Mamy świetne wino Ászár. Węgierskie. Z odmiany winorośli Ezerjó, uprawianej tylko na terenie Ászár. Idealnie pasuje do przekąski z sera pleśniowego. Polecam pyszny Chaource. Kozi ser z terenów Burgundii. Słodkawy, z posmakiem owoców.

– Ser znam. Lekki jak śnieg, rozpływa się w ustach. Mówiłam, że zdaję się na pana. Poprosimy – zamówiła, nie pytając o cenę.

– Kokietka z ciebie, Gosiu.

– Źle mnie oceniłaś. Chciałam być miła. Docenić jego pracę. Często traktuje się kelnerów jak maszyny. Oni naprawdę sporo się uczą. – Widząc, że się uśmiecham, przyznała: – No, może troszkę. Nie zapominaj, że ja już jestem prawie w połowie Japonką. – Usprawiedliwiała swoje zachowanie.

– Skąd wiedziałaś, jak wyglądam? Nie znałaś mnie. Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć? Poznać dopiero teraz? Po śmierci pani Eleonory? Wracasz do Japonii. Więcej się nie zobaczymy – zasypałam ją pytaniami.

Była zajęta serem. Nieodrodna wnuczka swojej babci. Wzięła go w palce. Powąchała. Obejrzała ze wszystkich stron. Sprawdziła, na ile się ugina. Dopiero wtedy włożyła kawałek do ust i delectowała się smakiem.

– Nie wszystko naraz. Widziałam cię parę razy – mówiąc, patrzyła na mnie. – Wyjaśnię ci to bardzo prosto.

Przypaliła papierosa.

Nie dałam po sobie poznać zaskoczenia podszytego lękiem. Gdzie? Kiedy? Co o mnie wie?

– Pani Maria, opisując ciebie, mówiła, że jesteś bardzo młodą, miłą, odpowiedzialną dziewczyną. Chwaloną za rzetelność i dokładność przy pracy. Babcia bardzo cię polubiła. Już od pierwszego dnia. Określiła cię mianem surowej gliny. Tworzywa, z którego dopiero powstaje dzieło. Wiesz, ja przyjeżdżam do kraju dość często, choć się do tego nie przyznaję. Nawet odwiedziny u babci były dla mnie bardzo trudne. O tym potem. Chciałam cię zobaczyć. Czekałam w taksówce. Mój samochód mogła rozpoznać Maria, która wpada o różnych porach. Wiedząc, że przyjdziecie razem, czekałam. Potem widziałam cię jeszcze parę razy.

Skupiłam się na wypuszczanym ustami dymie, próbując robić kółka. Słuchając, rozmawiałam z Dorotą. Kolejny obraz przeciętnej rodziny. Nieważne, w jakich szatach. Tę dziewczynę ciągnęło pod dom rodzinny. Nie chciała patrzeć na mnie. To tylko wymówka. Przed samą sobą. Chciała pobyc na swojej ulicy, popatrzeć na znajome okna, drzwi. Ból to najczęstsze uczucie, które nam towarzyszy od narodzin do śmierci. Ból somatyczny obezwładnia każdego. Nie potrzeba fizycznej amputacji. Psychiczna jest wystarczająca, żeby cierpieć na porażający ból głowy, ser-

ca, płuc. Nie móc funkcjonować. Gosia poparzyła się ciepłym domowym ogniskiem.

Idąc pierwszy raz do tego domu, nie widziałam na drzwiach tabliczki: „Przeciętna rodzina”. Na bramach wiszą ostrzeżenia: „Zły pies”. Nie ma tabliczek z napisem: „Dobry pies”. Do szkoły wzywa się rodziców złego ucznia. W mediach słychać o tych, którzy zabijali, gwałcili, znęcali się. To się podoba, to się sprzedaje. Przeciętność jest normą. To dobro w cieniu zła. Ciężko jest być wartym zainteresowania. Dobro ma zawsze dwie strony. Dobro to najczęściej zło ubrane w szatę przeciętności na balu kostiumowym.

– Dorota, o czym myślisz? Masz mi za złe, że obserwo-
wałam cię z ukrycia?

– Nie, Małgosiu. Zamyśliłam się. Przepraszam. Mów dalej.

Napiłam się wina. Było naprawdę dobre. Ser również. Powtórzyłam jej czynności i sama smakowałam słodczy-
śnięciem.

– Chciałam się z tobą spotkać z trzech powodów. Po pierwsze, mam coś dla ciebie. Proszę, to od babci. – Wyjęła z torby list i pozytywkę pani Eleonory. – Musiała cię bardzo polubić. Na pewno wiesz, że to pamiątka. Dała ją tobie, nie mnie. Jeśli chcesz, przeczytaj list. Ja idę do toalety.

Wstała od stolika.

List był krótki: „Dorotko, dziecko. Jestem przede wszystkim matką. Wszystko, co robiłam – złego czy dobrego – robiłam, żeby go uszczęśliwić. To jemu miało być dobrze. Jego dobro było i jest dla mnie najważniejsze. Wiesz, że pozytywkę dostałam od matki ze słowami: »Bądź dobrą żoną, matką. Bądź dobrym człowiekiem«. Z tym przesłaniem daję ją teraz tobie. Dodając: »Dla mo-

jego syna«. Będę nad wami czuwała. Matka i niedoszła teściowa”.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Matka nie odeszła. Jest przy mnie. Przybiera inną postać i ciągle jest. Musi czuwać nad swoim dzieckiem. Nawet niechcianym, żeby było dobre. Jest matką, a Bóg każe strzec swoich owieczek.

– Po drugie, chciałam cię prosić, żebyś opowiedziała o babci. – Gosia wróciła. – Co robiłyście? O czym rozmawiałyście? Wszystko. Bywałam lekko zazdrosna, słysząc, że zastępujesz jej mnie – wyznała, sadowiąc się wygodnie.

Opowiadałam. Ona dopytywała. Mówiłam dalej. Dźwięk telefonu oznajmił, że czeka na nią jej przyjaciel.

– Dorota, przyjadę za dwa tygodnie. Zobaczymy się? – spytała.

Poprosiła o rachunek, dając mi do zrozumienia, że zapłaci.

– Gosiu, musisz zdecydować, co zrobić z rzeczami. On już mi powiedział, że zdaje się na mnie. Mam wszystko wyrzucić. – Nie dodałam: „Po tobie i żonie. Mam gościć nasze gniazdko”.

– Usuń wszystkie ślady po mnie i po mamie. Rozumiem, że jako obcej osobie jest ci trudno. Czy dalej będziesz przychodzić? Pracować w tym domu? – spytała zaniepokojona.

– Tak. Potrzebuję pieniędzy. Masz coś przeciwko? – zapytałam wprost, chcąc zrozumieć jej ton.

– Nie, nie mam. Tylko... – przerwała.

– Co? Nie powiedziałaś o trzecim powodzie naszego spotkania – przypomniałam.

– Dorota, spieszę się. Chcesz, to cię podrzucimy? – Nie odpowiedziała na moje pytania.

– Zaczynając naszą rozmowę, powiedziałaś, że lubisz jasne sytuacje. Ja też. Robisz unik. Nie jesteś konsekwentna – nie dawałam za wygraną.

Chciałam poznać trzeci powód. I dowiedzieć się, co znaczyło to zawieszone „tylko”.

– Porozmawiamy jeszcze, obiecuję. Gdy tylko będziesz chciała. Kup sobie komórkę. Z najniższym abonamentem. Nie musisz oddzwaniać. Ci, którzy będą chcieli, sami zadzwonią. Zawsze dają darmowe minuty i SMS-y. Połączenia alarmowe są bezpłatne. Będziemy się kontaktowały bez pośrednictwa Marii. To nam wyjdzie na dobre – przekonywała, odrzucając połączenie. – Teraz powiem ci tylko jedno. Uważaj na niego. W razie krępujących sytuacji zrezygnuj z tej pracy. Szukaj innej. Lecę, pa – dodała już odwrócona w stronę wyjścia.

Wiedziała? O czym? O upodobaniach ojca? Czy ten kulturalny, wykształcony człowiek był dla niej taki jak mój ojciec? Na pewno jej nie bił. Ale mój przecież też tego nie robił. Uderzył mnie zaledwie raz czy dwa. W twarz. Z mojej winy. To ja go sprowokowałam swoim zachowaniem. Szturchanie czy zdzielenie po głowie było dla mojego dobra. Miałam nauczyć się posłuszeństwa. Nigdy nie uderzył mnie bez powodu.

Pani Eleonora mawiała: „Maniery są ważne. Kulturalny człowiek nie przeklina, nie zachowuje się jak cham. Nerwy trzyma na wodzy. Umie przekonać słowem. Jak mój syn. On jest panem przez duże P”.

Może matka się nią nie interesowała, nie kochała jej, nie chciała? Na pogrzeb przyjechała tylko po to, żeby upewnić się, że matka nie żyje. Tak jak ja. Nie. Nie rozmawiała z ojcem. On ją wydziedziczył. To on musiał być powodem.

Dojdę do tego w swoim czasie. Na wszystko musi przyjść odpowiedni moment...

Wchodząc do mieszkania pana kierownika, zobaczyłam rozanieloną panią Marię. Siedzieli przy stole, popijali likier i słuchali muzyki.

– O, dobrze, że już pani jest. Proszę nam zrobić herbaty. Pani Marii i mnie – przywitał mnie kierownik, recytując uzgodnioną kwestię.

– Już robię.

Szybko wszedł w rolę. Nawet się nie zająknął. Muszę się pilnować. To ja mam reżyserować tę tragifarsę. On ma tylko grać. Fakt, że jedną z głównych ról. Drugą ja.

– Proszę, pani Mario. – Gdy podawałam herbatę, zauważyłam jej porozumiewawczy uśmiech mówiący: „To działa, Dorotko, działa”.

Odwróciłam się tak, żeby kierownik nie widział. Spojrzałam na nią z podziwem i pokazałam gestem: „Tak trzymać”.

Po godzinie nie miałam już co robić. Ona gruchała. On łaskawie słuchał.

– Pójdę do siebie, nie będę państwu przeszkadzać – powiedziała już ubrana.

– Pani Doroto, pani Maria, biorąc pod uwagę pani trudną sytuację – przerwał, ucałował jej dłoń – zadecydowała, że wynagrodzenie będzie pani dostawać z góry. W kuchni leży koperta. Do widzenia. Zobaczymy się pojutrze, zgodnie z tym, co ustaliliśmy – dodał, patrząc na mnie porozumiewawczo.

– Tak, oczywiście. Wszystko tak, jak uzgodniliśmy, panie kierowniku.

Schodząc po schodach, przeliczyłam pieniądze. Było więcej, niż się spodziewałam. W drugiej, podpisanej: „Dla panny młodej”, szeroki gest pana młodego. Kupiłam suknię, buty, dodatki. Firmowe. Odpowiednią bieliznę też. Pierwszy raz kosmetyczka, masaż, fryzjer w renomowanym salonie. Nie w byle jakim, najtańszym zakładzie. Wychodzę za mąż. Mam prawo zaszaleć. Znam zakłęcie, które otwiera prawdziwy Sezam...

Trzy miesiące upłynęły w sielance: Praca i obowiązki żony okazały się łatwe dzięki naukom, które odebrałam w dawnych latach. Stan mojego konta rósł. Miałam już nawet kartę kredytową. Przepiękny, najdroższy czerwono-złoty dywan leżał w pokoju koronacji. Dopieszczałam wszystko starannie, ze szczegółami. Musi być idealnie pod każdym względem.

Noc poślubna, która wydawała mi się najłatwiejszą częścią tej sztuki, o mało wszystkiego nie popsuła. Ceremonia odbyła się zgodnie ze scenariuszem.

W domu dostałam piękną złotą bransoletkę. Co prawda po pani Eleonorze, za to ze słowami: „Matka się cieszy, patrząc na moje szczęście”. Rozochocony, czekał, aż się rozbiorę. Nie chciałam pognieść sukni. Pchnął mnie nagą na łóżko.

– Nie rozbierzesz się, mój mężu? – zapytałam lekko zdziwiona, przybierając pozę dobrze znaną z obrazu, który wisiał w jego gabinecie. Przodem. Z rękami założonymi za głowę. Linia idąca od trójkąta wzgórka łonowego do pępka (u mnie lekko mechata) wraz z linią między udami i nogami miały przypominać krzyż. Pani Eleonora, opowiadając mi o obrazie, mówiła, że to był prawdopodobnie

ukłon malarza w kierunku Świętego Oficjum. W Hiszpanii, za czasów inkwizycji, zakazano malowania aktów.

– O matko, „Naga Maja”. Moja naga Maja.

Nie wiedziałam, czy się modli, czy chwali się swojej matce. Szybko zdejmował z siebie ubrania. Rzucił na podłogę. Położył się na mnie. Twarzą na moich piersiach. Leżał i sapał. Nie zdjął bokserek. Myślałam, że z pośpiechu. Przyciskał rękami moje piersi, tak by otulić nimi policzki. Bałam się, że się udusi. Próbując unieść jego głowę, przesunęłam ją tak, że ustami musnął sutek. Jakby na to czekał. Przywarł do niego i zaczął ssać jak małe dziecko. Ułożył się wygodniej i nagle włożył mi do pochwy dłoń zaciśniętą w pięść. Głęboko, aż po sam nadgarstek. „Dobrze, że ma małe dłonie”, pomyślałam. Wielbiciele fistingu, penetrując pochwę, potrafią wkładać rękę aż po łokieć. Temat seksu, zbroczeń bardzo dobrze znałam w teorii, z praktyką było gorzej. Gdy chciałam zmienić pozycję, by było mi wygodniej, poczułam ból spowodowany raptownie wyjmowaną ręką. Zerwał się i krzyknął:

– Oszukałaś mnie. Jesteś po defloracji.

Był wściekły. Krew napłynęła mu do twarzy.

– Nie oszukałam. Nie pytałeś.

Usiadłam i spuściłam nogi. Włożyłam koszulkę, którą kupiłam na tę noc.

– Miałaś być uczciwa. Porządna. Niewinna.

Wlepił we mnie wzrok.

Było źle. Wiedziałam, że spał z tyloma kobietami, ale nie przyszło mi do głowy, że zależy mu na dziewictwie. Akurat moim. Nie dopracowałam szczegółów. Zgrzeszyłam pychą. Pewnością, że jestem już gotowa. Teraz mogę ponieść surową karę. Znów zaczynać od zera. Miałam być

jego żoną. Czyli w stu procentach godną. Był rozsierdzony. Czuł się oszukany. Zdradzony. Wyszedł. Słyszałam, że sięga po butelkę. Nalewa. Weszłam do salonu ze szlafrokiem w rękę. Wybadać sytuację.

Zawiedzione męskie cielsko. Silne i wściekłe. Przed chwilą miałam przy piersi bezpieczne dziecko. Musiałam działać szybko. Tu moje wdzięki nie wystarczą. Słowa też nie. Już mnie nie pożądał. Byłam zbrukana. Nie zasługiwałam na przekroczenie progu jego domu jako żona. Kochanek mógł mieć dużo. Stać go. Odwagi już mi nie brakowało. Pokory nauczyłam się dawno.

– Nie oszukałam. Niepytana, nie mówiłam. Pani Eleonora wiedziała. Opowiem panu kierownikowi naszą rozmowę. Już dawno zapytała: „Powiedz mi, dziecko, czy jesteś dziewicą?” – „Nie wiem”, odpowiedziałam zgodnie z prawdą.” – „Czy spałaś z mężczyzną?” – „Nie”. – „Byłaś u ginekologa?” – „Tak. Zaprowadziła mnie moja pani od gimnastyki. Długo krwawiłam. Potem plamiłam. Przyznałam się jej. Poszła ze mną. Dał mi tabletki i przeszło”. – „Badał cię przez odbyt czy pochwę? Mów, Dorota. Muszę wiedzieć. To ważne”. – „Przez odbyt”, wyznałam cicho.

– Nie wstydziłam się pani Eleonory. Twojej matki.

Patrzyłam, jak zareaguje na mówienie mu na „ty”. Cofnął się, ale słuchał, nie przerywając. Jest dobrze. Podeszłam do stołu. Nalałam sobie koniaku. Okręciłam się szczelnie szlafrocikiem. Cichutko, tak że musiał podejść bliżej, mówiłam ze wstydem, z trwogą, bólem, a zarazem niewinnością skrzywdzonego dziecka. Musiałam robić przerwy, nie byłam jeszcze biegła w improwizacji. Sufler strach podpowiadał mi kolejne kwestie. Przypomniałam sobie, co mówiłam pani Eleonorze: „Bolał mnie dół brzu-

cha. Pamięta pani, chyba drugiego dnia pracy u państwa. Dała mi pani proszek i kazała iść do ginekologa”.

– Twoja matka była bardzo dobrą kobietą. Przypomniała sobie tę sytuację i bardzo mnie przepraszała, że od razu nie wypytała, jak się czuję.

„Wtedy cię jeszcze nie znałam, Dorotko”, powiedziała. „Dziś wiesz, jak cię lubię. I co powiedział lekarz? Jesteś zdrowa?” – „Tak. Powiedział, że jestem świetnie zbudowana. Mogę urodzić dużo zdrowych dzieci”. – „Cieszę się. Masz smutną minę. No nie płacz. Mów, co się stało”. Przytuliła mnie i opowiedziałam jej wszystko. Kazała mi zapamiętać, że jestem porządną, uczciwą dziewczyną. Dziewictwa pozbawi mnie mąż. W noc poślubną. Potem dodała, że jej marzeniem jest, żeby to był jej syn. „Jesteś idealną kobietą dla mojego syna. Przy tobie będzie szczęśliwy”, powiedziała.

Powtarzałam synowi słowa matki, cały czas sprawdzając, czy nie przesadzam. Zrobiłam przerwę, widząc, że zainteresowanie wypiera wściekłość. Nie był już czerwony. Nie zaciskał dłoni. Gestem wskazał, bym usiadła. Usiadłam przygarbiona, w rękę trzymałam kieliszek. Spuściłam oczy, myśląc: „Uff, będzie dobrze. Tym razem nie zostanę ukarana”. Usiadł obok mnie. Dołał nam koniaku i ponaglał:

– Mów, Dorota, mów. Dlaczego płakałaś?

– Wstydzę się.

Jeszcze niżej spuściłam głowę.

Wstał. Podeszedł do mnie. Przytulił do swojego pępka i powiedział:

– Jesteś moją żoną. Musisz mi mówić o wszystkim. Moja matka była mądrą kobietą. Zawsze wiedziała, co jest dla mnie dobre.

– Doktor... – chlifałam.

Wiedziałam już, że nie zostanę ukarana. Znów jestem żoną.

– Co doktor? – spytał, głaszcząc mnie po głowie w celu dodania odwagi.

– On mnie zbadał jak dorosłą kobietę. Z wziernikiem. Krwawiłam. Przepraszał, ale powiedział, że to ja jestem winna, bo powinnam była go uprzedzić. Byłam jedynym takim przypadkiem. – Łkając, wyczułam, że teraz wzbiera w nim złość na lekarza. „Jeszcze mi każe powiedzieć, który to”, pomyślałam i szybko dodałam: – Powiedział, że to dobrze dla mojego męża. Bo za długo czekałam i tylko operacyjnie mogłabym zostać pozbawiona grubej błony dziewiczej. – Drżąc na całym ciele, modliłam się: „Boże, już nic więcej nie wymyślę. Spraw, żeby w to uwierzył. Już nigdy nie zgrzeszę pychą. Wysłuchaj mnie”.

Mój mąż nachylił się, biorąc mnie na rękę (rzeczywiście był silny). Nucił:

– Przytul się, moja mała dziewczynko. Zaniosę cię do łóżka. Utulę. Zaśniesz spokojnie.

Rozebrał mnie. Położył. Nakrył kołdrą. Moje ręce ułożył nad głową. Domyśliłam się, że układa mnie w pozycji słodko śpiącego bobasa. Zacisnęłam dłonie w pięści. Zamknęłam oczy. Odetchnęłam z ulgą. Byłam zmęczona. Trudno byłoby mi wykrzesać z siebie pożądanie.

– Moja mama nauczyła mnie, jak uspokaja się i odpręża dziewczynki. Będzie ci dobrze, tak jak jej. – Usłyszałam jego uspokajający szept.

Jednocześnie była w nim pewność, że wie, co mówi. Poczulałam, że podnosi kołdrę, rozsuwa moje nogi, wczołguje się wyżej i zaczyna mnie lizać. Robił to delikatnie. Nawet

usypiająco. Nie było mi z tym źle. Leżałam bez ruchu. Rozsypane klocki złożyły się w całość. W liście do mnie pani Eleonora napisała wyraźnie: „Wszystko, co robiłam – złego czy dobrego – robiłam, żeby go uszczęśliwić. To jemu miało być dobrze”.

Coś dziwnego zaczęło się ze mną dziać. Przestałam analizować. Wsłuchiwałam się w siebie. Nie słyszałam żadnych głosów. Dziwne uczucie, bardzo przyjemne. Poczułam jak napinam piersi, brzuch, uda. Odruchowo zgięłam nogi w kolanach. To zaowocowało ruchami jego języka, tak jakby chciał rozerwać moje dziewictwo. Na wszystkie strony, w głąb i znowu po wierzchu. Chciałam czuć to mocniej, głębiej. Uniosłam pośladki i przycisnęłam się do jego ust. Ścisnęłam swoje piersi, tak jak wtedy robił to koniakowaty. Mocno, gwałtownie. Pocierałam sutki. Leżąc, usiadłam po turecku, opierając pięty o jego kark. Znowu poczułam jego dłoń, całą, w sobie. Głęboko. Jednocześnie ssał moją łechtaczkę. „Jeszcze, Adamie. Nie przerywaj. Adamie! Teraz! Na trzy!”, krzyczałam w myślach i po chwili krzyknęłam głośno:

– Już!

Wróciłam do rzeczywistości.

– Pozbawiłem swoją żonę dziewictwa. Tak jak mówiła mama. Następną noc będzie dla mnie – mówiąc to, położył się w bokserkach obok mnie. Pocałował mnie w rękę. Odwrócił się plecami i momentalnie zasnął.

Nie zdjął bokserów. Odnotowałam w myślach, że były suche. Pomyślę o tym później. Do tej pory orgazm znałam jedynie z literatury. Dziś poznałam w praktyce. „Noce małżeńskie nie muszą być takie złe”, pomyślałam. I bałam się dodać: „Gdy myślę, że to koniakowaty”...

Wróciłam myślami do Chorwacji. Do tej nocy, podczas której zostałam zgwałcona, nie czując się gwałcona. Adam przeproszał. Za zapomnienie. Za to, co mi odebrał. Ja dziękowałam. Za możliwość zapamiętania. I za to, że wziął to, co chciałam mu dać.

Dla niego to jedna z krótkich chwil, w których chciał zapomnieć. O wszystkim. Dla mnie jedna z długich chwil, o których chciałam pamiętać.

Dla niego: krótki czas przyśpieszonego oddechu i wyładowanie. Dla mnie: wieczny uścisk i eksplozja. Jego eksplozja, którą czuję do dziś.

Można nauczyć się zapanować rozumem nad chaosem uczuć. Tylko jak amputować serce?

Noce z moim „mężem” udowodniły mi, że wszystko, co zsyła nam Bóg, ma głębszy sens. Ksiądz mówił: „Cierpienie zesłane przez Boga to próba naszej wiary w Jego miłość i opiekę”. Ojciec, wracając z kościoła, powtarzał: „Pamiętaj, że nigdy nie wiemy, czy to, co nas w życiu spotyka, nie przerodzi się w coś dla nas dobrego”. I uczył mnie, dla mojego przyszłego dobra. „Krzysiek nie nauczy cię wszystkiego. Sam jeszcze nie jest mężem. Matka za stara. To ja muszę ci poświęcić swój czas i nauczyć bycia kobietą umiejętnie postępującą z mężem”, tłumaczył. Nie gwałcił mnie. Nie molestował. W zasadzie nie dotykał, najwyżej siebie. Powtarzał: „Rób to, co ci mówię, tylko nie podchodź do mnie bliżej niż na metr”.

Teraz wszystko, czego mnie nauczył, przydawało się w zaspokajaniu męża. Żyliśmy, mimo że on był niewierzący, zgodnie z zasadami wiary. W Biblii czytamy, że mąż jest przełożonym niewiasty. Musi dbać o jej utrzymanie i wy-

żywienie. Ona ma być uległa. Ma go słuchać i dbać o dom. Mój „mąż” miał podobne wymagania do tych, które stosował ojciec, ucząc mnie. Też był reżyserem i scenografem tych naszych „upojnych” nocy. Ja skupiałam się na pilnowaniu, żeby nie skąpił na utrzymanie domu. Oczywiście mojego domu...

Kurtyna w górę.

Scena pierwsza. Postacie:

Dziewczynka. W króciuchnej spódniczce. Zapomniała założyć majtek. Bluzeczka po starszej siostrze. Z za dużym dekoltem. Koniecznie prześwitująca. Bez stanika. Kokarda we włosach. Bawi się. Podskakuje. Przewraca. Zасыpuje się piaskiem. Robi fikołki. Siada ojcu na kolanach. Piasek powchodził jej wszędzie. Przewraca się, płacze.

Tatuś dziewczynki. Dystyngowany pan. Ubrany w garnitur. Koszula, krawat i gazeta na kolanach. Obserwuje, czy córeczka nie robi sobie krzywdy. Reaguje, bierze na kolana. Czyści z piasku. Dokładnie. Całuje siniaki. Bawią się w konika. Uspokaja. Kołysze i utula.

Z czasem scenarzysta rozwinął tę scenę. Dziewczynka kaprysi. Chce lalkę. Tatuś wyjmuje i daje jej swoją. Mała zajmuje się nią chwilę, mówi: „Fe” i idzie bawić się w lekarza. Samej trudno. Łopatka nie może być lekarzem. Nie da rady. Prosi tatę. Tata jest lekarzem. Specjalistą w każdej dziedzinie.

Scena druga. Postacie:

Mały chłopczyk. Krótkie spodenki na szelkach. Koszulka. Skarpetki, buciki. Plecak. Przyszedł ze szkoły. Zdjął buty. Założył kapcie. Grzecznie odstawił plecak. Poszedł umyć ręce. Usiadł na kanapie. Smutny, przegrany, zroz-

paczony. Koledzy nie chcą się z nim bawić. Sam ze sobą nie umie.

Mama chłopca. Elegancka. Ładna figura. Obcisła, wydekoltowana bluzka. Gorąco, więc bez stanika. Spódnica długa, szeroka, lekko prześwitująca. Chyba że stanie pod światło, wtedy bardzo. Bez majtek (z tego samego powodu, gorąco). Mama bardzo kocha syna. Nie może pozwolić, żeby bawił się z łobuzami. Odrabia z nim lekcje. Dla jego dobra bije po łapach za każdą źle napisaną literę. Chłopiec myli się w zadaniu. Musi iść do kąta. Przodem do matki. Mama wachluje się spódnicą. Podkasuje na krótką. Sta-je przy oknie, pod światło. Przecież jest gorąco. Pozwala chłopcu wstać i powiedzieć wiersz, którego miał się nauczyć na pamięć. Mały się jąka. Widzi przygotowany pasek i wie, że musi spuścić spodnie. Kładzie się na kolanach mamy. Odlicza razy. Wstaje. Całuje matkę w rękę. Idzie doprowadzić się do porządku. Wraca. Kolacja i spać. Jest bardzo dobrze ułożonym chłopcem. Widać, że chowa się go na dżentelmena. Matka ocenia jego zachowanie. Jeżeli dostanie dobry stopień, będzie nagroda. Za zły czeka go kara.

Według scenariusza tu rozwija się akcja.

Sceny nagrody.

Scena symboliczna. Ssanie piersi – powrót do dzieciństwa. Mama tuli chłopca do piersi. Pozwala mu ssać, żeby poczuł się szczęśliwy jak w dzieciństwie.

Scena symboliczna druga. Mama pozwala chłopcu zapoznać się z miejscem, z którego przyszedł na świat. Ma oglądać, dotykać i sprawdzać wnętrze. Musi poznać waginę. W ten sposób znów powraca myślami do czasów narodzin. Obie sceny kształtują w nim cechy dobrego kochanka. Mama dba też o atrybut męskości. Masuje,

ugniata, rozciąga. Wszystko po to, żeby zwiększył swoje rozmiary.

Sceny kary.

Chłopiec dotąd musi penetrować waginę – palcami, dłońmi, językiem – aż mama krzyknie: „Dość”. Robić masaż całego ciała przy użyciu rąk i języka. Mama w tym czasie relaksuje się i nie zajmuje atrybutem męskości syna.

Scenarzysta i reżyser nie tolerowali żadnych wulgaryzmów. Spieszczenia również były niedopuszczalne. Na określenie narządów męskich tylko: atrybut męskości, czasami łodyga orchidei. Z przymiotnikami: sztywny, wspinały, okazały. Wyjaśniła się sprawa jego niezdetekowanych majtek i zmian partnerek. To był kompleks wielkości członka. Chociaż trudno mówić o wielkości. On chyba siusiał na siedząco. Musiał mieć trudność z wyciągnięciem z rozporka. Podczas erekcji może miał z siedem centymetrów. A podobno powiększa się w tym momencie nawet o sześćdziesiąt procent.

Określenia narządów kobiecych: piersi (cycki niedopuszczalne), wagina i w scenach ze śpiącą żoną: orchidea.

Scena trzecia. Postacie:

Żona. Leży naga, przykryta tylko cienkim jedwabnym szlafroczeniem przerzuconym przez biodra. Zakrywającym intymną część ciała. Śpi. Niespokojnie. Przewraca się na wznak. Przez sen zaczyna gładzić swoje piersi. Widać po jej minie, że to ją uspokaja. Po chwili ręka wędruje na brzuch, potem niżej, próbując wyczuć kształt wazonu i znaleźć otwór. Przez sen odrzuca szlafroczek, pręży ciało, zmienia pozycję. Szeroko rozsuwa nogi. Poleruje, przeciera wazon, żeby po chwili zagłębić palce i czyścić wnętrze. Nie może

dosięgnąć dna wazonu. Denerwuje się, coraz bardziej wygina. Silniej i szybciej. Wazon jest gotowy do włożenia łodygi.

Mąż. Siedzi w fotelu. Ma na sobie szlafrok i bokserki. Pije koniak. Słucha cichutko utworu Mozarta. Obserwuje śpiącą żonę. Widzi, że jest niespokojna. Zmienia się w zniecierpliwioną. Jej orchidea robi się coraz piękniejsza. Coraz intensywniejszy kolor, zapach i rosa na płatkach. Biedna, nie ma łodygi, żeby wstawić ją do wazonu. Mąż przygotował swoją. Podchodzi do żony. Delikatnie odsuwa jej rękę. Sprawdza językiem gładkość wazonu, spija rosę z płatków i wkłada łodygę. Napełnia wazon cieczą. Żona (przez sen) krzyczy: „Ach, och, jak wspaniale”. Jej ciało się uspokaja. Na twarzy widać zaspokojenie. Przyjmuje pozycję embrionu. Mąż okrywa ją. Kładzie się obok. Śpią.

Dość trudna rola dla żony. Musiała po pozycji i odgłosach męża domyślać się, czy już włożył i czy już napełnił. Oczu nie mogła otwierać. Przecież spała. Reżyser był bardzo niezadowolony, gdy trzeba było powtarzać ujęcie.

Scen było jeszcze parę. Z dziewczyną tańczącą na rurze. Taką z filmów dla mężczyzn. Chłopczyk z dziewczynką bawiący się w lekarza. Niekiedy odgrywali sceny w pokoju pani Eleonory. Mama musiała długo utulać swojego synka. Zapewniać, że jest dzielny, wspaniały, a co najważniejsze męski...

Byłam rozpieszczaną żoną. Dostawałam najdroższe perfumy, biżuterię, kwiaty.

– Sam zdecyduj. Nie pytaj mnie. Wiesz najlepiej, co jest godne noszenia przez twoją przyszłą żonę. Nie może cię skompromitować. Już po prawdziwym ślubie będziesz

zabierał mnie na przyjęcia. Wygląd żony świadczy o mężu. O jego guście – tłumaczyłam, dodając: – Twoja matka zawsze to mówiła. – Wiedziałam, że to ostateczny argument.

– Moja matka była damą. Z ciebie też zrobię damę.

Zamawiał do domu kraby, homary, nawet ślimaki (okropieństwo). Uczył mnie rozpoznawać wina, koniaki. Rozmawialiśmy na wiele tematów. Uwielbiał mówić o filozofii.

– Moja żono. – Bardzo uczonym głosem (do matki zwracał się zawsze: moja matko, ona do niego: mój synu). – Nietzsche powiedział, że nie istnieje moralność obiektywna. Każdy ma taką, jaka jest mu potrzebna do jego celów i jaka odpowiada jego uczuciom.

– Mój mężu, pamiętam słowa świętego Augustyna: „Cokolwiek istnieje, o ile istnieje, jest dobre. Zło jest tylko brakiem dobra”.

Był zaskoczony.

– Nie przypuszczałem, że interesujesz się pojęciami dobra i zła. Czytałaś coś na ten temat.

– Sporo. Zawsze chciałam być dobra. Spełniać dobre uczynki.

– Coraz bardziej się upewniam, że matka miała rację. Lepszej żony nie znajdę – mówiąc to, pocałował mnie w rękę. I wrócił do tematu: – Moore uważał, że dobro i zło to pojęcia niedefiniowalne. Podobnie jak punkt i linia prosta w geometrii. Dobro to wszystko to, co jest przyjęte za dobre w danym systemie etycznym.

– Linia prosta ma definicję. To zbiór punktów – wtrąciłam swoje trzy grosze, chcąc pokazać, że w szkole się czegoś nauczyłam.

– Kobieto... – powiedział z lekceważeniem. – Jeżeli punkt jest niedefiniowalny, to prosta też.

Pewniej czułam się w rozważaniach na temat dobra i zła.
– Mnie najbardziej – mówiłam z pełnym zrozumieniem i przekonaniem – odpowiada myślenie Kanta: „Dobre działania to te, które pomagają wypełniać obowiązek. Złe to te, które stoją w sprzeczności z obowiązkiem”.

Wstał, pocałował mnie dwa razy w rękę i poszedł do gabinetu. Znamienne, że dwa. Do tej pory całował mnie tylko raz...

Spotkałyśmy się z Małgorzatą w jej pokoju hotelowym. Siedziałyśmy z podwiniętymi nogami na kanapie. Wygodnie. Można powiedzieć, że polubiłyśmy się od pierwszego spotkania. Ona przez wyjazd straciła kontakt ze swoimi koleżankami. Przyjeżdżając służbowo, wykorzystywała czas także na spotkania w celach łóżkowych. O seksie mogła mówić bez przerwy.

– Dorota, wiesz, że w Japonii są „hotele miłości”? W samym Tokio znajduje się ich około trzech tysięcy. Tam, gdzie mieszkam, jest „Pasja”, „Jeszcze raz” i „Zajazd słodkich kochanków”. To nie są domy publiczne. To miejsca, do których pary wchodzi (nawet na godziny), gdy najdzie je ochota na seks. Japoński chłopak często pyta: „U ciebie? U mnie? Czy w hotelu miłości?”. Małżeństwa przychodzą się tu kochać. Dziećmi zajmują się opiekunki. – Sięgając po kolejnego papierosa, dodała: – Opowiem ci trochę o japońskim mężu. Japończycy uważają, że rodzina i obowiązki małżeńskie nie mają nic wspólnego z rozrywkami i przyjemnościami. Japoński mąż bardzo mało przebywa w domu. Nie interesuje się żoną. Dla dzieci też nie ma czasu. Dom jest dla niego tylko miejscem do spania. W małżeństwie, często aranżowanym, seks uprawia się jedynie w celach prokreacyjnych. Sto-

sunki pozamałżeńskie są normą. Nie mogą tylko zagrażać rodzinie. W czasie najbardziej wyuzdanych zabaw Japonka myśli tylko o tym, jak zadowolić mężczyznę.

Każdy biznesmen ma w rozkładzie dnia uciechy cielesne. W centrum handlowym, w biurowcu masz i „hotele miłości”, i „salony masażu”. To, że się tam znajdują, jest tak oczywiste jak to, że jest tam bar czy toaleta. Czytałaś „Kamasutrę”? – spytała, wstając po sok.

– Nie. Co to jest?

– Traktat o miłości. Indyjska ścieżka rozkoszy. Przeczytaj koniecznie. To, co w łóżku wyprawiają Japończycy, przekracza twoje wyobrażenia. Powiem ci tylko, że do 1863 r. w dzielnicy Yoshiwara odbywały się publiczne pokazy stosunków kobiet z ogierami.

– Chcesz mi opowiedzieć o kłopotach w swoim małżeństwie? – zapytałam.

– Tylko tak mówiłam. Żyliśmy w konkubinacie. Po dwóch latach on uprawiał seks ze mną, a po chwili z Japonkami. W ciągu dnia potrafił być i w salonie, i w hotelu. Nie zaakceptowałam tego i się rozstaliśmy. Teraz jestem z Anglikiem. Fajny gość. Tylko czasami mam dość tej jego angielskiej flegmatyczności. Szczególnie w łóżku. Niekiedy mam wrażenie, że zabiera się do tego zgodnie z planem. Punkt pierwszy: minuta pocałunków. Punkt drugi: łechtaczka. Punkt trzeci: wejść. Punkt czwarty: wyjść. Czasami dziesięć minut, najczęściej pięć. Raz na dwa tygodnie. Uwierzysz?

– To dlaczego z nim jesteś? – odpowiedziałam pytaniem.

– Samej ciężko wytrzymać. Bardzo go szanuję. Oczyszczony facet. Sport. Wycieczki. Lubi to, co ja. Jest mi z nim dobrze. Seks funduję sobie tu – mówiąc, cały czas uważnie patrzyła, jak zareaguję.

– Twoje życie. Twój wybór. Nie boisz się uprawiać seksu z przelotnymi znajomymi?

Przerażenie w moim głosie sprawiło, że się zaśmiała.

– Bierzesz mnie za nieodpowiedzialną idiotkę? Ja mam dwóch stałych facetów. Obaj żonaci. Kochają żony. Jeden przykładowy tatuś. Przepada za swoimi bliźniaczkami. Nie zamierzają się rozwodzić. Większość facetów ma mentalność Japończyków. Ale nie kocham się bez prezerwatywy.

– Opowiedz mi o Tokio – poprosiłam.

Sporo z tego, co mówiła, słyszałam już od Ewy. Wspomniała, że próbowała w restauracji fugu. Czuła tylko lekkie drętwienie języka i warg. Lipa.

– To dlaczego zdarzają się przypadki śmiertelne? Paraliż mięśni. Ludzie się duszą. Tak czytałam.

– Każdy organizm reaguje inaczej. Ważna jest też dawka trucizny. Można sztucznie podtrzymać oddech i krążenie i czekać, aż organizm wywali truciznę. Biedni czasami kładą amatora wątroby fugu na zewnątrz i też czekają. Niektórzy z tego wychodzą. Najważniejsze, ile się zjadło. Mimo obostrzeń i tak można kupić fugu na targu. Masz kasę, masz towar.

Sporo wypiliśmy. Zrobiło się późno. Chciałam wracać.

– Posiedź, ja nie mam nikogo, z kim mogłabym się naga-dać – poprosiła, a jednocześnie zamówiła kolację do pokoju.

– Miałaś mi wyjawić trzeci powód naszego pierwszego spotkania. Może teraz?

Półmisek z przekąskami ślicznie wyglądał i pachniał. Poczułam głód. Ona też. Zjadłyśmy.

– Dorota, jak ci się układają stosunki z nim?

– Poprawnie. Ja robię swoje. On mi płaci. Obydwie strony są zadowolone. – Zawsze mówiłam prawdę.

– Nie nagabuje cię? – spytała, wyraźnie zaniepokojona.

– Nie. Skąd te przypuszczenia, Gosiu?

– Trzecim powodem była chęć poznania cię. I zdecydowania, czy warto ci powiedzieć. Przestrzec. – Wyraźnie szukała słów.

– Jaśniej, Gosiu. Mów prosto z mostu. Przed czym przestrzec?

– Przed nim. Podejrzewam, że trochę o mnie wiesz. Nie wdzięczna córka opuściła dom. Kochający dom. Ptasięgo mleka jej nie brakowało. – Posmutniała. – Gdy byłam malutka, pytałam matkę: „Dlaczego tatuś śpi z babcią?”. „Jest jej synkiem. Ty też czasami chcesz spać ze mną”, odpowiadała i gładziła mnie po głowie. To mi wystarczało. Później mówiła: „Jestem przeziębiona, nie chcę go zarażać”. „Mamo, dlaczego ojciec nie może spać na kanapie w salonie? W gabinecie?”, pytałam już jako dziewczyna, czując, że to niezbyt normalne. „W salonie by ci przeszkadzał. Przecież skoro świt włączasz telewizor. On wstaje później. Wzajemnie byście sobie przeszkadzali. Gabinet jest cały w książkach, czasopiśmie. Nie da się wyspać w takim bałaganie”. Mama była kobietą żyjącą w swoim świecie. Rośliny, kwiaty, tym mogła się zajmować całymi dniami. Ojciec sprowadzał dla niej palmy. U nas jeszcze nie można było ich kupić. Czytała. Bardzo dużo. To był jej świat. Zorientowałam się, że moje koleżanki nie chcą do mnie przychodzić. Nie będę opowiadać szczegółów. Zapłacił. Sporo. Moim trzem znajomym. Naśmiewały się, że jak facet nie ma co włożyć, to wkłada portfel. Zdałam na studia. Ojciec wyrzucił mnie z domu. Po tym, co zobaczyłam, wchodząc w dzień do pokoju babci. Mama godziła się ze wszystkim. Była zadowolona, że od niej rzadko wymaga obowiązku małżeńskiego.

Prosiłam, już dużo wcześniej, żeby się rozwiodła i wyprowadziła razem ze mną. Nie chciała. Mówiła: „Będziesz dostawała pieniądze. Urządź się. Przed tobą całe życie. Ja zostanę bez niczego. Już wolę, żeby było tak, jak jest”.

Zamilkła. Ja też się nie odzywałam. Wreszcie przerwała ciszę.

– Znienawidziłam matkę. Jego nienawidziłam już wcześniej. Babci nie potrafiłam. Ona była taka kochana. Zajmowała się mną. To jej się wyplakiwałam. Skarżyłam. Chwaliłam. Ona, moja babcia, nie była tą kobietą... jego. Rozumiesz mnie? Wyparłam to. Każde dziecko musi mieć kogoś do kochania. Rozumiesz? – pytała z nadzieją.

Skuliła się na kanapie. Przykryła kocem i zamknęła oczy. Zrobiłam to samo, jednak oczu nie zmrużyłam przez całą noc. Rano Gosia pojechała na lotnisko. Ja do pracy...

Czułam, że zbliża się burza. Atmosfera się zagęszczała. Następowaly wyładowania i grzmoty.

– Dorota, ja ci mówię, on ma jakąś babę – powiedziała rozdygotana pani Maria, połykając krople uspokajające.

– Nie widziałam żadnej kobiety oprócz pani. – Moja stanowcza odpowiedź ani trochę jej nie uspokoiła.

– Ty się nie znasz, dziecko. Ja wyczuję babę na kilometr. Dom pachnie drogimi perfumami. W pokoju świętej pamięci pani Eleonory stoją świeże kwiaty. Dużo alkoholu piją. Drogiego. Szef czerwonego wina nie lubi. Teraz często jest butelka w połowie opróżniona. Dla kogo to?

– Pani Mario, to proste. Kwiaty pan kierownik kupuje dla matki. Perfumy są moje. – Wyjęłam buteleczkę z torebki. – Dostałam od pani Małgorzaty. Proszę sprawdzić zapach.

– Oj, dziecko, kamień spadł mi z serca. – Odetchnęła głę-

boko. – Mnie żadnych nie przywiozła, nigdy – powiedziała z zazdrością.

Wracając do siebie, postanowiłam, że muszę bardziej uczulić swojego „męża”. Trzeba uważać. To babsko może mi zaszkodzić. Wyrzucą mnie z pracy. Wtedy będę zdana tylko na niego. Przed drzwiami, wyjmując klucze, usłyszałam dzwonek komórki. Tej komórki. Upuściłam torebkę. Dzwoniła. Dzwoniła. Czekałam, aż przestanie. Schowałam się do szafy. Do Nieba. „Nie możesz odebrać. Nie wolno ci”, powtarzały głosy w mojej głowie. „Nie mogę”, sylabizowałam w kółko. Nic z tego. „Zobaczę chociaż, czy wyświetlił się numer. I czy to ten podpatrzony, który wrył mi się w pamięć”. Wyjęłam telefon. Ale to nie był ten. „Może ktoś z nich kupił nową kartę? A może podali komuś mój numer?”. Bez sensu. Po co? Ewa? Adam? Melodia dzwonka w zamkniętym pomieszczeniu prawie mnie ogłuszyła. Wyłączyłam dźwięk. Objęłam dłońmi telefon jak monstrancję. I wpatrywałam się weń, szukając odpowiedzi. „Nie odbiorę, przysięgam. Tobie, Dorotko-idiotko, mała Calineczko. I tobie, Doroto, Alicjo z Krainy Czarów. Jeśli się złamię, ukarż mnie, Boże”. Dzwonił mnie więcej co piętnaście minut. Przez całe trzy godziny. W końcu przestał.

Zamknęłam oczy. Koniakowaty stał przede mną. Był bardzo smutny. Wyciągał do mnie rękę, jakby mówił: „Chodź ze mną”. Za nim stała Ewa. Nie widziałam jej postaci. Twarzy. Jednak to była ona. Uśmiechała się i wyszeptała: „Idź”.

Dziękuję, Boże, za podpowiedź. Dzwonił Adam. Ewa odeszła. O drugiej w nocy przyszedł SMS. Nie złamałam przysięgi. Odczytałam: „Muszę się z tobą koniecznie zobaczyć. Napisz, gdzie i o której”. Bez podpisu. Podpis nie był potrzebny...

E-mail nr 6

...*Progne subis*. Słucham właśnie „Bolera” Ravela. Lubisz? Piję pyszną kawę. Z kogłem-mogłem i szczyptą cynamonu. Piłeś? Może nie lubisz słodkości? Ja często się „dosładzam”. Na razie to tylko namiastka. Nie ten czas. Jestem cierpliwa. Czekam. Czynn timerzekam. Mam nową pracę. Znajomy znajomej czuł się zobowiązany. Pomógł. „Ważna szycha” okazała się robakiem w zetknięciu z rzeczywistością. Warunki, płaca, szef w porządku. Reszta w moich rękach. Głowie. Nabytych umiejętnościach. Nie ze szkoły. Tych z samokształcenia.

Rozmawiam z Tobą. Jest mi dobrze. Nawet nie wiesz, ile dobrego robisz swoimi e-mailami. Dodają mi skrzydeł. Uśmiechasz się, myśląc: „Ale patetycznie”. Ja tak to czuję. Jesteś jedyną osobą, która myśli o mnie bezinteresownie. Pamiętasz? Sprawdziłaś, czy znam myśl: „Największym urokiem świata jest urok drugiego człowieka”. Napisałam Ci, że ją znam. Nie dodałam, że w teorii. Ty jesteś moim urokiem drugiego człowieka. Wiem, że mówisz: „Czekam na dalszy ciąg bajki”.

Calineczka już spotkała jaskółkę, pieściła ją, całowała, przytulała, żeby ogrzać ją swoim ciepłem. Wyleczyła jej skrzydełko. Serca nie umiała. Jaskółka poprosiła Calineczkę: „Leć ze mną. Tam, gdzie byłam szczęśliwa. Może przy tobie znów będę, tym razem z tobą”. Bajka mówi: „Calineczka usiadła na grzbiecie jaskółki, nogi oparła na rozpostartych skrzydłach i przywiązała się paskiem do najmocniejszego pióra, a jaskółka poleciała wysoko w powietrze nad lasami i morzem”. Moja Calineczka, przytulona do swojej jaskółki, prosiła: „Powiedz, co zobaczę?” i poddawała się pieszczocie słów: „Albatrosy, lasy bambusowe, kasztany karłowate, cedry liczące dwa tysiące lat, magnolie, drzewa *sakura*, pięknie kwitnące wiśnie, będące symbolem krainy, do której

lecimy”. Wyobrażała sobie to, o czym słyszała: „Tu, popatrz, ten wulkan to Fuji, na wschód rozległa równina Kantō. Na południu, nad Zatoką Tokijską, leży Tokio – cel naszej podróży”.

Calineczkę mocno zabolalo, ale nie zdziwiło, że muszą lecieć do Kraju Wschodzącego Słońca. Już wiedziała, że tylko tam jaskółka może być razem ze swoją miłością. Zrozumiała, że to nie czas, żeby słońce dla niej wzeszło. To czas, by zaszło. Na zawsze. Dla jej przyjaciela, jaskółki. Pamiętała, co mówiło jego Szczęście. Dlatego musiała polecieć z jaskółką do miasta, w którym trudno oddychać. Tam, gdzie zamiast smoka jest smog ziejący trującymi gazami rozproszonymi w kropelkach pary wodnej. Gdzie w ciemnych zakamarkach czai się fugu. *Takifugu rubripes*.

Calineczka wiedziała, jak bardzo jaskółka chce spróbować smaku tej ryby. Postanowiła, że i tym razem będzie dobra. Jednocześnie w modlitwach błagała Najwyższego, by jej w tym przeszkodził.

Rozwinięcie do e-maila nr 6

Siedzieliśmy nad rzeką. Adam bardzo zmizerniał. Miał szarą twarz i podkrążone oczy. Bez wyrazu. Nic w nich nie było. Nawet wtedy, gdy spojrzał przelotnie w moje oczy i powiedział: „Dziękuję, że przyszłaś”. Po dwudziestu minutach wziął mnie za rękę. Ścisnął mocno. Tak jak tej nocy, kiedy opowiadał o ich radości w oczekiwaniu na dziecko. O niewinnie wyglądającej narośli. O diagnozie. Wtedy był pełen złości, buntu, furii. Teraz beznadziejnie spokojny.

– Adamie, mów – poprosiłam, wiedząc, że sam nie znacznie. – Ewa umarła. To chciałeś mi powiedzieć?

Chciałam go sprowokować. Udało się.

– Nie umarła. Odeszła – poprawił mnie.

– Wiedziałaś, że kiedyś nadejdzie ten moment. Przygotowaliśmy się do niego wspólnie – mówiąc, wpijałam paznokcie w jego rękę. Chciałam, żeby poczuł ból. Ożywił się.

– Dorota, ona nie czekała, aż przyjdzie śmierć. Sama odeszła. – Po chwili dodał: – Odeszła i zostawiła mnie.

– Załatwiłeś formalności pogrzebowe?

– Tak.

– Kiedy pogrzeb?

– Trzy miesiące temu.

– Adamie, po co to nasze spotkanie? – spytałam naprawdę zaskoczona.

Myślałam, że chce mnie powiadomić o śmierci żony i terminie pogrzebu.

– W dzień przed śmiercią Ewa powiedziała: „Zadzwoń do Doroty”. Dała mi numer i kopertę dla ciebie.

Widać uznał za naturalne, że znała numer do mnie.

Wyjął portfel, a z niego pociętą kopertę, pogładził ją palcem i podał mi. Spojrzałam na napis: „Doota”. Był nierówny. „D” pochylone, z niedomkniętym brzuskiem. Oba „o” jak połamane kółka. „T” i „a” zjechały w dół. „R” w ogóle nie było.

„Ewuniu, wybrałaś odpowiedni moment”, powiedziałam w myślach.

– Nie przeczytasz? – ponaglał Adam, patrząc na kopertę.

Chciał przeczytać wcześniej, ale zrezygnował. Na pewno próbował to zrobić. Wyraźnie widziałam ślady próby otwarcia.

– Przeczytam później. Sama.

– Dorota – nie oponował – ona miała taki spokojny, błogi uśmiech na twarzy. Myślałem, że śpi. Nie spała – zaczął.

Potem słowa popłynęły strumieniem.

Opowiadał dokładnie, ze szczegółami. Wszystko. Od powrotu z wycieczki. Przeskakiwał z tematu na temat. Wracał do pierwszego spotkania. Tyle czasu milczał. Chciał mówić.

– Dorota, mówią mi, że wszystko, co nas w życiu spotyka, ma sens. Mój sens życia odszedł. Jak mam bez niego żyć?

– Adasiu, nie ma rady, słów, sposobów, balsamów na to, co teraz czujesz. Nic nie pomoże. Nie wstydz się płaczu. Mów. Krzycz. Szepcz i czekaj.

– Dorota, ja jestem ateistą. Nie wierzę w życie po śmierci.

– Wiara jest nieistotna. Ważne, że ona będzie żyła w twoim sercu. Musisz przygotować dla niej wygodne miejsce. Dać jej odpocząć. Ty zaczniesz znów żyć. Dla swojego, ale i jej spokoju.

– Ewa mówiła mi o Tęczowym Moście. Bardzo jej tym pomogłaś. Rozumiałaś ją. Ja nie. – Spuścił głowę, sięgnął po gruby patyk i zaczął go łamać. Metodycznie. Na małe kawałki. – Dorota, a mnie co powiesz?

– Podaruję ci, Adamie, słowa, które są moim drogowskazem. Z Biblii: „Jest czas milczenia i czas mówienia. Czas rozdzierania i czas zszywania. Czas rodzenia i czas umierania”...

Małgosia w rozmowie telefonicznej mówiła, że pani Maria chce wyśledzić kochankę szefa. Zaznaczywszy, że cytuje, powtórzyła jej słowa: „Dorota to takie głupie dziecko. Niczego nie zauważa”.

– Ja znam cię zupełnie inną. Spostrzegawczą. O co chodzi, Dorota? – Czekwała na wyjaśnienie.

Powiedziałam jej, że od czasu do czasu chyba przychodzi jakaś kobieta. Że nie chciałam Marii sprawiać przykrości.

– Jestem pewna, że ją wyśledzi – odpowiedziała. – Choćby miała nocami stać pod bramą.

Nie było mi to na rękę. Potrzebowałam więcej czasu. Dla Adama. Dla Ewy. I dla siebie.

– Pani Mario, mam problem. Potrzebuję więcej wolnych popołudni. Żeby zadbać o mieszkanie kierownika, wystarczy jeden dzień w tygodniu.

– Od dawna mówię, że wystarczy. Szef się niepotrzebnie upiera. W te dni, w które jestem, podleję kwiaty i zetrę kurze. – Bardzo jej się spodobało, że częściej będą mogli zostawać sami.

– Pan kierownik chce mi pomóc finansowo. Miała pani rację, to bardzo dobry człowiek. Mnie też na tych pieniądzach zależy. Ale muszę poświęcić teraz więcej czasu Dorotce. Niedługo koniec roku. Trzeba jej dopilnować.

– Oczywiście, masz rację. Ale przy herbatce myśli się najlepiej.

Rozsiadła się wygodnie w fotelu przy stoliku. Sygnał do podania herbaty. Teraz już zawsze ja ją podawałam.

– Mam. – Wyprostowała się i dumna z siebie powiedziała: – Powiem, że musisz odbyć szkolenie z nowych metod analitycznych. To bardzo ważne dla twojej przyszłości i kierownik nie może cię zatrzymywać z egoistycznych pobudek. W jaki dzień chcesz przychodzić?

– Najlepiej w środy, wymiennie z czwartkami. Siostra ma parę wycieczek ze szkoły i opiekunowie też jeżdżą. Nie mogę stale odmawiać.

– A praca?

– Wycieczki są weekendowe – szybko zastrzegłam. Spodziewałam się tego pytania. – Dlatego zależy mi na wolnych sobotach i niedzielach.

– O pieniądze się nie martw. Powiem, że za urlop też się płaci. Niech uzna, że to dni urlopowe.

Była bardzo zadowolona, słysząc moje podziękowania i słowa podziwu dla jej mądrości. Pan kierownik się zgodził. Z żalem, a jednocześnie z ulgą. Najpierw użyłam kija: „Wyjdzie na jaw nasza tajemnica. I ty, i ja będziemy mieć duże kłopoty. Pani Maria się o to postara. Wtedy będziesz mógł zapomnieć o awansie”. Potem podsunęłam marchewkę: „Nasze noce będą jeszcze wspanialsze. Będę stęskniona za swoim mężem i panem”...

Każdą wolną chwilę spędzałam z Adamem. Najpierw spacer, kawiarnie, restauracje. On mówił. O Ewie. Ja słuchałam. Rozumiałam. Pocieszałam. Przyszedł czas na spotkanie u niego w domu. Wszędzie porozstawiał jej zdjęcia. Samej. Wspólne. Tego dnia wrócił z delegacji. Nalał mi kieliszek wina, a sam poszedł pod prysznic. W tym czasie otworzyłam drzwi do ich sypialni. Szlafrok i koszula Ewy leżały na kołdrze. W szafie wisiały jej ubrania. Na szafce nocnej zobaczyłam jej kosmetyki, lusterko, balsam do ust. Nawet grzebień. „Ewuniu. Pamiętasz, jak powiedziałaś: »Może trójką?«. Ja nie chcę Adama. Twojego. Ja chcę mojego koniakowego. Postaram się. Tak jak chciałaś”. Wróciłam do pokoju i siedząc na kanapie, czekałam na niego.

W kopercie, którą dał mi Adam, był list od Ewy. Musiała go napisać dużo wcześniej. Kiedy mózg jeszcze normalnie funkcjonował. Pismo było równe: „Niedługo udam się na poszukiwanie Wielkiego Być Może. Dorota, dziękuję. Pamiętaj: najcenniejszy prezent, jaki w życiu dostałam, to Twoja dobroć. Adam się z Tobą skontaktuje. Po to dałam Ci komórkę. Ty jesteś samotna, wiem, że go pokochałaś. Jemu potrzeba czasu i Twojej dobroci. Zrób wszystko, żeby po-

móc Wam obojgu. Pamiętaj. Miłość to samotność, która łączy najbliższych”.

Tyle powiedziałam Adamowi, kiedy wreszcie zapytał, co napisała Ewa. Ostatnie zdanie przemilczałam. Było adresowane tylko do mnie.

– Od razu mi lepiej. Dorota, zobacz, czy jest coś w lodówce. Jestem bardzo głodny. A ty?

Adam wszedł przepasany ręcznikiem, z kropelkami wody na ciele i mokrą czupryną. Boso.

– Lodówka pusta. Zamawiać pizzę? – spytałam, przy okazji wyrzucając spleśniałe kawałki sera i suchej na wiór kiełbasy. Opróżniłam też karton z zepsutym mlekiem.

– Zamawiaj, co chcesz, byle szybko. – Spojrzał na mnie.
– Jestem tak głodny, że zjem ciebie.

Pierwszy raz zażartował. Podtekst dało się zauważyć nie tylko w słowach. Pod ręcznikiem też. Siedzieliśmy najedzeni. Piliśmy koniak. Powtórzyłam mu słowa Ewy.

– Spodziewałem się. Po przyjeździe z wycieczki czuła się coraz słabsza. W zasadzie już tylko leżała. Wieczorami, podczas naszych rozmów, zawsze mówiła o tobie: „Los nam zesłał Dorotę. Postawił na naszej drodze, żebyśmy przestała się bać najgorszego. Gdy odejdę, musisz się z nią spotkać. Wiem, głuptasie, że bardzo ci się podoba. Polubiliście się. Dorota ci pomoże. Dla ciebie i dla mnie”.

Wstał, otworzył stojącą w rogu szafeczkę. Była pełna butelek.

– Czego się napijemy? Suszy mnie. Wino, whisky, wódka? – Pochylony czekał na odpowiedź.

– Koniak to za mało? – zapytałam, ale od razu dodałam:
– Poproszę to, co ty. W procenty masz czas się zabezpieczyć, w nic innego nie?

W kuchni nie było brudnych talerzy, sztućców. W szafkach nic do jedzenia, nawet jednej awaryjnej puszki.

– Nie zrzędź, bo nie będę cię lubił. – Nalewając wino, uśmiechnął się i puścił do mnie oczko.

Cieszyłam się. Czas robi swoje. Adam wygląda już dużo lepiej. Ma jeszcze cienie pod oczami. Ale już chodzi wyprostowany. Znow zaczął ćwiczyć. Na jego twarzy pojawia się uśmiech. Chodzimy do kina, do teatru. Godzinami dyskutujemy na różne tematy. Reaguje na żarty, sam próbuje żartować. Zawsze towarzyszy nam Ewa: „Ewie by się to podobało. Ewa lubiła. Z Ewą tu byłem”.

Zrobiłam pierwszy krok. Postawiłam ultimatum. Więcej nie chodzimy w ślad za ich wspólnym życiem. Mówimy o Ewie w miejscach jej nieznanach. Odkrywanych przez nas. Zamawia to, co lubi, nie to, co ona by zamówiła. Ewa ma stałe miejsce w jego sercu. W moim też. Jednak ona – to wczoraj. Musi próbować żyć tym co dziś. Któreś jutro da szansę na nowe życie. Zgodził się ze mną, dodając: „Tylko z tobą, Dorota, może mi się to udać. Ewa o tym wiedziała. Ty też to wiesz. I ja wiem”.

Jego słowa dawały mi wiarę, że plan Ewy może się powieść. Wiedziałam, że na życie w trójkącie się nie zgodzę. Chciałam, żeby pokochał mnie. Nie Adam Ewy, tylko mój koniakowaty. Zrobiło się późno. Wypił bardzo dużo. Siedział w samych spodniach. Patrzyłam na jego klatkę piersiową, muskuły i marzyłam o dniu, w którym będziemy się kochać. Tak naprawdę. Podszedł do mnie. Uniósł moją głowę tak, żebym widziała jego oczy.

– Dorota, kochaj się ze mną. Bardzo tego potrzebuję.
– Mówiąc to, odwrócił się w kierunku najbliższego zdjęcia Ewy.

– Nie, Adamie. To fizjologia. Możesz się rozładować inaczej. – Zabolalo.

– Dorota, to nie tak. Ja chcę cię pieścić. Całować. Ty nie zapomniałaś? Masz do mnie żal za tamto? – dopytywał, siadając obok mnie.

– Nie mam żalu. Nie zapomniałam. Byłam szczęśliwa, było mi dobrze, też chciałam.

Mówiąc to, dodałam w myślach: „Kochany, to była tylko miesięczka, błonę przerwał już ktoś inny. Nieważny. Dla mnie ty byłeś pierwszy. Ty mnie pozbawiłeś dziewictwa”.

Zdałam sobie sprawę, że nadszedł moment na drugi krok.

– Adamie, pragnę się z tobą kochać. U mnie nie będziemy swobodni. W hotelu nie chcę. Gdy będziesz gotowy, schowaj zdjęcia Ewy z tego pokoju. Jej drobiazgi. Zmień tę kanapę i pościel. Pozwól Ewie odejść. Wpuść do swojego życia mnie. Wtedy możemy się kochać, kiedy chcesz, jak chcesz i jak długo będziesz chciał. Przemyśl to. I zadzwoń. Teraz zamów mi taksówkę. Jadę do domu...

Mój „kurs” się skończył. Musiałam wrócić do pracy u pana kierownika. Miałam mniej czasu dla Adama. Udało mi się go namówić na powrót do wspinaczek. Na razie choć tyle. Nie chciałam, żeby miał za dużo czasu wolnego. Spędzał go z Ewą.

Coraz trudniej było mi być żoną. Musiałam pomyśleć o nowej pracy. Rezygnując z roli żony, będę musiała odejść z laboratorium.

Małgosia tym razem przyjechała tylko na trzy dni. Adam był w delegacji. Znów pokój w hotelu. Picie i gadanie, plotkowanie, trajkotanie. Zaśmiewaliśmy się do łez.

– Dorota, mam dla ciebie superprezent. Pamiętaj. Musi ci się spodobać. Nawet jeśli nie przypadnie ci do gustu. Otwieraj i podziwiaj. Dziękować nie musisz.

Była ciekawa mojej reakcji.

– Jaka śliczna latarnia. Oczywiście, że mi się podoba. Nawet mam dla niej odpowiednie miejsce.

Pocałowałam Gosię, nie dziękując.

– Bardziej ci się spodoba, gdy ci powiem, z czego jest zrobiona. – Najwyraźniej się ze mnie nabijała.

– Z czego? Mów.

– Pamiętajsz, co cię najbardziej zafascynowało, gdy opowiadałam o Japonii? – Odwlekała odpowiedź.

– Wszystko mnie interesowało. – Nie miałam pojęcia, co ma na myśli. – Mów wreszcie – ponaglałam.

– To jest lampa, którą można zobaczyć i kupić przed restauracjami serwującymi dania z fugu. – Zawiesiła głos. – Teraz najlepsze: ta lampa jest z ciała fugu – dodała, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Jak to? Z ryby? – zapytałam, jednocześnie dokładnie przyglądając się lampie.

– Robi się z niej m.in. zabawki dla dzieci, pamiątki. Skórę fugu wykorzystuje się na portfele, wodoodporne pudełka.

– Gosiu, jak to jest? Jadę do Japonii. Idę na targ. Mam dużo pieniędzy i chcę kupić fugu. Sprzedadzą mi?

– Masz ochotę na fugu spoza oficjalnego obiegu? Zważywaś?

– Uspokój się. Znam lepszy, szybszy i bezbolesny sposób na zejście z tego świata. Pytam z ciekawości. Mówiłaś, że wystarczy gruby portfel – dociekałam.

– Najlepszy sposób to poprosić o pomoc zaprzyjaźnio-

nego Japończyka. Dajesz mu pieniądze, on kupuje. Przyjezdnym jest trudniej. Szczególnie Europejczykom. Ci najczęściej zabierają ze sobą kartkę z napisem po japońsku. Coś w stylu: „Moja wątroba chce wątroby”, trudno to przetłumaczyć. I kwotą. Wysoką. Większość ryb odławia się wiosną, podczas sezonu składania ikry. Hoduje się je w pływających klatkach na Pacyfiku. Ceny rosną jesienią, a najwyższe są zimą. O tej porze roku fugu tyją dla ochrony przed zimnem. Ile jeszcze mam o tym mówić? – Zniecierpliwiona, wypita duszkiem kieliszek wina.

– Wywołałaś tę rozmowę lampą, a teraz się boczysz. Powiedz lepiej, dlaczego masz nowy numer? – spytałam, zmieniając temat.

– Przez Marię. Dzwoni do mnie codziennie. Ona sobie ubzdurała, że mnie z nim pogodzi, a on, z wdzięczności, będzie z nią. Musi tylko wysledzić jego kochanicę. Teraz już się nie dodzwoni – powiedziała z westchnieniem ulgi.

– Gosiu, ona bacznie mnie obserwuje, zmieniła się. Przestała zapraszać do siebie na herbatę i pogaduchy. Po moim powrocie z kursu chciała, żebym przestała do niego przychodzić. Zaproponowała mu, że sama się wszystkim zajmie. Nie zgodził się i prawie wyrzucił ją z domu. Od tej pory czuję wokół siebie dziwną atmosferę. Dziewczyny szepczą. Koniecznie muszę zmienić pracę i przestać go widywać.

Pilnowałam się, żeby nie powiedzieć słowa za dużo.

– Dorota, dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? Tyle razy do ciebie dzwoniłam. Nawet nie napomknęłaś. Mój znajomy jest dyrektorem kadr w akademii. Nieciekawa postać. Farbowany lis. Znajdzie dla ciebie pracę. Czeka, która jest? Dzwonię od razu.

Czekała na połączenie, numer był zajęty. Znów wybrała i mówiła, żądając. W zasadzie wydawała polecenia: „Jak najszybciej. Dobre warunki”. Skończyła słowami: „Jutro dasz mi konkretną propozycję” i się rozłączyła.

– Gosia! Co ty zrobiłaś, że masz taki posłuch u tego znajomego?

Wyraźnie miała nad nim władzę.

– Potajemnie nagrałam nasze igraszki – poinformowała mnie takim tonem, jakby jej zachowanie było zupełnie zwyczajne. – Zorientowałam się, że to padalec. Wyznaje zasadę: „Kali ukraść to dobry uczynek, Kalemu ukraść – zły”. Mógłby mi zaszkodzić. Zna ludzi z ambasady w Japonii, w której pracuję. Cholernie boi się żony. Wżenił się w bogatą rodzinę. Zrywając z nim, powiedziałam, że ma trzymać gębę na kłódkę. Nie spaliśmy ze sobą. Nie rozmawia z nikim na mój temat. Znamy się przelotnie, ze spotkań służbowych. Pokazałam taśmę i zagroziłam, że kopię wyślę żonie. Był dwa razy w Japonii. Wolne chwile spędzał w hotelach i salonach, o których ci opowiadałam. Prosił, żebym go zaprowadziła tam, gdzie na pewno się niczym nie zarazi. Idiota. Pewności nie ma się nigdy. Jutro do ciebie zadzwonię. Ty załatwiasz z Marią, żeby cię puścili za porozumieniem stron – dodała, sugerując, że sprawę mogę uważać za załatwioną.

Jej pewność promieniowała na mnie. Przestałam myśleć o pracy. Przeglądałyśmy żurnale i wybierałyśmy stroje dla siebie. Sprawdzałyśmy, czy mamy podobny gust. W większości przypadków tak. Kostiumy kąpielowe. Jej podobaly się te, na których uszycie zużyto jak najmniej materiału. Do jej kształtów pasowały. Na mnie wyglądałyby komicznie. Poczułam silny ból brzucha. Krzyża. Skuliłam się.

– Gosiu, zamów taksówkę, żeby podjechała za pół godziny – poprosiłam, popijając dwie tabletki przeciwbólowe wodą.

– Może wezwać pogotowie? Co się stało?

– Okres. Zawsze tak się u mnie zaczyna – uspokajałam, zwijając się jeszcze bardziej w kłębek. – Zaraz będzie lepiej. Za około pół godzinki.

Gosia patrzyła na zegarek, na mnie, znów na zegarek, chcąc pospieszyć czas.

– Jest taksówka – powiedziała, wyglądając przez okno. Narzuciła żakiet. Zabrała lampę i zaprowadziła mnie do auta. Wsiadłam. Jeszcze bolało. Zanim się zorientowałam, już sadowiła się obok kierowcy.

– Dorota, adres – rzuciła w moją stronę. – Proszęjechać ostrożnie, nie trząść, nie hamować gwałtownie, nie przyspieszać – wydawała polecenia. – Koleżanka ma atak. Każdy wstrząs wywołuje nasilenie bólu. – Jej ton stawał się coraz łagodniejszy. Po chwili był już słodki. – Taki mężczyzna jak pan nie pozwoli cierpieć kobiecie, widać to w pana oczach.

W lusterku widziałam jego wyraz twarzy. Zdumienie, potem wściekłość zmieniającą się w obawę, że ma do czynienia z wariatką.

– To moja przyjaciółka. Bardzo się martwię, żeby nie cierpiała. Przepraszam, jeśli pana uraziłam. Pan to na pewno rozumie.

Zrozumiał. Bystry chłop. Pewnie jeszcze długo patrzyliby sobie w oczy, gdyby nie moje stęknięcie:

– Jedźmy wreszcie.

Byłam otumaniona. Sporo wypłam. Alkohol plus dwie tabletki przeciwbólowe...

– Poczeka pan na mnie. Odprowadzę przyjaciółkę. Położę. I odwiezie mnie pan z powrotem.

– Nie mogę. Za piętnaście minut mam być u klienta.

– Płacę według licznika i drugie tyle dla pana – zaofiarowała, biorąc mnie pod rękę.

– Czekam, proszę się nie śpieszyć. – Usłyszałam głos kierowcy.

Ból jakby się zmniejszył.

– Gosiu, jedź. Lepiej się czuję. Dam sobie radę. Naprawdę. Jedź, proszę.

Próbowałam jeszcze coś dodać, choć z góry wiedziałam, że i tak zrobi po swojemu.

Otworzyłam drzwi. Zapaliłam światło.

– Gosiu, nie będę cię zatrzymywać.

W myślach prosiłam: „Idź, idź już. Nie chcę cię tutaj”.

– Nie ma mowy. Przy okazji zobaczę, jak mieszkasz. Zrobię herbatę, ty włącz do łóżka. Widzę, że jest pościelone. Zmykaj – zarządziła, idąc do kuchni, bardzo z siebie zadowolona. Przyniosła mi szklankę z parującym napojem. – Mówiłaś, że masz mało gratów. Rzeczywiście, tylko kanapa i stół. Taki duży i tyle krzesel? Tu się już nic nie zmieści. Zamierzasz robić przyjęcia? Zresztą nie moja sprawa. Gdzie łazienka? Wysikam się.

– Wyjdź z pokoju do drugiego przedpokoju. Drzwi na prawo – wytłumaczyłam, przyjmując najwygodniejszą pozycję na łóżku.

– Dorota, rozejrzę się, nie masz chyba nic przeciwko – mówiąc to, już naciskała klamkę. – O mój Boże! – krzyknęła, niedowierzając, czy to, co widzi, jest prawdziwe. – O Boże! – Przynajmniej już ciszej. Stała osłupiała. – Dorota, u ciebie kręcą jakiś film? – Szukała logicznego wytłumaczenia.

Nic nie mówiłam. Czekałam, aż ochłonie. Dawka emocji była duża. To moje mieszkanie. Mam prawo urządzać je, jak chcę.

Po chwili zmieniła ton:

- O Jezus. O Matko Boska. To jest scenografia z filmów Bollywood – stwierdziła, podchodząc do mnie z miną, która wskazywała, że nie jest pewna, czy to jawa, czy sen.
- Pewnie jesteś ich fanką.

Była wyraźnie zadowolona, że znalazła racjonalne wytłumaczenie.

- Masz rację. Jestem. Powód jest prosty. Ze względu na brak pieniędzy skupiałam się na najpotrzebniejszych rzeczach. Ciuchy, buty, walizki trzymam w małym pokoiku, więc nie potrzebuję szafy.

Zawróciła, otworzyła drzwi, zapaliła światło. Przyjrzała się dokładnie. Weszła do środka. I podeszła do mnie.

- Świetnie to obmyśliłaś. Chyba zrobię tak u siebie. Garderoba z oknem. Możesz wietrzyć. Spuszczane dwupoziomowe drążki i rozsuwane wieszaki na ścianie. Masz tu swobodniejszy dostęp do ciuchów niż ja w swojej garderobie, choć jest dwa razy większa. Tylko długa kicha, bez okna. Piękne lustro. I od razu możesz przeprasować to, co chcesz założyć. Bardzo mi się podoba. Zauważyłam w przedpokoju jeszcze jedne drzwi. Co tam jest?

- To moja graciarnia, odkurzacz, taboret, kubły, drabina – wyliczałam, myśląc: „Raj zobaczyłaś. Od Nieba wara”.
- Wszystko kolanem upchnięte. Nie otwieraj. Wyleci ci na głowę i narobi hałasu. Sąsiadów pobudzisz.
- Nie mam zamiaru. Opowiedz mi lepiej o tamtym pokoju.
- Gosia, kierowca czeka już pół godziny. Innym razem.
- Niech poczeka. Słyszałaś, jak mówił, żebym się nie

spieszyła. – Śmiejąc się, mrugnęła okiem. – Widzę przecież, że już cię tak nie boli. Mów. – Rozsiadła się wygodnie.

– Tamten pokój stał pusty. Ja nigdzie nie wyjeżdżałam. Weekendy też spędzałam w domu. Ta strona jest nasłoneczniona. Rozkładałam koc, kładłam się i opalałam. Od twojej babci dostałam palmy, tuję i rododendron. Resztę wyhodowałam z odnózek lub kupiłam na targu. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Ja nie mogę do świata, świat przyjdzie do mnie. Ot, cała tajemnica. – Dopijałam herbatę. Wstałam. – Gocha, zaczekaj chwilę.

Poszłam do Raju. Zapaliłam kulę solną. Jej światło zawsze mnie uspokajało. Zgasiłam jeden z kinkietów. Drugi przytłumiłam i skierowałam tak, żeby na plażę padał cień liści daktylowca. Włączyłam wiatraczek, który leciutko poruszał liśćmi. Jeszcze szum morza z taśmy. Przyjrzałam się. Gosi kazałam zdjąć buty i zamknąć oczy. Wprowadziłam ją za rękę. Posadziłam tak, żeby czuła zapach cyprysika.

– Wsłuchaj się, wczuj, uwolnij wyobraźnię i dopiero wtedy otwórz oczy – powiedziałam szeptem, sama siadając tak, żeby móc ją obserwować.

Słuchała, wahała, po pięciu minutach otworzyła oczy i nic nie mówiła. Patrzyła długo w światło lampy, potem w cienie tańczące na piasku. Mocno odetchnęła i wyszeptała:

– Ja się stąd nie ruszam.

Siedziała wpatrzona w muszelki na piasku i cienie liści w świetle lampy. Po pół godzinie siłą wyciągałam ją z pokoju.

– Dorota, powinnaś nazwać ten pokój Rajem. – Była oczarowana. – Tu można odpocząć, wyłączyć się. Marzyć. Tu można wszystko. – Jeszcze raz spojrzała. – Dorota, to

jest kicz, sama o tym wiesz – powiedziała serdecznie i dodała: – Najpiękniejszy kicz, jaki kiedykolwiek widziałam...

Miałam dwa tygodnie na rozwiązanie umowy o pracę, ale wiedziałam, kto mi pomoże. Pani Maria będzie szczęśliwa, że nie będę już widywać pana kierownika. Zrobiłaby wszystko, żebym jak najszybciej zniknęła mu z oczu. Kąśliwe uwagi dziewczyn już słyszałam. Głuchy telefon działał, to jej sprawka.

Dla „męża” rozwód był nie do przyjęcia. Argument, że staliśmy się tematem numer jeden wszystkich rozmów, też go nie przekonał. Uświadomiłam mu, że jeśli zostanie, może zapomnieć o upragnionym awansie. Podparłam się matką. To zawsze działało. „Twoja matka tak by się cieszyła. Chciała być z ciebie dumna. Patrzy na ciebie z góry i dziwi się, że chcesz zaprzepaścić taką szansę”. Widząc, że pociera ręką policzek, zaczyna gładzić podbródek, jest bliższy podjęcia decyzji, dodałam: „To nie rozwód, to chwilowa separacja”. Zgodził się. Pocałował mnie w jedną i w drugą rękę. Pomyślałam: „Dorota, dużo tracisz” i szybko dodałam: „Może więcej zyskam – ja”.

Adam się ucieszył. Będę miała więcej czasu. Nigdy nie dopytywał, gdzie dorabiam popołudniami. Raz zapytał, gdzie mieszkam. Nie chciałam powiedzieć. Szybko się wycofał: „Ty decydujesz, co chcesz o sobie mówić. Masz prawo do tajemnic. Nie będę o nic pytał. Tylko bądź przy mnie”.

Pragnęłam być nie przy nim, tylko z nim i w nim. W jego wnętrzu. W końcu wyrzucić stamtąd Ewę.

Trzy tygodnie czekałam na jego telefon. Sprawdziałam, czy nie rozładowała się bateria w komórce. Zadzwonił:

„Dorota, proszę, przyjeźdź. Ewa wyszła”, z trudem wymawiał te słowa i dodał: „Z pokoju”.

Jadąc do niego, byłam spokojna. Potrzebuje więcej czasu. Ewa na ostateczne odejście też. Musi dopilnować, czy spełnię jej prośbę. Adamowi ma być dobrze. Ja, krok po kroku, realizuję jej plan. Marząc o koniakowatym.

– Jak dobrze, że jesteś. – Stał w otwartych drzwiach. – Wchodź, pokażę ci. – Wciągnął mnie za rękę wprost do pokoju. – Tak chciałaś? – zapytał z nadzieją, że docenię to, co zrobił.

Wiedziałam, że nie chodzi o to, co zobaczę, tylko czego już tam nie ma.

– Adam, cieszę się. Mam nadzieję, że to będzie początek. – Pocałowałam go w policzek, przytuliłam i całując w ucho, wyszeptałam: – Naszego życia.

Zrekompensował mi ten pierwszy raz z nawiązką. W pokoju nie było Ewy. Ściany odmalowane. Nowe meble. Lampy, kinkiety. Całkowicie inny styl. Telewizor też nowy. Nawet wazon, w których stały róże i tulipany (pamiętał). W łazience nadal wisiał jej szlafrok. Szczoteczka do zębów też była na swoim miejscu. „Nie możesz mieć pretensji”, tłumaczyła mi Dorota. „Mówiłaś o pokoju”. Spotykaliśmy się codziennie. Kochaliśmy parę razy dziennie.

Zrobiłam trzeci krok. Pomogłam Ewie wyjść z kuchni, z łazienki i z przedpokoju. Zostały ich gabinety i sypialnia. Z sypialnią będzie najtrudniej. Tam jest garderoba. W niej rzeczy Ewy. Wszystkie, co do szmatki i klipsika. Muszę być cierpliwa.

Rozmawiamy o niej. Poznaje jej dzieciństwo, czas, który spędziła w domu dziecka, ich zafascynowanie sobą od pierwszego wejrzenia. Adam zgodził się, żeby

te rozmowy prowadzić poza domem. Ewę zostawialiśmy za drzwiami.

Czasami wślizgiwała się szparą. Wtedy pozwalałam Adamowi pobyc z nią w sypialni. Czasami całą noc, którą spędzałam bezsennie. Słyszałam, co do niej mówi: „Ewo, próbuję, tak jak obiecałem. Jest mi trudno, pomóż mi. Chyba zaczynam kochać Dorotę. Tylko nadal nie widzę sensu życia”. W uszach dzwoniły mi jego słowa, ból wywoływał jego szloch.

Ja nie płakałam, ja się modliłam: „Boże, ty przez cierpienie prowadzisz nas do nawrócenia, bez którego groziłoby nam coś znacznie gorszego – wieczne piekło. Nie nawracaj mnie. Parę lat z koniakowatym jest warte piekła”. Nie słuchałam Doroty, przypominającej w kółko: „Miłość jest pragnieniem czynienia dobra dla innych...”.

W dniu, w którym powiedziałam Adamowi, że zmieniam pracę i będę sekretarką w akademii, zapisał mnie (miał znajomego wykładowcę) na tygodniowy kurs dla sekretarek. Tematykę znałam z samokształcenia. Bardzo przydało się odgrywanie różnych sytuacji. Nauczyło mnie autentyczności. Poczułam się pewniej. Wiedziałam, jak ważne jest pierwsze wrażenie. Na kursie poznałam pojęcie efektu aureoli, czyli wywarcia na odbiorcy korzystnego wrażenia. Przeciwnieństwem jest efekt rogów – wizerunek bardzo trudny do naprawienia. Tematy fascynujące: „rozpoznawanie charakteru rozmówcy”, „dostosowanie strategii bezpośredniej komunikacji do rozmówcy”, „kierowanie wrażeniem wywieranym na innych”, „obrona przed manipulacją i krytyką”. Ostatni wykład był bardzo interesujący: „Skuteczność działania w sytuacjach trud-

nych, stresujących i pod presją czasu”. Całe życie działałam w takich sytuacjach. Praktykę mam, brakowało mi teorii. Ten kurs powinien nosić nazwę: „ABC manipulacji”. I być tylko dla wybranych. Uczyłam się pilnie nie tylko całe ranki (jak Murzynek Bambo), lecz także całe wieczory i noce. Zawsze zgłaszałam się do odgrywania scen zaaranżowanych przez wykładowców. Ćwiczyłam i byłam coraz pewniejsza siebie. Nie zapominając oczywiście, że pycha jest grzechem...

Już pierwszego dnia w mojej nowej pracy wykorzystałam wiele informacji z kursu.

– Pani Krystyno – zaczął dyrektor kadr – to pani nowa podopieczna. Została zatrudniona jako sekretarka wiceprezesa. Od dziś zaczyna. Proszę się nią zająć i przeszkolić, bo nigdy nie pracowała na takim stanowisku, a odpowiedniego wykształcenia też nie ma – mówiąc to, obcałowywał jej rękę.

– Dlaczego nic o tym nie wiedziałam? Zawsze jestem obecna przy wyborze nowej sekretarki. Były cztery kandydatki. Przeglądałam CV, listy motywacyjne – karciała dyrektora jak uczniaka. – Jak się pani nazywa? – Pytaniu towarzyszyło lustrujące spojrzenie.

Punkt dla mnie. Zdążyłam zauważyć, że ani mojego stroju, ani urody, a tym bardziej sylwetki, nie oceniła wysoko. Na jej twarzy pojawił się spokojny, tolerancyjny uśmiech. Wypięła pierś (czym mnie zaskoczyła, myślałam, że już bardziej się nie da), poprawiła opadające, niesforne ułożone blond loki i czekała na odpowiedź. Była naprawdę śliczna. Kolor jej włosów przypominał promienie słońca. Świetnie wymodelowana fryzura (na pewno zapytam o fryzjera, musi być mistrzem), rozjaśniający podkład na

twarży łagodził dość ostre rysy. Markowe ciuchy, buty i torebkę dostrzegłam, zanim dyrektor zdążył wyartykułować swoją kwestię.

– Dorota Cichocka – odpowiedziałam pewnym głosem, patrząc jej w oczy. Mój wzrok był przepelniony niekłamanym zachwytem (dzięki Ci, Boże, za Twoją dobroć, jest naprawdę śliczna) i na tym samym wdechu powiedziałam: – Mam nadzieję, że tylko pani jest taka piękna, bo jeżeli większość pracujących tu sekretarek chociaż w kilku procentach dorównuje pani urodą, dla mnie nie ma tu miejsca.

Roześmiała się, pokazując równiutkie, białe ząbki (oho, ma dużo kasy, stać ją chyba na wszystko).

– Nie, nie, proszę się nie martwić. Ja tylko nie przywykłam do przyprowadzania mi pracownic bez uprzedzenia. To już wyjaśnimy sobie same. – Zwróciła się do dyrektora: – Pan, panie dyrektorze, może już wracać. Zajmę się panią Dorotą. Z tego, co wiem, to dziś wiceprezesa nie ma. Wraca jutro po południu. Do tego czasu zapoznam Dorotę (spojrzała na mnie, czekając na potwierdzający uśmiech, iż może mi mówić po imieniu) z jej obowiązkami.

Jeszcze dwa pocałunki dyrektora w rękę pani Krystyny, kiwnięcie mi głową i zostałyśmy same. Zdawałam sobie sprawę, że muszę kuć żelazo, póki gorące, żeby zaskarbić sobie przychylność królowej. Niepodzielnie sprawowała tu władzę. Szybciutko odnotowałam to na przygotowanej w głowie liście z tytułem „Krystyna”. Pierwsza po Bogu, czyli prezesie. Za zwrócenie się do mnie po imieniu dodałam sobie pół punktu. Spokojnie parłam do przodu. Dojdę do pięciu, będzie moja.

– Pani Krystyno, jeśli poświęci mi pani chwilę uwagi, powiem szczerze, skąd i dlaczego się tu znalazłam. W dodatku

tak niespodziewanie. Nie czuję się winna za to zamieszanie, mimo to przepraszam i spróbuję wszystko szczerze wytłumaczyć.

– Mam nadzieję. Nie ukrywam, nie lubię być zaskakiwana. Wszystkie pracujące tu panie wiedzą, że mam być informowana o wszystkim i wszystkich. Jestem sekretarką prezesa. Przeżyłam już dwóch i parę zmian wśród sekretarek. – Spojrzała na mnie, czy aby na pewno właściwie rozumiem sens tych słów. – Napijemy się herbaty. – Sięgnęła po słuchawkę.

Nie spytała, czego chciałabym się napić. Odnotowałam w myśli, że wybór napoju też należy do niej.

– Powiedz mi więc, jak się tu znalazłaś? – Naprężyła się jak struna. Dla zachowania równowagi ja się skurczyłam. Trzymając słuchawkę, naciskała jeden z guziczków z coraz większą niecierpliwością. – Pani Heleno, dwie herbaty do gabinetu prezesa. Nie, nie za pięć minut. Teraz.

Odłożyła słuchawkę i wyczekująco patrzyła na drzwi. Spojrzałam na zegar wiszący na ścianie. Minęły trzy minuty i do sekretariatu weszła kobieta niosąca tacę z herbatą. W pośpiechu postawiła filiżanki na stole i obrzucając mnie wściekłym spojrzeniem (muszę się dowiedzieć, dlaczego mnie, a nie ją), szybko wyszła. Po triumfującej minie pani Krystyny widziałam, że spostrzegła moje zerkanie na zegar i zaskoczenie szybkością wykonania polecenia. Muszę się bardziej pilnować. To babsko jest wredne, ale spostrzegawcze.

– Pani Krystyno – zaczęłam spokojnym, równym tonem – powiem krótko, mając nadzieję, że nasza rozmowa zostanie między nami. Nigdy nie pracowałam w żadnym biurze. Z wykształcenia jestem chemikiem i moje dotychczasowe

miejsce pracy to laboratorium. Za pióro – pipeta. Za telefony i faksy – spektrofotometry i pehametry (kolejny punkt, nie bardzo rozumiała, brzmiało naukowo i podnosiło moją pozycję). Analiza, ale nie dokumentów, lecz efektów chromatografii cienkowarstwowej. Niestety odczynniki chemiczne, eter, toluen, kwasy (przy eterze pokiwała ze zrozumieniem, to słowo było jej znane) i ich opary są bardzo szkodliwe. Lekarz ze względu na stan mojego gardła nakazał mi rzucenie palenia i zmianę pracy. Pracę rzuciłam, palenia nie.

Wzięłam łyk herbaty, zaskoczona wspaniałym smakiem i aromatem. Dawno tak dobrej nie piłam. Szkoda, że filiżanki były takie małe.

– No tak, rozumiem. Pani Doroto, to nie wyjaśnia, skąd wzięła się pani u nas, i to w sekretariacie wiceprezesa, a nie w dziale administracyjnym.

Znów byłam panią. Półtora punktu za wzbudzenie uznania. Wolno dopiłam herbatę, patrząc jej prosto w oczy. Starłam się wpłynąć na jej tok myślenia. „Teraz spostrzegasz, że mimo wszystko czuję się pewnie. Muszą być jakieś powody. Nie widzisz u mnie stremowania, załęknięcia, niepewności. Zaczynasz się niepokoić, nie wiesz, co się za tym kryje. A tym bardziej kto. Odwróć wzrok. Ja wytrzymam długo. Lata treningu, a ty już mru-gasz, zaraz zaszklą ci się oczy. Odwróć. Odwróć”. Spuściła wzrok, szukając chusteczki. „Teraz już pójdzie jak po ma-śle”, pomyślałam, dodałam kolejny punkt i cicho, lecz wyraźnie powiedziałam:

– Wiceprezes przyjmował panią do pracy. Od niego wiem wiele o pani. Dobrego, oczywiście. Wiem również, że jest pani zaufaną osobą i musi wiedzieć o wielu pry-

watnych sprawach swoich szefów. Dlatego i ja obdarzę panią takim zaufaniem. Jestem tu na wyraźne polecenie wiceprezesa i samego prezesa. Znają się dobrze z moim znajomym. Ich życzeniem było, bym pani o tym nie mówiła. Myślę, że lepiej postawić sprawę jasno. Prezesi prezesami, a my, kobiety, musimy trzymać się razem. Pani jest tu najważniejsza, ja się dostosuję. Zgoda? – Wstałam, zdecydowanie wyciągając rękę w jej kierunku.

Podawała mi swoją ze słowami:

– Mówmy sobie po imieniu. Krystyna, dla ciebie Krycha. Mam nadzieję, że pomożesz mi w utrzymaniu dyscypliny.

Roześmiałyśmy się. Uznałam, że było to warte półtora punktu, co oznacza, że zdobyłam komplet. To, że osobiście nie znam ani prezesa, ani jego zastępcy, ma małe znaczenie. Zanim ona się zorientuje, zdążę już ich poznać bardzo dobrze. Gocha zabiera mnie w piątek na weekendową imprezę. Oficjalnie zwaną zjazdem naukowym. Będą obaj prezesi i dyrektor (gnida, to już wiedziałam od Gośki. Ale że płaszczy się przed sekretarką, tego się nie spodziewałam). Pracę zaczynam od poniedziałku...

Pracowało się coraz lepiej. Dwudniowy zjazd procentowo-ogniskowo-taneczny przyniósł założone efekty. Obtańcowywałam szefa Krystyny. Często waliśmy się razem prosiakiem z grilla. Później zajadaliśmy się wspaniałym, lekkim tortem owocowym, karmiąc się wzajemnie. Poznał kilka ogólników na mój temat, nie zawsze prawdziwych. Przy pożegnaniu powiedział, że liczy na szybkie spotkanie na konferencji. Nie miał pojęcia, że możemy zobaczyć się już następnego dnia. Na korytarzu akademii. Dawno wiedziałam, że aby być dobrym, nie wystarczy

przemilczać pewnych prawd. Trzeba jeszcze mówić drobne kłamstwa.

Dowiedziałam się sporo. Miał słabą głowę. Po paru kieliszkach wzięło go na zwierzenia. Rozwiedziony. Żona nie potrafiła uszanować rodziców. Mieszka sam w pięciopokojowym mieszkaniu, dwie łazienki, taras. Całość o powierzchni średniego domu. Starzy rodzice mieszkają oddzielnie. Jada u nich obiady. Mama gotuje to, co synek lubi. Uwielbia grzyby. Duszone, smażone, w occie. Jeżdżą razem na Mazury. Ma tam daczę tuż nad jeziorem. Piękne lasy pełne grzybów. Ojciec robi jego ulubioną nalewkę. Po następnych paru głębszych stał się „ważną personą”. Jemu wolno prowadzić po pijaku, bo nikt mu nic nie robi. Budzić po nocy personel, bo on chce się kąpać w basenie i potem dostać świeżo usmażony befsztyk. Krótko mówiąc: „Co pan każe, sługa musi”. Nikt nie ma prawa się sprzeciwić.

Małgosia omotała mojego przyszłego szefa. Pije jak smok. Ma mocną głowę. Po alkoholu staje się agresywny. Zdobyła dużo informacji. Żonaty. Dorosła córka. Z żoną są razem, bo przysięgali: „Aż do śmierci”. Jest starsza od niego o pięć lat. Schorowana. W zasadzie nie wychodzi z domu. Pracuje naukowo. Pisze teksty do pism branżowych. On lubi filharmonię. Teraz chodzi sam. Do teatru też. Kina nie lubi. Zapewnił Gośkę, że będzie zapraszana na każde interesujące „spotkanie naukowe”.

– Gdybym nie mogła przyjechać, nie zapominajcie, panie Krzysiu, panie Robercie, o Dorocie. Ona mi wszystko opowie.

Już dawno wymieniła się z nimi numerami telefonów. Ja, ze względów strategicznych, wolałam poczekać. Nie wiadomo, jak zareagują na moją obecność w pracy...

Nadal czekałam na koniakowatego. Adam w dzień zachowywał się bardzo poprawnie i naturalnie. Czułosciami, słowami, gestami, niespodziankami pokazywał, jak bardzo jestem mu bliska. Starał się pamiętać o każdym drobiazgu. Zauważał mój smutek i pomagał go „zdmuchnąć”. Mówił: „Zamknij oczka, ja dmuchnę i smutek odleci”. Bałam się pytać, czy tak uspokajał Ewę. Rozmawiałam, rozumiałam, próbowałam – nie chcąc się przyznać, że czekam na próżno. Z każdym dniem cierpiałam mocniej. Dla Adama zapominanie stawało się męką. Najdotkliwszy ból obojgu nam sprawiała niemożność podjęcia decyzji. W najcudowniejszym momencie zrozumiałam, że nastał właściwy czas. Muszę zrobić kolejny krok.

Adam miał wrócić później. Przygotowałam kolację. Zadbłam o nastrój. Zasnęłam. Śniło mi się, że koniakowaty jest przy mnie. Całuje moje stopy, łydki, uda. Jednocześnie delikatnym dotykiem dłoni masuje brzuch, piersi, szyję. Wspina się ostrożnie, ale pewny swoich ruchów. Schodzi, omijając moje krocze pragnące jego języka, delikatnych ukąszeń, zaciśniętych ust. Rozsuwam nogi, chcąc dać mu znać, żeby przyszedł. Całuje wznórek, wargi, wodzi delikatnie językiem. Zaczyna ssać obie wargi, omijając łechtaczkę. Wsuwa język głębiej i pieści okolicę wejścia, przedłużając moment wsunięcia go głęboko, jak najgłębiej. Jego ręce błądzą po moim ciele, zaciskając się na pośladkach, które uniosłam w górę. Język znów powrócił, żeby samym czubkiem drażnić, potem ssać i po chwili zagłębić się z powrotem. Jedną dłonią przytrzymywał moje wygięte ciało, wkładając zamiast języka palce. Poruszał nimi we wszystkie strony, żeby wreszcie wejść we mnie. Zagłębić

się aż po samo dno. Czułam, że odrywam się od ziemi. Unoszę się coraz wyżej i frunę wprost ku słońcu.

– Dorota, wracaj pomalutku. Ja chwilę poczytam. Gdy wstaniesz, zjemy kolację. – Adam otulił mnie kocem, pocałował, gładząc po głowie. – Omal mnie nie udusiłaś. Piękna śmierć. – I odszedł.

Po dwudziestu minutach wstałam. Na pewno jest głodny, ja też nabrałam apetytu. Zdziwiło mnie, że drzwi do ich sypialni są niedomknięte. „Widocznie zamek się popsuł”, pomyślałam, podchodząc, żeby je zamknąć. Usłyszałam znajome jęki, odgłosy. I szloch. Ostrożnie zajrzałam do środka. Adam siedział na łóżku. Po jej stronie. Jedną ręką przyciskał do ust szlafrok, drugą zaspokajał się, szepcząc: „Ewuniu, tylko tak jest mi dobrze”.

Wróciłam do pokoju. Napiłam się koniaku. Z butelki. Usiadłam, czekając, aż przyjdzie na kolację. Poszedł do łazienki. Wziął prysznic. Wrócił.

– Napracowałem się, straciłem tyle kalorii. Zasłużyłem chyba na energetyczny posiłek. Tylko serek i wędlinka? – spytał bardzo zawiedziony.

– Golonka pieczona w piwie będzie wystarczającą nagrodą? – Wyszłam do kuchni po jego ulubioną potrawę.

Przy kolacji opowiadał o kłopotach w pracy.

– Zastanawiam się, czy nie zmienić roboty. Dorota, może byśmy wyjechali, chociaż na parę dni. Potrzebuję tego. – Podkreślił swoją prośbę złożeniem rąk.

– Adasiu, wiem, że starasz się zapomnieć o Ewie. Ja próbuję ci pomóc. Nie jestem nią. Nie chcę być kochana jako ona. To ja cię pieścę. Przykro mi słuchać: „Ewuniu, było wspaniale”. Nie, nie przerywaj. Wiem, że przepraszasz, że to silniejsze od ciebie. Rozumiem. – Usiadłam mu na kola-

nach. Tak jak lubił. Przodem, opasując nogami plecy. – Jest miejsce, w którym mógłbyś pożegnać się z Ewą. Jedźmy tam – przerwałam, czekając na pytanie: „Dokąd?”

– Dorota, pojechałabyś ze mną? Naprawdę? – powiedział z niedowierzaniem. Nie zapytał. – Tak, tylko w Tokio mogę się z nią pożegnać. – Dokończył zdecydowanie.

– Adam, nie dostanę urlopu. Załatw tak, żebyśmy mogli wyjechać w czwartek. Piątek wezmę wolny. I teraz najważniejsze. Dla mnie bilet powrotny na niedzielę. Ty zostajesz. Przemyślisz. Podejmiesz decyzję. Zadzwonisz, gdy będziesz gotowy wrócić do mnie. Przywitam cię na lotnisku.

Poczułam ulgę. Musi zdecydować. Dłużej tak nie mogę. Zatraciłam się. Zapomniałam o tym, co dla mnie najważniejsze. Nie byłam sobą.

Powiadamiając mnie, że wyjeżdżamy za trzy tygodnie (Boże, tak szybko!), przeprosił, że do tej pory nie będzie miał dla mnie czasu. Musiał pozałatwiać różne sprawy, żeby nie nawalić w pracy.

Miałam czas na swój Raj. Trochę dla Alusi. Najwięcej na szafę. „Musisz być dobra”, słyszałam Dorotę. „Nie możesz pozwolić Adamowi cierpieć. Musisz mu pomóc”. – „Będziesz płakać?”, pytała Dorotka-idiotka. „Stęskniłyśmy się. Zamknęłaś nas i nie przychodziłaś. Tak nie można. Nie myślałaś o nas. Musisz się ukarać”. Klęczałam całą noc na grochu z podniesionymi rękami. Tę karę było mi najtrudniej znieść w dzieciństwie. Teraz nie odczuwałam bólu. Nie drętwiały mi ręce. Nie parzyły kolana. Nie czułam nic...

Jechaliśmy autokarem na górę Fuji, potem przerwa na obiad i rejs statkiem po jeziorze Ashi, znanym z odwróconego odbicia Fuji. Wjazd kolejką liniową na Komagatake, skąd rozciągają się piękne widoki na Fuji, Fugato oraz

dalekie góry Peninsula. Przepiękny ogród Hakone Picnic. Dzikie azalie i rododendrony.

– Zobacz, spójrz, rozejrzyj się, przypatrz. – Adam dyrygował wzrokiem... Ewy, która podczas ich podróży poślubnej zrezygnowała z tej trasy? A może jednak moim?

– Adasiu, jutro robimy sobie spacer po mieście tylko we dwoje. Potem zjemy obiad i ja pojedę na lotnisko – uprzedziłam go, wyczuwając w jego zachowaniu, że nie chce, byśmy byli sami.

Wczoraj wróciliśmy nad ranem. Skonani. Spać. Rano śniadanie i ta całodniowa wycieczka. Wyraźnie bał się słów. Przed wejściem do restauracji zobaczyłam lampy, takie jak ta, którą przywiozła mi Gosia. W środku duże kontenery z żywymi fugu.

– Dorota, skusisz się? Zjesz jakąś potrawę z fugu? Ja chętnie bym spróbował. Już mogę. – Nie dodał, dlaczego może.

– Zamów. Zjem – odpowiedziałam, próbując uchwycić jego spojrzenie.

Nie dopytywałam. Znałam odpowiedź. Omijał mnie wzrokiem od rana.

Sobie zamówił fugu hirezake. Smażone płetwy rozdymki podane w gorącej sake. Dla mnie fugu sashi. Rzeczywiście były to przezroczyste plasterki, przez które przebijał piękny wzór talerza. Jedliśmy pół na pół. Mięso bez smaku. Drętwienia nie czułam. Może dlatego, że i tak byłam cała zdrętwiała.

– Dorota, wiesz, że kucharz przed wydaniem potrawy dla klienta musi jej sam spróbować?

– I dobrze, ale nie masz pewności, że od razu nie wypłuwa.

Znowu dzwoniąca w uszach cisza. Adam po raz kolejny przygląda się wewnątrz restauracji. „Niedługo utrwali każdy szczegół”, pomyślałam.

– Jest taka obrazkowa historyjka Rakugo. O trzech mężczyznach, którzy przygotowali gulasz z fugu. Chcąc sprawdzić, czy jest bezpieczny, poczęstowali nim żebraka. Nic mu nie było. Zjedli gulasz. Po posiłku ponownie spotkali żebraka, który powiedział, że bardzo ucieszył go ich widok. Ich pełnia sił daje mu pewność, że gulasz nie jest trujący. Może go zjeść. – Kończąc, ujął moje dłonie, pocałował i powiedział: – Zrozum. Wybacz. Pomóż mi.

Poprosiłam, żeby zapłacił. Wstałam, wyszłam na zewnątrz. Trudno mi było oddychać. Dołączył do mnie, objął ramieniem i w milczeniu poszliśmy do hotelu.

Pożegnałam go słowami:

– Pomogłam, decyzja należy do ciebie...

W domu napełniłam dwa kieliszki wina. Postawiłam je naprzeciwko siebie. O jeden oparłam list Ewy.

– Ewuniu, porozmawiamy ostatni raz. Nie mogłam być tobą. Spełniłam twoją prośbę. W ostatnim zdaniu napisałaś: „Dorota, jeżeli uznasz, że jest nieszczęśliwy, pojedź z nim do Tokio i pomóż mu. Tak jak pomogłaś mnie”. Pojechałam. Zostawiłam kopertę na stole. W niej kartkę. Po japońsku. Nazwę i kwotę odczyta bez problemu. Adres też. Ja będę się modlić, tak jak w cierpieniu modlił się Jezus: „Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode mnie ten kielich goryczy! Jednak nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie”. Dopiliśmy swoje wino. Wypiłam Ewy. List podarłam na drobne kawałeczki. Spaliłam. Ewa wyszła...

E-mail nr 7

... *Progne subis*. Dziękuję za miłe e-maile. W ostatnim piszesz, że czujesz złość, zaniepokojenie. Nie potrafisz „rozgryźć” mojej bajki. Już niedługo poznasz całą. Poczekaj na właściwy czas – dobry aforyzm nie polega na odkryciu nowej prawdy, tylko na sposobie podania starej. Polecam ci przeczytanie „Niebiańskiej przepowiedni” J. Redfielda. Odkryjesz znaczenie zbiegów okoliczności w życiu. Energię w komunikacji z innymi. Może zmienisz coś w swoim. Niepokoi mnie Twój wygląd. Nastroszone piórka na szyi i głowie. Trzepoczesz skrzydłami. Kłapiesz gniewnie dziobem. Wyczuwam agresję? Uspokój się. Weź parę głębokich wdechów. Zrób silny wydech. Pomoże. I posłuchaj o Calineczce.

Zrozumiała, że już czas poszukać dla siebie lokum. Pamiętała jak przez mgłę, że najpiękniejszym kącikiem był środek tulipana. To był jej drogowskaz. Szukała we wszystkich kwiatach. Tulipanowiec amerykański okazał się drzewem. Liściastym. To już lepiej *Lagerstroemia indica*. Najdłużej kwitnące drzewo na świecie. Kwiaty utrzymują się ponad sto dni. Przepych. Ona chciała tylko bogactwa. Śliczne polne kwiaty: chabry, stokrotki, margerytki, kaczeńce, maki – za skromne. Może Dotyk Anioła? Przepiękne kwiaty, do piętnastu centymetrów długości. Nie, przypomniały jej się katechezy i „dotyk anioła”. Najpiękniejsza bylina świata – Gwiazdka z Nieba z dużymi niebieskimi lub białymi kwiatami – też nie. Miała już swoje Niebo i swoje gwiazdki. Największy i najpiękniejszy kwiat – protea królewska, mająca trzydziestocentymetrowe kwiaty o niezwykłej urodzie – również odpada. To Calineczka chce być królewska. Z tych samych powodów nie mogła to być palma królewska, najwspanialsza z palm. Lubiła imię Dorota. Wybrała *Doronicum caucasicum*.

Nie znała łaciny. Była to bylina, omieg kaukaski o wąskich płatkach. Za wąskich. *Albies alba* okazała się jodłą. I to pospolitą. *Callena vulgaris* została zdyskwalifikowana za samą nazwę (choć okazało się, że to piękny wrzos. Za smutny). Sięgnęła po horoskop kwiatowy. Fiołek – dąży do harmonii i równowagi. Ceni sobie spokój wewnętrzny i ma silne poczucie sprawiedliwości. Groszek to inteligentny idealista (bez względu na to, jak często bywa rozczarowany). Czasami pracoholik. Groszek lubi mieć wszystko zaplanowane. Tak jak Calineczka. Niestety on lubi stokrotki, dalie i goździki.

W tym momencie życia uważała się za różę. Róża ma niezwykłą zdolność do wyciągania wniosków z nowych doświadczeń. Lubi być doceniana i otrzymywać najprzeróżniejsze dowody uznania. Jej cechą charakterystyczną jest niebywała wręcz rzetelność i niezawodność. To cała Calineczka. Róże lubią: maki, konwalie i bzy. Już wiedziała. Odpowiedni dla niej będzie bez. Różnorodny. Pomysłowy. Wszechstronny, a ponadto – ze względu na życzliwość – potrafi się odnaleźć w każdej sytuacji. Życzliwość to wyraz dobroci. Kwiaty, które pasują do bzu, to kolorowe hortensje i tulipany.

Pamiętasz? W bajce jaskółka wybrała najlepsze miejsce dla Calineczki. Posadziła ją na jednym z kwiatów. W środku siedział malutki człowieczek. Na głowie miał piękną złotą koronę, a z ramion wyrastały mu jasne skrzydła. Był to duszek kwiatów.

Moja Calineczka musiała sama o siebie zadbać i znaleźć kandydata na królewicza. Znalazła. Co prawda nie miał złotej korony i pięknych skrzydeł. Miał złoto i diamenty. W postaci małych cienkich prostokątów otulonych gustowną skórą. W posłaniu z certyfikatem, opatrzonym hologramem oraz indywidualnym numerem identyfikacyjnym. Miał piękne lokum. Na jej drodze pojawił się mały problem. Jednak i tak wiedziała, że przyjdzie

czas na słowa: „Zdjął więc z głowy złotą koronę, włożył ją Calineczce i spytał, jak się nazywa i czy chce zostać jego żoną i królową wszystkich kwiatów”.

Rozwinięcie do e-maila nr 7

Komórka naładowana. Karta aktualna. Zasięg jest. Minął tydzień. Przestałam czekać. Miałam ją stale przy sobie. Minęły trzy miesiące. Dość szybko zajmowałam w pracy z góry upatrzoną pozycję. Kontakt z obydwojema prezesami w biurze służbowo-uprzejmy. Z szefem Krystyny przeniósł się na grunt prywatny. Byliśmy w teatrze, kinie, w restauracji. Poznaję coraz więcej potrzebnych mi szczegółów. Zostawiłam sobie trochę czasu. Zdążę. Plan muszę mieć dopracowany. Wracałam bardzo zmęczona. Prysznic i spać. W Niebie.

Otworzyłam drzwi, wchodząc nadepnęłam na próg i w tym momencie zadzwoniła komórka. Ta komórka. Nie zdążyłam. Przestała dzwonić. To nie był numer Adama. Nie wiedziałam, co myśleć. Nikt nie znał mojego numeru. Tylko on. Może zmienił kartę? Oddzwoniłam.

– Kancelaria notarialna, słucham. – Usłyszałam uprzejmy kobiecy głos.

– Przed chwilą ktoś dzwonił do mnie z tego numeru.
– Nie mogłam opanować zdenerwowania.

– Tak. To ja. Czy pani Dorota Cichocka? – spytała.

– Tak, słucham. – Usiadłam, żeby się nie przewrócić.

– Pan notariusz ma dla pani wiadomość. Kiedy może pani przyjść do naszej kancelarii? Sprawa jest pilna – informowała grzecznie, lecz ponagląco.

– Jutro? O siedemnastej? – zaproponowałam.

– Dobrze. Wpisuję panią na tę godzinę. Czekamy – chciała zakończyć rozmowę.

– Chwileczkę. O co chodzi?

– Pan notariusz wszystko wyjaśni. Do widzenia. – Odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia punktualnie o siedemnastej wchodziłam do kancelarii. Przywitał mnie bardzo sympatycznie wyglądający starszy pan.

– Pani Cichocka, prawda? – Podał mi rękę. – Zapraszam do mojego gabinetu.

– Może kawy, herbaty? – zapytała sekretarka.

– Chętnie. Poproszę kawę. – Od razu usiadłam na fotelu przeznaczonym dla klientów.

– Proszę się tak nie denerwować. Ma pani dowód osobisty? Muszę ze względów formalnych sprawdzić pani dane.

– Proszę. – Podałam dokument i popijałam kawę, żeby ukryć zdenerwowanie.

– Wszystko się zgadza. Chciałem panią poinformować, że została pani testamentem sporządzonym w mojej obecności jedyną spadkobierczynią świętej pamięci Adama Osowskiego. Teraz odczytam testament. Pani Doroto, czy pani słuchała? – Widział, że się wyłączyłam.

– Nie. Przepraszam.

– Powtórzę. Jest pani właścicielką mieszkania i oszczędności pana Adama. Prosił, żebym załatwił wszystkie formalności. Tak, żeby nie miała pani z tym żadnych kłopotów. Czy pani się zgadza?

– Oczywiście. Będę wdzięczna – mówiłam automatycznie, myśląc o Adamie. – Proszę mi powiedzieć, kiedy Adam sporządził testament? – Czekałam, bojąc się potwierdzenia moich przypuszczeń.

Spojrzał jeszcze raz na dokumenty.

– Dokładnie trzy i pół miesiąca temu. Jakieś dwa tygodnie przed śmiercią klucze zdeponował u mnie. – Wyjął z szuflady zalakowaną kopertę. – Proszę. Postępowanie spadkowe uda się załatwić do pół roku. Sprawy podatkowe i inne formalności zajmą około miesiąca. Mieszkanie może pani zająć od rązu. Opłaty za lokal są uregulowane do końca roku. Pan Adam nie miał rodziny. Nikt nie będzie podważał testamentu. Pozostańmy w kontakcie – dodał, wstając.

Dotarło do mnie, że Adam musiał podjąć decyzję od razu. W chwili, gdy zaproponowałam wyjazd do Tokio...

Po miesiącu otworzyłam drzwi do mojego, ich mieszkania. Przed naszym wyjazdem powiedział, że ma ważne sprawy do załatwienia. Potrzebuje czasu. Teraz wiedziałam, na co go potrzebował.

To nie było ich mieszkanie. Było puste. Świeżo odmalowane. Podłogi wycyklinowane. Zajrzałam do łazienki. Cała w turkusie, przezroczysta ceramika, umywalka asymetryczna z blatem, osadzona w zielonym onyksie. Duże oświetlone lustro i lustrzane szafki, w których stały nowe, moje ulubione kosmetyki do kąpieli. Wanna owalna, taka, jaką zawsze chciałam. Na onyksie piękne muszle. Łazienka, którą mu pokazywałam w katalogu, mówiąc, że to moje marzenie.

Zajęłam się wyposażaniem mieszkania. Uwzględniając jego gust. Do domu jeździłam podlewać kwiaty, rozmawiać z Alą, która zaczynała mieć problemy miłosne. Dopytywała o Piotrka i Wojtka. Tłumaczyłam jej, że dla Boga najważniejsze są uczynki. To, że dwoje ludzi się ko-

cha i żyje zgodnie z jego przykazaniami. Mają się sobą opiekować, pomagać sobie wzajemnie. Szanować się. Za to będą rozliczani. To ludzie na ziemi wymyślili dodatkowe zakazy i nakazy. Często dla innych. Sami ich nie przestrzegając. Moje wyjaśnienia, argumentacja, ocena były dla niej jak wyrocznia.

Coraz częściej w nocy zamawiałam taksówkę i jechałam do domu. Tylko w Niebie czułam się bezpieczna. Były ze mną obie. Dorota i Dorotka-idiotka. Uspokajałam. Tłumaczyłam z całych sił, na wszelkie sposoby. Dla siebie nie miałam ani argumentów, ani siły. Przytulałyśmy się i przy czytaniu „Calineczki” zasypiały...

– Tak bardzo chciałabym być szczęśliwa. – Z żarliwością w głosie powiedziała Krycha. – Idę do łazienki. – Dokończyła na jednym wdechu.

Piłyśmy kawę u niej. „U niej”, to znaczy w olbrzymim gabinecie prezesa. Minął właśnie rok od początku mojej pracy.

– Krysiu, dziękuję za mój pierwszy dzień. Gdyby wszystkie szefowe były takie jak ty, praca byłaby rajem.

Wręczyłam jej trzy gałązki pięknych orchidei. Po osiem różowo-białych kwiatów na każdej wyglądało imponująco. Co najważniejsze były drogie. To podstawa jej zachwyty.

Jej szef często wyjeżdżał służbowo. Można było plotkować do woli, popijając kawkę czy herbatkę. I tak nikt bez telefonu i zapowiedzi nie przyjdzie. Wstęp bez anonsowania zabroniony. Ja miałam specjalne prawa. Od naszego pierwszego spotkania.

– Dorota – Krycha wróciła z łazienki – przepraszam,

miałam tylko wlać wodę do wazonu, ale zatrzymali mnie po drodze. Samolot się spóźni. Prezesi przylecą dopiero o dziewiętnastej i przyjadą prosto do biura. Musimy zostać. Potrzebne są dokumenty na jutrzejszą konferencję, a mają nowe informacje. Trzeba będzie przeredagować. Nie znam szczegółów. Nic nie przyśpieszymy. Chodź, idziemy do knajpy. Zjemy obiad i pogadamy. Ostatecznie to twoja rocznica. Mamy wiele do obgadania. Szykują się zmiany. – Miała już w ręku torebkę i klucz.

– Fajnie, spotkamy się przy windzie. Za dwie minutki jestem.

Poszłam do siebie poprawić makijaż i sprawdzić, ile mam pieniędzy. Wiadomo, że ona zaprasza, ja płacę. Ten układ funkcjonuje od naszego pierwszego wspólnego posiłku i obydwie strony są z niego zadowolone. Przecież to ona decyduje o naszych urlopach. Dniach wolnych. To ona ma wpływ na premie, nagrody czy dodatkową forszę za zlecenia.

Po obiedzie, przy winku, znowu wróciła do wynurzeń:

– Tak bardzo chciałabym być szczęśliwa. Dlaczego nie jestem? Mam pieniądze, na wszystko mnie stać. Gdy zabraknie, tatko dorzuci. Mieszkanie luksusowo urządzone, samochód nówka, świat stoi przede mną otworem. Mimo to ciągle mi źle. – Kiwnęła na kelnera, zamawiając kolejną butelkę wina. – Nie patrz tak, mamy dużo czasu, zdążymy wytrzeźwieć. I tak od nich będzie bił oszałamiający zapach koniaku. Jak zwykle. Dorota, jak ja mało o tobie wiem. Ty o mnie wszystko. Z kim, kiedy, dlaczego, za ile, ile razy. Ty umiesz słuchać. Dziewczyny za tobą przepadają. Wiesz, byłam zazdrosna, gdy zobaczyłam, że herbaciarka specjalnie dla ciebie parzy melisę, gdy widzi, że jesteś zdenerwowana. Uważają, że jesteś dobrym duchem. Tak

mówiła ta mała Elka. Wszystkim pomożesz, zrozumiesz, pocieszysz i to bezinteresownie. Jak ty to robisz? – Kończyła drugą butelkę. – Wiem, że Baśce pożyczyłaś forszę, tyle, ile miałaś, na podręczniki dla dzieciaka do szkoły. Za Elkę zostałam po godzinach, mimo że byłaś umówiona. Justyna dzięki tobie skończyła kurs bezwzrokowego pisanie i szybkiego czytania. Każda ciągle coś ci zawdzięcza, a ty nic od nich nie chcesz.

Jak zwykle, czy to na trzeźwo, czy po alkoholu, ona mówiła, pytała i najczęściej sama sobie odpowiadała. Wystarczyło parę słów rzuconych w odpowiednim momencie, żeby pokierować nią we właściwą stronę.

Miałśmy rozmawiać o zmianach, a one zależą właśnie od niej. Jeśli mam coś ugrać, najwyższy czas zacząć, bo ona za chwilę przestanie kontaktować.

– Krycha, ciebie też lubią, może tylko boją się to okazać. Naprawdę zależy ci, by lubił cię byle kto?

– Pewnie, że nie – prychnęła. – Liczy się zdanie szefów. Te zolży niech uważają. Mówiłam, Dorota, że szykują się zmiany. Rozpanoszyły się i poczuły zbyt bezpieczne. Trzeba nimi potrząsnąć, to znów wezmą się do roboty. Szef już się ze mną zgodził. Myślę, żeby Baśkę przesunąć, byłaby obok nas. Figurę ma niezłą, a co do ubierania się i makiżu to się ją podszkoli. Co prawda ma dzieciaka, ale nie jest taka stara. Na pracy jej zależy, to będzie cichutka jak myszka. Szczególnie po godzinach.

Jej uśmiezek mówił sam za siebie. Chciała Baśkę zamiast Elki, żeby jej nocne narady z prezesem pozostały tajemnicą. O przecieki podejrzewała Bogu ducha winną Elkę. Mnie była pewna na dwieście procent. Nadmierna pewność zgubiła już niejednego.

– Justynę – mówiła dalej z przekonaniem, że wszystko dobrze zaplanowała – chcę dać piętro niżej. To taka szara myszka, snuje się z tą swoją zasępioną miną po korytarzach i tylko straszy. Cha, cha, cha. Gdy ją o coś poprosić, jest wiecznie zajęta. Muszę podpytać jej szefa, co daje jej ciągle do pisania. Co o tym sądzisz? – Tym razem czekała na odpowiedź.

Świadomość władzy zawsze przywracała jej jasność myślenia. Siedziała już wyprostowana, sięgnęła po wodę i pijąc po łyczku, czekała na to, co powiem.

– Baškę obok nas? Słyszałam rozmowę dziewczyn w toalecie. Nie wiedziały, że jestem, bo wiesz, że znając nasze relacje, słówka by nie pisnęły. To od niej wiedzą, że robisz za materac szefa. – Tuż po wypowiedzeniu tych słów zerwałam się z krzesła, mówiąc szybko: – O Boże, nie chciałam tego przytaczać, wybac mi, proszę, udaj, że nie słyszałaś. Jestem wstrętna, jak mogłam ci to powtórzyć. Krycha, to głupoty, za dużo wypiałam i nie panuję nad językiem. Ty jak zawsze taktowna, a ja chlapię, co mi ślina na język przyniesie. Roznoszę plotki. Krysiu, przepraszam – mówiąc to, przytuliłam się do niej. – Krycha, tak mi głupio, zdobądź się na dobry uczynek i wybac mi – prawie szlochałam.

– Przestań. Co mam ci wybaczać? Ty jesteś za dobra. Przepraszasz za nie swoje słowa. Wiem, że wolałabyś mi tego nie powtórzyć. Jesteś tak wrażliwa na czyjąś krzywdę i nie chciałaś, żeby było mi przykro. To ty znów zrobiłaś dobry uczynek. Uchroniłaś mnie przed tą żmiją. Ją poślę na dół. Pogadam z dyrektorem. Najlepiej, jakby siedziała w recepcji. Nie mogłaby się wtedy zajmować plotkowaniem i oczernianiem niewinnych ludzi. Jak myślisz?

Ścisnęła mnie, wkurzona, za rękę.

– Lepiej na dół. W recepcji często zamieniają się na całe dni, po co ma siedzieć i późnymi wieczorami. Ma dziecko. Puściłam do niej oko.

– Oj, Dorota, cała ty. Dbasz i o dziecko, i o nią, i o mnie. Jesteś przedobrym człowiekiem. Mają rację, gdy mówią, że masz złote serce. Nie pomyślałam. A jak przetasować resztę?

– Krycha, tak jak mówiłaś, nie pamiętasz? Najlepiej szarą myszkę zostawić tam, gdzie jest. Ona jest tak zapracowana i tak się chce wykazać, że nie zwraca uwagi, co się wokół niej dzieje. A tak na marginesie, lepiej nie podpytuj, czym jest tak zajęta. Doszło do mnie, że to na indywidualne życzenie jej szefa. Jakaś praca naukowa, a on chce to na razie utrzymać w tajemnicy. I nie pozwoli jej wymienić na inną. Elkę trzymaj koło siebie, widzisz, że niesłusznie ją podejrzewałaś. Odesłanie Baśki na dół i tak wszystkie wystraszy. Każda będzie uważać, żeby ci nie podpaść. Dobrze to obmyślałaś i na pewno przyniesie efekt. Umocnisz swoją pozycję. Teraz już wracajmy, muszę jednak przygotować parę dokumentów. Tak na wszelki wypadek tobie też radzę to zrobić. Szybciej się uwiniemy i pójdziemy do domu.

Wyszliśmy i po kilku krokach usłyszałam:

– Dorota, dzięki. W tym miesiącu spodziewaj się dużej premii. Należy ci się. Choć tyle ja mogę zrobić dla ciebie.

Zwyciężaj dobrem – zawsze, wszędzie, w każdej sytuacji. Święte słowa. Byłam dobra.

Baśka płakała, bo wrzesień to i ubranie (dzieciak przez wakacje wyrósł, wszystko za krótkie, za ciasne), i podręczniki, zeszyty, a jeszcze dodatkowe opłaty. Nie dawała rady.

– Baśka, nie płacz. Trzeba sobie pomagać. Pożyczę ci na podręczniki.

Zaczęłam nerwowo szukać pieniędzy w portfelu (doskonale wiedząc, że mam tam jak zwykle pięćdziesiąt złotych). Potem w portmonetce (zawsze jeszcze mniej). Musiałam ściśle przestrzegać tej zasady, bo często pożyczalam z dobroci serca. Pieniądze na awaryjne sytuacje miałam w małym skórzanym etui. Wyłożyłam wszystko na biurko.

– Basiu, tu jest tylko siedemdziesiąt pięć złotych (no tak, dwadzieścia z portmonetki poszło na napiwek, gdy byliśmy z Baśką w piwiarni). Przykro mi, zupełnie zapomniałam, że sąsiadka prosiła o pożyczkę do czasu, gdy odbierze emeryturę. Premia poszła na kredyt – tłumaczyłam się. (Wszyscy wiedzieli, że spłacam mieszkanie. Że dostałam je w spadku, wolałam nie informować. Zaraz pojawiłyby się pytania: po kim?, jak umarł?, kiedy?, na co?, w jakim był wieku?) – Przepraszam, Basiu, tylko tyle mam. Oddasz, jak będziesz mogła. Nie spiesz się.

– Nie mogę, i tak nie będę miała z czego oddać. Ty zostaniesz bez grosza – chlupała.

– Nie ma o czym mówić. To prezent dla dziecka. O mnie się nie martw. Jestem sama i dam sobie radę.

Uściskała mnie.

– Dorota, ty jesteś taka dobra. Tak krótko tu pracujesz, a znasz nasze bolączki. Ja nie zapomniałam, że już parę razy dawałaś mi prezenty dla dziecka i dla mnie. I nikomu o tym nie mówisz. Niech życie ci to wynagrodzi. Pamiętaj, jestem ci wdzięczna i bardzo bym chciała móc ci w czymś pomóc.

Dawałam z serca, bo co miałam robić z materiałami reklamowymi. Długopisy, breloczki, kalendarzyki czy bom-

bonierki (przynoszone przez interesantów) przydawały się do obdarowywania tych, którzy mieli rozgłaszać moją dobroć. Kwiaty przeznaczałam dla lekarki, kosmetyczki, kierowniczkii działu kadr itp. Dobry koniak bardzo dowartościowywał mojego (czyli Krychy) fryzjera. Ona musiała się zapisywać, mnie cesał także w domu. Gdy załatwiłam mu (nie mogąc pozwolić, żeby tak się denerwował, serce się krajało) natychmiastową wizytę dla jego matki u kardiologa (pani doktor lubiła perfumy), mogłam do niego dzwonić o każdej porze, przyjeżdżał i wychodziłam uczesana. Komuś musiałam oddawać ciuchy, bluzki, których już nie nosiłam. Kostium, w którym obleciałam wszelkie możliwe okazje. Oczywiście tylko te, na których na pewno nie pojawiłby się nikt, kto uczestniczył w poprzednich. Sukienki założone raz na spotkanie integracyjne. W których prawie wszyscy mnie widzieli. Trzeba mieć dobre serce. Czego nie uda się sprzedać w sklepach z używaną odzieżą lub odsprzedać po cichu dziewczynom, robiąc dla nich coś dobrego (bo okazja), trzeba oddać i znów kogoś uradować.

– Justynko, widziałam, że czytasz podręcznik do nauki szybkiego pisania. Nie lepiej iść na kurs? – spytałam retorycznie.

Ta dziewczyna była nie z tego świata. Trudno określić jej rysy, kolor dużych oczu, ust o ładnym zarysie. Wszystko wyblakłe, prawie niewidoczne. Patrząc na nią, widziałam piękno, takie płynące ze środka, niedające się wyrazić słowami. Krycha namawiała ją na kosmetyki, zmianę ciuchów. Wysyłała do swojej wizażystki. Idiotka, zadufana w sobie, nawet nie wie, że to dziecko utrzymuje matkę i brata. Po opłaceniu świadczeń na niewiele jej zostaje. Od

dawna stosowałam zasadę: „Chcesz, żeby ktoś był dobry dla ciebie, bądź dobra dla niego”.

– Justynko, znam twoją sytuację. Pozwól mi sobie pomóc. Zapłacę za twój kurs. Szybkiego pisania i szybkiego czytania. Nie przerywaj. Nie unosz się ambicją. To będzie transakcja wiązana. Ty będziesz przepisywała dla mnie dokumenty. W ten sposób wzajemnie zrobimy dla siebie coś dobrego. Wiesz, że od komputera bolą mnie oczy i gdy długo czytam, mam migrenę. W naszej pracy trzeba wertować wiele dokumentów, pisać streszczenia, a to wymaga czasu. Ja pomagam po pracy charytatywnie ludziom i często nie mogę zostawać po godzinach. Wyręczysz mnie i spłacisz dług.

Pożegnałyśmy się i obie, zadowolone, poszłyśmy do domu. Z Krychą już wcześniej załatwiłam, że da mi zlecenie ekstra. Mała je zrobi, ja zapłacę za jej kurs, a i tak zostanie mi na kosmetyczkę.

Kochanej pani Helence (tak o niej i do niej mówiłam ja; inne sobie na to nie pozwalały, bo to prowadzi do spoufalenia; ptasie mózdzki), herbaciarce (jak nazywała ją Krycha) nie muszę tym razem mówić – oczywiście w tajemnicy – o umowie z Justynką. Zapraszałam ją na kawę. Sama ją parzyłam, mówiąc: „Pogadamy jak koleżanki z pracy”. Szybko się zorientowałam, że to kopalnia złota. Wiedziała prawie wszystko o wszystkich. Powiedzieć jej coś i dodać, że w tajemnicy, to pewność, że następnego dnia wiadomość będzie znał każdy w pracy.

Uczciwość tej małej nakaże jej powiedzieć o wszystkim swojemu szefowi. Będzie musiała czasami wychodzić wcześniej. Znałam już dobrze jej szefa. Nie raz, nie dwa korzystałam z jego możliwości, żeby coś dla kogoś zała-

twić. Zawsze prosił, żebym nie mówiła, że to on się wsta-
wił, interweniował czy wymógł. Nie mówiłam. I tak wszy-
scy wiedzieli, że znów pomogła Dorota. Nie zawiodłam
się. Szef Justyny w niedługim czasie załatwił, że za jej
kursy zapłaci firma. Ona przyznane jej pieniądze zwróciła
mnie. Dalej czuła się zobowiązana do pisania za mnie tek-
stów. Tym bardziej, że szefowi otworzyły się oczy na jej
sytuację rodzinną (faceci niczego sami nie zobaczą, chy-
ba że ładny tyłek) i dawał jej płatne zlecenia od swoich
kolegów, pozwalając na korzystanie ze sprzętu biurowe-
go. Niby pisała jego naukowe opracowania do publikacji.

Elce nietrudno było pomóc. Jej chłopak pracował i uczył
się wieczorowo. Miał wolne wieczory we wtorki i czwartki.
W soboty i niedziele dorabiał. Szef Elki akurat w te dni miał
spotkania. Z różnymi ważnymi osobami. Przeważnie płci
żeńskiej. Nic nie było do zrobienia, ale często dzwoniła żona.
Elka musiała siedzieć. Odbierać telefony. Powiadamiać, że
bardzo jej przykro, szef oddzwoni, gdy nastąpi przerwa
w naradzie. Spotkania trwały najpóźniej do dwudziestej,
bo dobry tata musiał wracać do domu. Elka nie widziała się
prawie z chłopakiem. Dojeżdżała około trzydziestu kilome-
trów. Gdy wracała, on już spał.

– Musicie mieć czas dla siebie. Jeśli tak dalej pójdzie,
wasz związek wreszcie się rozpadnie. Tak nie można – tłu-
maczyłam szlochającej Elce, jakbym nie wiedziała, że wła-
śnie z tego powodu płacze.

– Nie mogę zmienić pracy. Dobrze zarabiam. Szef jest
w porządku. Dojazd mam dobry. Na co zamienię? Nie
wiem już, co robić. Tadek ma dosyć. Nawet już ze sobą nie
rozmawiamy. W łóżku to albo na szybko, albo wcale.

Zaczynała histeryzować.

– Słuchaj, Elu, przestań się mazać. – Wiedziałam, że nad-szedł czas działania. Dorota pomoże. – Zaraz coś wymy-ślimy. Będzie dobrze, pomogę ci. Muszę tylko zadzwonić w dwa miejsca.

– Dzień dobry, pani Ewelino. Tu Dorota. Miło mi, że po-znaje pani mój głos. Mam prośbę. Czy możemy się umówić na czwartki około dwudziestej? Będę wpadać co tydzień. Wiem, ale chciałam się upewnić. Tak, tak. Jesteśmy umó-wione już bez telefonu. Chyba że wypadnie mi coś niespo-dziewanego. Do zobaczenia. Spokojnej nocy.

Rozłączyłam się i widząc zaskoczoną minę Elki, wyjaśniłam:

– Odwiedzam co tydzień panią Ewelinę i jestem z nią około dwóch godzin. Miło spędzamy czas. Wezmę za cie-bie czwartki. Żona twojego szefa mnie zna. Nie będzie mia-ła nic przeciwko temu – uspokajałam.

Obie wiedziałyśmy, że na Krystynę by się nie zgodzi-ła. Awantura w domu gotowa. Na twarzy Elki zobaczyłam uśmiech i niedowierzanie, gdy usłyszała, że druga rozmo-wa też poszła po mojej myśli. Wtorki – dwudziesta z mi-nutami – potwierdzone. Gdybym pozwoliła, całowałyby mnie po rękach.

– Jak my się odwdzięczymy? Dorota. Powiedz, jak?

– To proste. Słyszałaś. Będę miała zajęte całe wtorki i czwartki. Ty posiedzisz za mnie w środy, piątki lub jeśli będzie taka konieczność, w inny dzień. Oczywiście – posła-łam jej uspokajający uśmiech – oprócz wtorków i czwart-ków. Te dni są dla was. Zgoda?

– Jak najbardziej, kiedy tylko będziesz chciała.

Wyszła, w zasadzie wyfrunęła do domu. I znowu dobro przyniosło radość. Jej i mnie. Pani Ewelina to moja instruk-

torka z siłowni. Zawsze powtarza: „Precyzyjnie dobrany zestaw ćwiczeń pozwoli osiągnąć nie tylko efekt wizualny, lecz przede wszystkim zdrowotny – wzmocnienie mięśni posturalnych (m.in. brzucha, kręgosłupa), poprawę wydolności układu krążenia. Pani Doroto, trzeba myśleć o sobie”.

Jakbym robiła coś innego. Myślę i to precyzyjnie. Musiała jej się wydać dziwna ta nasza rozmowa. Już dawno ustaliłyśmy termin czwartkowy i godzinę. Wytłumaczę jej to jakoś. Do tej pory wychodziłam z pracy i szwendałam się po sklepach, galeriach czy przesiadywałam przy kawie. Nie opłacało się wracać do domu. Fitness club mam sto metrów od pracy. Wreszcie spokojnie posiedzę, szczególnie w gorszą pogodę. To samo we wtorki. Salon piękności jest na drugiej ulicy. Problem wtorków i czwartków rozwiązany.

Mówiłam Baśce, że mam trudność w znalezieniu kogoś do sprzątania, prania czy prasowania (nie znosiłam prac domowych). Chciała poczuć się lepiej, więc zgodziłam się, że będzie do mnie przychodzić raz w tygodniu. Przewidując taki scenariusz, musiałam wybić Kryśce z głowy pomysł przeniesienia Baśki obok nas (Elka była niezastąpiona w informowaniu mnie, kiedy i jak długo Krycha naradzała się z prezesem) i tym bardziej do recepcji. Chciałam być w domu podczas porządków (nigdy nic nie wiadomo) i do wyboru mieć poniedziałki, środy i piątki. W zależności od mojego humoru i nastroju.

– Jakie piękne mieszkanie. Takiej wanny nie widziałam nawet na filmach. Boże, ile to metrów?

Zachwytom Baśki nie było końca. Ona ma trzydzieści sześć metrów i pięcioosobową rodzinę. Dałam jej czas na

obejrzenie wszystkich pomieszczeń. Na podziwianie każdego mebla, przedmiotu i na pełny zachwyty w kuchni. Z każdym jej „Ach! Och!” myślałam: „Adamie, Ewo, a wam się podoba?”. Po około pół godzinie zauważyłam, że do zachwyty wkrada się uczucie zazdrości. Czas na wkroczenie i opanowanie sytuacji.

– Basiu, nalałam herbatę, siadaj. Porozmawiamy. Wiem, że umiesz dochować tajemnicy. To nie jest moje mieszkanie. To mieszkanie syna rodzonego brata mojego ojca.

– To znaczy stryjecznego brata, czyli kuzyna – wtrąciła zaciekawiona.

– Jaka ty jesteś mądra dziewczyna. Ja się gubię w tych pokrewieństwach. Nigdy nie wiem, kto jest kim. Kiedyś musisz mi to wytłumaczyć, tak łopatologicznie, bo inaczej nie zrozumie.

Dostała wypieków. Zawsze tak reagowała na pochwały. „Jest dobrze”, pomyślałam, „uczucie zawiści minęło. Czas przejść do sedna”.

– Mój brat, jak mówisz, stryjeczny, wyjechał z żoną. Daleko. Bali się wynająć. Obcy nie dbają o cudze lokum, wiesz, jacy są ludzie. Poprosili mnie, żebym zaopiekowała się ich, jak mówią, „gniazdkiem miłości”. Obiecałam, że wszystkiego dopilnuję. Tym bardziej, że moi znajomi z innego miasta przyjechali tu do pracy. Mieszkali w hotelu, bo nic nie mogli wynająć, za drogo dla nich. Przygarnęłam ich do swojego mieszkania. Zorientowałam się w niedługim czasie, że trudno im, szczególnie nocami. Musieli brać pod uwagę moją obecność. Ściany cienkie, wszystko słychać. A oni, kochając się, wydawali przeróżne okrzyki. Czasami czułam się jak w ogrodzie zoologicznym. W małpiarni. Cha, cha, cha.

Czasy, gdy musiałam uważać na każde słowo, gest, spojrzenie, już minęły. Do koronacji pozostało tylko parę godzin. Czas jest względny.

– Mówię to z przymrużeniem oka – dodałam, żeby zachować swój wizerunek. Mówiono przecież: „Dorota nie ma w sobie ani krzty złośliwości”. – Więc, jak widzisz, świetnie się ułożyło. Dla brata zrobiłam coś dobrego, dla znajomych też. To się w życiu liczy. Jakoś się tu przemęczę około sześciu miesięcy, może rok. Trudno żyć w cudzym mieszkaniu, ale dam radę – westchnęłam.

Przecież tę historyjkę zmyśliłam dla jej dobra. Po co dziewczyna miała wracać do swoich starych gratów, małego mieszkanka, ciemnej kuchni i całą noc rozmyślać, co widziała u mnie. Jutro opowiedziałyby innym. Ile osób miałyby zepsuty humor. Ile złych emocji! Zazdrości, nienawiści i podejrzliwości. Nie mogłam jej tego zrobić. To małe kłamstwo (w porównaniu z dobrem, jakie czyniło) wezmę na siebie. W oczach Baśki widziałam podziw, który natychmiast potwierdził się w jej słowach.

– Dorota, ty chyba chcesz zostać świętą. Zawsze kierujesz się dobrem innych. Nie spotkałam drugiej takiej osoby. Dziewczyny też cię podziwiają. Niektóre mówią, że to głupota. Trzeba myśleć o sobie. O swoim szczęściu. A ty zawsze najpierw o innych.

Baśka posprzątała i wyszła...

Biedni są ludzie, którzy nie mieli tyle szczęścia co ja. Nie wiedzą, że do jego osiągnięcia trzeba dojrzeć emocjonalnie. I tego chcieć. Wiedzieć, czego chcemy od siebie dla siebie. Ja byłam wybraną. Dostałam swój krzyż, żeby niosąc go, jak niósł nasz Zbawiciel, zasłużyć na łaskę. Dzięki łasce

nie czujemy nic. Jesteśmy naprawdę szczęśliwi. Mnie od zawsze powtarzano: „Musisz być dobra”. Codziennie uczyłam się bycia dobrą (mama ciągle powtarzała: „Ucz się od brata, on urodził się dobry, myśli o innych, bierz przykład”). Uczyłam się nie obrażać na ludzi, na życie (mama ciągle powtarzała: „Ucz się od brata. Krzyś się nie obraża, tylko uczy, wyciągając wnioski”). Uczyłam się nie skarżyć ani na ludzi, ani na los. Nie mówić: „Jestem nieszczęśliwa” (ojciec ciągle powtarzał: „Ucz się od brata. Jest dzielny. Nie jest skarżypytą. Zawsze dobry dla innych. Dla ciebie. Dlatego szczęśliwy. Będzie mu dobrze w życiu”).

Muszę się nauczyć, jak być szczęśliwą (ojciec ciągle powtarzał: „Ucz się od brata. Mówienia prawdy, nie paplania wszystkiego. Robienia innym przyjemności, żeby im było dobrze. Ty myślisz tylko o sobie. Inaczej niż Krzyś. Jesteś z gruntu zła. Słuchaj brata, rób, co ci mówi, a może nauczysz się być dobrym człowiekiem”).

Szybko zrozumiałam, że do szczęścia muszę dorosnąć. Szczęście zależy od pracy nad sobą. A praca nad sobą zależy tylko ode mnie. Bycie dobrym to nie dar od Boga. To gruntowna wiedza. Rozumieć ludzi znaczy słyszeć to, czego nie mówią. Widzieć to, czego nie chcą pokazać. Ksiądz nieraz mi powtarzał: „Czasami trzeba pomóc wbrew sobie. Nie chcesz, boisz się, jest to dla ciebie niemiłe, trudno, pomóż. Ćwiczysz charakter. Pozbywasz się egoizmu, czyli zła. Tylko dobro zwycięża zło. Będę ci pomagał robić dobre uczynki. Najważniejsze, nie opowiadać wszystkim dookoła, jaka jesteś dobra i ile dobrych uczynków zrobiłaś. Pamiętaj, dziecko, każdy, którym się nie pochwalisz, liczy się za trzy. Na ziemi ludzie mają sami cię oceniać. W niebie ocenę dostaniesz na Sądzie Ostatecznym. Zapamiętaj

taj sobie i powtarzaj co wieczór: „Dobre życie przypada w udziale tym, którzy się o nie starają”.

E-mail nr 8

...*Progne subis*. Cieszę się, że kupiłeś książkę, którą Ci polecałam. Piszesz, że masz nadzieję, iż Calineczka będzie szczęśliwą żoną i królową wszystkich kwiatów. Mieć nadzieję, przepraszam za kolokwializm, każdy głupi potrafi. Nie bierz tego do siebie. Calineczka była mądra. Nieuważnie czytałeś moją bajkę. Wiem, że jaskółkowate szeroko otwierają dzioby i wyciągają szyje, gdy inne ptaki zbliżają się do gniazda. Samice wabią śpiewem i skomplikowanymi lotami godowymi. Calineczka już dawno uroczyście odebrała dyplom „wirtuozka mowy mówionej”. Tembr: złoty, srebrny, spiżowy, aksamitny, jedwabny, szklany, matowy, drewniany. Najczęściej mówiła: *con amore* (z uczuciem), *cantabile* (śpiewnie), *grazioso* (z wdziękiem), *dolce* (słodko), *leggiero* (lekko), *scherzando* (żartobliwie), *giocoso* (wesół). Nigdy: *subito* (nagle), *agitato* (niespokojnie, burzliwie). Odpowiednio do sytuacji: *espressivo* (wyraziście), *marato* (podkreślając), *risoluto* (śmiało). We właściwym momencie: *animato* (z ożywieniem), *con brio* (z życiem), *appassionato* (gwałtownie). Pamiętając o: *sostenuto* (powściągliwie), wygrywała: *triste* (smutnie), *con dolore* (z boleścią), *pesante* (ciężko). Potrafiła wabić głosem.

I ja tam byłam, nektar i rosę piłam. Calineczka założyła na palec obrączkę. Byli panowie, panie. I panowie z paniami. Panie z panami. Kwiaty, kwiatki, kwiatuszki. Pudła, pudełka, pudełeczka. Och! Ach! Jaka piękna korona. Calineczka nie chciała jej założyć. Ku zdziwieniu wszystkich. Wiedziała, że jeszcze nie nadszedł czas. Ona dostanie jabłko, koronę wysadzaną rubina-

mi, szmaragdami, szafirami i perłami. I berto. I płaszcz królewski. I diament.

Jeszcze nie zdecydowała, czy ma to być: Cullinan I (Wielka Gwiazda Afryki) – 530,2 karata, szlif w kształcie kropli. Największy bezbarwny diament na świecie. Zdobí brytyjskie berto królewskie. Można go też nosić jako broszę. Co też, jak to kobieta, brała pod uwagę. Czy może jeszcze bezimienny, w trakcie szlifowania, najwyższej czystości i jakości, największy na świecie diament kulisty (kopalnia diamentów w Lesotho). Większy od Koh-i-Noor, który jest częścią brytyjskiej korony królewskiej. Cullinan I, to 105. część Cullinana (3106 karatów), największa, ale tylko część. Jednak nie chciała używanego. Zdecydowała. Ten bezimienny. Ona będzie jego matką chrzestną. Wtedy zostanie królową. Wszystkich i wszystkiego.

Gdzieś w srodeczku Calineczka pomyślała: „Jeszcze go szlifują, będę miała więcej czasu dla siebie. Nie gniewaj się, Boże”.

Z zamyślenia wyrwał ją głos męża:

– Jak się czuje moja żona? Zamyśliłaś się. Uśmiechasz się tak dziwnie. Nad czym? Do czego? – Był troszkę podchmielony, jak to pan młody. Wcześniej chwalił się przed gośćmi: – Patrzcie, to moja żona. Moja. Muszę cię inaczej nazywać. Calineczką już byłaś, teraz będziesz... – zamilkł i lustrował wzrokiem otoczenie, ludzi, ściany, dekoracje, stoły, aż jego wzrok padł na kwiaty stojące w rogu. Najwięcej było tam róż. – Już wiem. Będę cię nazywać Różyczką. Moją Różą. – I odszedł do gości.

Pamiętasz, było tak: „Nie powinnaś się nazywać Calineczka”, powiedział do niej duszek kwiatów. „To brzydkie imię, a ty jesteś taka ładna. Będziemy cię nazywali Maja”. – „Bądź zdrowa, bądź zdrowa! – zawołała jaskółka i odleciała do ciepłych krajów.

Cd.n.

Rozwinięcie do e-maila nr 8

– Dorotko, moi rodzice zapraszają cię na obiad – poinformował Robert z miną, jakby zapraszała sama królowa matka. – Dużo im o tobie mówiłem. Wiedzą, że się spotykamy. Oczywiście nie o tym, że ze sobą sypiamy. Przygotuj się odpowiednio. Proszę. – Patrzył na mnie błagalnie.

– To znaczy? – Wiedziałam, o co mu chodzi. Chciałam się podroczyć. – Jakie specjalne przygotowanie masz na myśli?

– Moi rodzice, jak wiesz, są starzy. Mówiłem ci, że bardzo ważna jest dla nich kindersztuba.

– Nie martw się. – Pocałowałam go w czoło. – Twoja Dorota zda egzamin. Chodźmy na taras. Porozmawiajmy lepiej o Krystynie.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach. Wystawiłam twarz do słońca.

– Panie prezesie, pomysł przeniesienia Krystyny do biura administracyjnego nie jest dobry. Dla niej stanowisko kierownicze w biurze nie będzie awansem, a degradacją. Gdy zajmę jej miejsce, zacznie się lawina plotek i zawiści. Znam ją. Nie chcę mieć w niej wroga. Tobie też nie radzę. Nie omieszka rozgłosić szczegółów waszych popołudniowych spotkań.

– Już dłużej nie zniosę jej nachalności. Postępuję tak, jak radziłaś. To nic nie daje. Ty wiesz, że ona wczoraj weszła z tacą z herbatą i zamknęła za sobą drzwi, przekręcając klucz! Bluzkę miała rozpiętą. Była bez stanika. I ten jej okropny lubieżny uśmiech – powiedział to ze wstrętem i dodał: – Wybawił mnie telefon. Sam odebrałem, sam – podkreślił. – Dzwonił Krzysiek. Pytał, czy nasze spotkanie we czworo jest

aktualne. Odpowiedziałem: „Tak, oczywiście”, a gdy odłożył słuchawkę, dodałem: „Już idę” i wstałem. Ona musi być nim-fomanką. – Był wyraźnie zniesmaczony.

– I pomyśleć, że jeszcze niedawno chętnie korzystałeś z jej usług – wtrąciłam nie bez ironii.

– Dorota, proszę, ani słowa więcej na jej temat – zde-nerwował się i zagroził: – Bo zwolnię ją w trybie natychmiastowym.

– Żartowałam. Uspokój się. Poczekajmy jeszcze trochę. Mam propozycję. Po obiedzie idziemy do galerii. Widziałam śliczny, elegancki kostium. W sam raz na wizytę u twoich rodziców. – Wstałam z fotela, chcąc wejść do mieszkania.

Złapał mnie za rękę, przyciągnął do siebie i „zagruchał”:

– Pamiętasz, co obiecałaś śpiewakowi? On chce tu i teraz. No chodź.

Przybrał wygodną pozycję na fotelu.

Robert lubił ptaki. Ze swojego okazu był bardzo dumny. Niestety, jego żona nie tylko nie szanowała jego rodziców, lecz także nie umiała się obchodzić ze śpiewakiem, wpuszczając go do swojej klatki tylko od czasu do czasu. Śpiewak potrzebował zmian. Lubiał różne rodzaje klatek. Z pachy z pracującym przedramieniem. Pod kolanem z piętą przyciągniętą do uda. I oczywiście, jak wszystkie ptaki i ptaszki, tę, w której figlował z przyjaciółmi – językiem, zębami i wargami. Bawiąc się ze śpiewakiem, myślałam, jak rozwiązać problem Krystyny. Od pewnego czasu napomykała, że zaczyna mieć dosyć prezesa.

– Dorota, to się staje nudne. Ten erotoman ma coraz większe wymagania. Mnie to już obrzydło – mówiąc, przyglądała się sobie w lusterku. – Cholera, powieki mi zaczy-

nają opadać. Muszę je podciągnąć. Chodź, zobacz! – krzyknęła z przerażeniem.

– Nic nie widzę, naprawdę. Wydaje ci się – odpowiedziałam, oglądając dokładnie jej gładkie, napięte powieki. – Krystyna, ciągle mówisz, że chciałybyś być szczęśliwa. Nie mogę z ciebie wydobyć, co masz na myśli. Forsy masz aż za dużo. Świat zwiedziłaś. Chałupa piękna. Na stałe z nikim nie jesteś, jak mówisz, z własnego wyboru. Czego właściwie chcesz? – pytałam wyraźnie podirytowanym tonem.

– Rżnięcia. Prawdziwego rżnięcia. Takiego, żeby mi było wreszcie dobrze. Zajebicie – powiedziała to z takim żarem w głosie, że poczułam się głupio.

– Jak to? Ciągle z kimś sypiasz – zapytałam całkowicie zaskoczona tym, co usłyszałam.

– Tak. Ze starymi dziadami. Gdy trafi się młodszy, to też ledwie wejdzie, a już wychodzi. A ja bym chciała raz za razem. I najlepiej z paroma. Wtedy wreszcie poczułabym się zaspokojona. I co? Zgorszyłam cię pewnie? – Wstała i poszła do okna, odwracając się do mnie tyłem.

Przypominając sobie rozmowę z Krychą, cały czas z zaangażowaniem zabawiałam śpiewaka. Wypuściłam go z klatki. Trzymając w ręku, żeby nie odfrunął, umożliwiłam zaśpiewanie pełnym głosem. Robert całował moją głowę, przy każdym pocałunku wykrzykując: „Wspaniale, bosko, jeszcze lepiej, Dorotko, kocham cię”. W duecie z ptakiem zaśpiewał: „Umieram” i padł wyczerpany. Padli wyczerpani. Jeden i drugi. Napiłam się soku. Zapaliłam. Kołatały klepki. Wszystkie pięć. Plan zrobienia dobrego uczynku stawał się coraz precyzyjniejszy. Krystynie będzie dobrze. Ja zajmę bez problemów miejsce przy jej biurku.

– Robercie, obudź się. Drzemałeś pół godziny. Bierz prysznic i wychodzimy.

– Oczywiście, Dorotko. Za kwadrans jestem gotowy do wyjścia. Pomyśl, czy do kostiumu nie trzeba kupić pasujących butów i torebki – podsunął, całując mnie w policzek...

Przyjęcie pożegnalne Krystyna zorganizowała w bardzo drogiej restauracji. Obecni byli oczywiście: prezes, wiceprezes, dyrektor kadr i główny księgowy. Z kobiet zaprosiła tylko mnie.

– Panie prezesie, jeszcze raz dziękuję, że zgodził się pan na skrócenie okresu wypowiedzenia. Ten wyjazd jest dla mnie życiową szansą. Bardzo dziękuję.

Dziękowała wszystkim po kolei. Oczywiście z zachowaniem odpowiedniej kolejności. Na końcu podziękowała mnie.

– Pani Dorocie, to znaczy Dorocie, bo jesteśmy po imieniu, bardzo dziękuję, że była mi pomocna we wszystkim. Napijmy się. – Podniosła kieliszek, za nią reszta.

Wszyscy skupili się na jedzeniu. Krystyna na każdym z mężczyzn. Bardzo chciała, żeby ją zapamiętali. Obiecowała, że będzie dzwoniła. Podtrzymywała kontakt. Miała klapki na oczach niepozwalające dostrzec ich uników. Ulgi, że odchodzi. Zabawiała panów, na mnie nie zwracając uwagi. Nie przeszkadzało mi to. Byłam z siebie zadowolona.

Uszcześliwiłam ją, spełniając jej marzenia. Pomogli mi oczywiście Piotrek i Wojtek. Uzgodniliśmy szczegóły. Ma być dwóch bysi. Muskularnych. Silnych i napalonych. Dostaną forszę. Mają rznąć ją po kolei. Jeden kończy, drugi zaczyna. Mogą we dwóch. Wszystko dozwolone. Warunek.

Nie ma bicia. Jej nie robią krzywdy. Piotrek z Wojtkiem obserwują. Pilnują, żeby nie posunęli się za daleko. Nagrywają. Fotografują. Zdjęcia wysyłają do niej, ale na adres akademii. Informują, że kasetą z nagraniem czeka. Nic więcej. Piotrek zadzwonił za trzy dni.

– Dorota, oni chcieliby doprecyzować – jąkał się.

– To znaczy? O co im chodzi? Ile forsy?

– Nie, na ile mają iść na całość? – nadal mówił niejasno.

– Piotrek, mów konkretnie – ponagliłam go. – Nie rozumiem, o co pytają.

– Noo... Czy wszystkie otwory mają uszczelnić? – wydukał.

– Wszystkie – zaśmiałam się. – Tylko niech uważają, żeby szybek nie powybijają. Nowe, świeżo wstawione – dodałam już całkowicie rozbawiona.

Podał nazwę klubu, w którym mieliśmy się spotkać. Ją zabiorą do chaty jednego z muskularnych.

– Pewnie, że chcę. Mam ochotę zaszaleć. – Krystyna była zachwycona moją propozycją pójścia do klubu. – Tam jest świetna muzyka. Bardzo dobre drinki. O której idziemy? O dwudziestej pierwszej?

– Jak chcesz. Proszę, nie przesadź z pićm. Ostatnio o mało film ci się nie urwał – uprzedziłam uczciwie.

Zawsze uprzedzałam. Tylko brata nie. Przecież nie mogłam mówić bez pozwolenia.

– Chcesz mi popsuć dobry humor. Nie zrzędź. Wiem, co robię – strofowała mnie.

Piłam swoją ulubioną piña coladę. Biały rum, likier kokosowy, sok ananasowy, śmietanka i kruszony lód. Krystyna zaczęła od piwa. Potem zamówiła Moskiewskiego Mieszkańca, czyli wódkę z sokiem cytrynowym i imbirowym

napojem musującym. Pijąc, patrzyła rozmarzonym wzrokiem na tańczących.

– Chodź, potańczymy.

– Za chwilę dołączę. Wypiję. Nie zostawiam niedopitego drinka. Z ostrożności.

Po dziesięciu minutach już spokojnie, paląc papierosa, obserwowałam zachwyconą Krystynę. Tańczyła z prawdziwym macho. W siłowni spędzał na pewno wiele godzin. Tatuaż na każdym bicepsie. I łysa głowa. Wyglądała przy nim jak piórko. Przyjmowała pozy uwydatniające biust i krągłą pupę. Ocierała się o niego, będąc prawie w siódmym niebie. Przeprowadziła go do mnie.

– Dorota, poznaj, to Zbych. – Mrugnęła z zadowoleniem.

– Miło mi. Dorota. – Podałam mu rękę i pożałowałam. Myślałam, że mi ją zgniecie.

Zamówili po pięćdziesiątce i po piwie. Podszedł drugi. Przywitał się ze Zbychem. Potem z nami. I został.

– Krysiu, chodźmy do toalety. – Pociągnęłam opierającą się Krystynę. Po drodze zdecydowałam: – Wychodzimy. To podejrzane typy. Mogą nam zrobić coś złego.

– Chcesz, to idź. Ja mam nadzieję na wspaniałą zabawę – odpowiedziała, poprawiając makijaż. – Nie zdecydowałam się jeszcze z którym.

– Krycha, jeszcze raz proszę. Wyjdź ze mną.

Wyszłam sama. Próbowałam. Jest dorosła. Wie, co robi. Na drugi dzień nie przyszła do pracy. Zadzwoiła, że źle się czuje. Grypa. Dwa, trzy dni jej nie będzie. Prosiła, że bym ją zastąpiła. Mogłam, bo mój szef był w delegacji. Z Małgorzatą. Przyszła i od razu dała mi znać, że musimy porozmawiać.

- Dorota, nie wyobrażasz sobie, co mi się przytrafiło.
- Opowiedziała. Dokładnie. Zachwycona. Jeszcze obolała.
- Warto było – zakończyła.
 - Kryśka, czujesz się z tym dobrze. To najważniejsze. Jest do ciebie przesyłka. – Podałam jej kopertę.
 - Otworzyła. Wyjęła zdjęcia. Zbladła. Przeczytała kartkę. Zaczęła płakać.
 - Co się stało? Co to jest? – dopytywałam pełna troski.
 - Zobacz sama. – Podała mi zawartość.
 - Obejrzałam, przeczytałam.
 - O Boże! W coś ty się wplątała? Uprzedzałam, że to podejrzane typy.
 - Lepiej pomóż. Co mam zrobić? Gdy prasa się dowie, ojciec będzie skompromitowany. Wymyśl coś. Ratuuj. – Była naprawdę przerażona.
 - Poczekaj. Nie panikujmy. Mają taśmę. Chwaliłaś się, czyją jesteś córką?
 - Nie, nigdy tego nie robię. Nie jestem głupia – obruszyła się już trochę spokojniejsza.
 - Widzisz. Może nie wiedzą. Pewnie chodzi o forszę. Albo chcą ci zaproponować granie w pornosach. – Obserwowałam jej reakcję. Była wystarczająco przerażona. – Może zawiadomić policję? – zasugerowałam, wiedząc, jak zareaguje.
 - Dorota, nie, w żadnym wypadku. Mógłby być przeciek do prasy. Szukaj innego rozwiązania.
 - Krysiu, miałaś dwa marzenia. Jedno ci się spełniło. Niestety, z dalszymi skutkami. Ale chciałaś dostać kopa, żeby się wynieść z akademii. Daj mi te zdjęcia i list. Mam znajomego, jeszcze z lat szkolnych. Szemrany typ, ale ma u mnie dług do spłacenia. Pójdę z nim do klubu. Jest szansa, że się znają. Wydusi z nich taśmę i film. Ile możesz zapłacić?

– Ile będą chcieli. Aby tylko odzyskać nagranie i mieć pewność, że nie mają kopii.

– Krysiu, pewności nigdy się nie ma. Oddadzą oryginały. Nie wiadomo, czy nie zrobili kopii. Masz ciotkę w Anglii. Mówiłaś, że chce, żebyś przyjechała. Załatw z prezesem, żeby się zgodził na twoje odejście bez okresu wypowiedzenia, z przyczyn rodzinnych. Wyjedź. Nie będą mieli kogo szantażować. Zrezygnują.

Taśmy i film odzyskałam. Za dziesięć tysięcy złotych. Była uszczęśliwiona. Chłopaki też. Mieli „taką dupę” i jeszcze forszę.

Dziękowała i żartowała:

– Nie taki diabeł straszny. Wyjeżdżam mądrzejsza. Czegoś się nauczyłam.

Sięgnęłam po wodę.

– Pani Doroto, widzę, że jest pani smutno, że koleżanka nas opuszcza – zagadnął mnie prezes z poważną miną i jak najbardziej poważnym tonem.

– Wszystkim nam będzie brakować Krystyny, panu też, panie prezesie. Wznoszę toast za jej pomyślność. – Podniosłam kieliszek. Wypiliśmy. Wszyscy podziękowali wszystkim.

Tę noc miałam spokojną. Jak zawsze po szczęśliwym doprowadzeniu sprawy do końca. Nie musiałam brać proszków.

– Zwyciężaj dobrem, zawsze, wszędzie, w każdej sytuacji – zasnęłam, powtarzając te słowa...

E-mail nr 9

...Progne subis. Życzysz szczęścia Calineczce. Może powinienś życzyć go Róży? Bo teraz tak się do niej zwracają. Rózo. Różyczko. Kwiatuszku. Prawda, że ładnie? Trafione imię. Wiesz już,

że sama czuła się różą. Nie wiesz, że adenium. Różą z miejsca suchego i gorącego. Urodzoną w ciemnościach. Z zasolonych wód. Zlepek minerałów, którym zabrakło wody. Dobry wiatr lituje się nad nią. Wywiewa piasek, żeby mogła poczuć ciepło słońca.

Dobry uczynek często zamienia się w zło. W promieniach słonecznych róża rozrasta się – wzdłuż, wszcz i w górę (przekracza metr, czasem waży kilkaset kilogramów).

Zły uczynek zamienia się w dobro. Róża staje się coraz piękniejsza. Skupione kryształy przybierają kształt płatków o różnych odcieniach. Piaskowa barwa jest gdzieś czerwonawa, różowawa, czasami brunatna. Raz połyskuje w słońcu, innym razem przypomina perłę. Niekiedy matowieje.

Dobro zamienia się w zło. Róża jest pięknym... kamieniem. Ma serce z kamienia, które jednak bardzo łatwo rozłupać.

– Tak – westchnęła Calineczka. Leciutko, prawie niezauważalnie, tak że nawet powietrze nie drgnęło. Ona była malutka i duża jednocześnie. – Róża pustynna. Róża gipsowa. Róża kamienna, to imię do mnie pasuje.

Jej jaskółeczka – ta, która po wycieczce do Tokio miała miejsce w jej sercu razem ze swoją Miłością – przez całe wesele nie dawała jej spokoju:

– Coś ty zrobiła, Calineczko? Tak nie można! – krzyczała.

– Źle robisz. Jeszcze się możesz zatrzymać – dodawała Miłość jaskółki.

Calineczka oganiała się od nich:

– Dajcie mi spokój. Muszę działać zgodnie z planem. Muszę przyśpieszyć koronację. Jestem coraz bardziej zniecierpliwiona oczekiwaniem. Przez to zacznę popełniać błędy. Prawda, piękno i dobroć zawierają dla skończonego człowieka pełne objawienie Boskiej rzeczywistości. Skończonego! Muszę dać sobie szansę na uczynienie największego dobra. Muszę odnaleźć

matkę. I mieć córeczkę. We troje, tyle razy o tym rozmawialiśmy, nie mogliśmy stworzyć szczęśliwej rodziny. Siedźcie cicho i nie przeszkadzajcie. Rozumiecie?!

Po dziewięciu miesiącach dostała najpiękniejszy prezent od swojego męża...

Rozwinięcie do e-maila nr 9

– Dorota, zrozum, nie przekonam staruszków. Matka ciągle mi powtarza, że po jej śmierci zrobię, co zechcę. Oni mnie tak kochają. Mam tylko ich – przekonywał mnie Robert po raz enty. – Poczekajmy jeszcze. To starzy ludzie. Niewiele lat im zostało. – Widząc, że się nie odzywam, nie reaguję, dodał: – Tak się cieszę, że matka cię zaakceptowała. Mówi, że już od pierwszego spotkania zauważyła po twoim zachowaniu, że pochodzisz z porządnej, katolickiej rodziny. Jesteś dobrze wychowana, potrafisz uszanować starszych. Naprawdę się jej spodobałaś. – Podszedł do mnie, próbując się przytulić.

– Nie na tyle, żebym została twoją żoną. – Wstałam, odsunęłam go i przesiadłam się jak najdalej.

– Ja według matki jestem żonaty. Ślub kościelny jest na całe życie.

– Czyli mam czekać na śmierć twojej byłej albo twojej matki? – krzyczałam, wściekła. Mogłam sobie na to pozwolić. Ufortyfikowałam teren. Byłam bezpieczna. – Uszanuję pogląd twojej mamy. Ma rację. Pochodzę z porządnej, katolickiej rodziny. Ja też jestem katoliczką. Będziemy ze sobą, ale bez kontaktów seksualnych. To grzech. Te dopiero po ślubie – mówiłam słodziutkim głosem, podchodząc do niego i przytulając się: – Tylko jakie to będzie trudne. Jak ja

wytrzymam bez treli śpiewaka. To będzie męczarnia. Chyba musimy się rzadziej widywać. Nie zapanuję nad sobą.

Rozpięłam mu rozporek i dostawszy się do śpiewaka, ścisnęłam i jego, i gniazdo. Ocierałam się przy tym pierśmi o Roberta. Objął mnie mocno jedną ręką. Podstawił krzesło, żebym oparła nogę, i dostał się do klatki palcami. Parę minut i śpiewak był gotowy do wyfrunięcia. Wyciągnęłam rękę i swoją, i jego. Odsunęłam się, siadając na krześle, i powiedziałam z płaczem:

– Nie, nie możemy. Ja też nie mogę grzeszyć. Poczekajmy do ślubu.

– Dorota, tak nie można. Jak ty mnie traktujesz? – myślał już tylko o jednym.

– Kochany mój, a jak ty traktujesz mnie? – chlifałam.

Wkładając rękę między swoje nogi udawałam, że muszę się zaspokoić sama.

– Dorota, chodź, ucałuj go. Obiecuję, że znajdę rozwiązanie.

– Naprawdę? Robercie kochany. – Już byłam, całowałam, pieściłam, wykrzykując co chwila: „Mój ty najśliczniejszy, najwspanialszy operowy śpiewaku”.

Dwa miesiące później byłam mężatką. Ślub z przepychem godnym królowej. Ja korony nie chciałam. Robert, dumny, słuchał komentarzy podpitych gości: „Pan prezes zerwał najpiękniejszą różę. Taką młodziutką. Świeżutką. Jest pan szczęściarzem”. „Tak, od dziś to jest moja Róża”. Był dumny, niczym zdobywca cennego trofeum. Małeńki zgrzyt – bez błogosławieństwa rodziców. Bez ich obecności. Bez prawa wstępu do ich domu. Za to z dostępem do kont mojego męża...

Jeszcze miałam trochę czasu, tym bardziej, że uaktualniłam plany. Moja koronacja miała być jednocześnie dniem uszczęśliwienia poddanych. Musiałam odwdziżyć się matce. Sprawić, żeby była szczęśliwa. Mojemu bratu, za całe dobro, które otrzymałam. Mojemu nigdy nie-poczętemu dziecku, które mimo to żyło w Alusi i potrzebowało pomocy. Ja miałam siłę daną od Boga. Ksiądz mówił: „Pamiętaj, dziecko, Pan Bóg daje owieczkom siłę do spełniania uczynków zasługujących na królestwo niebieskie. Wszystko, co czynimy, czynimy z Jego łaską”. Pocieszając mnie po śmierci rodziców, powiedział, że to cierpienie Bóg zesłał dla mojego zbawienia. W czasie mszy niedzielnej w kazaniu o cierpieniu patrzył z ambony w moją stronę, gdy mówił: „Św. Łukasz pisał o prorokini Annie dotkniętej nieszczęściem. Zmarł jej ukochany mąż. Jego śmierć stała się dla niej błogosławieństwem. Wolna od prac domowych mogła poświęcić czas na modlitwy w świątyni. I stała się godna zostania prorokinią”.

Mnie wyznaczono inną drogę ku zbawieniu. Dobrocią dążyć do stania się godną koronacji. Potem za karę – za moją pychę, za zapomnienie o najważniejszym celu – dorzucono zapewnienie bezpieczeństwa najbliższymi. „Boże, pomóż mi uszczęśliwić rodziców Roberta”, modliłam się. „Jego spróbuję sama”...

– Żonko, przejrzyj te katalogi. Mam już ekipę. Zrobią remont. Będzie tak, jak chciałaś. Wyburzą ścianki. Rozprowadzą oświetlenie. Potem łazienki. Tylko musisz zdecydować. Pojedziemy wybrać i zapłacę. Gdy wrócę, pomogę ci. Dasz sobie radę? – martwił się mój bardzo troskliwy małżonek.

– Oczywiście. Twoja żona to dzielna kobieta. Poradzi sobie ze wszystkim. Gorzej z twoją małą dziewczynką. Będzie bardzo tęskniła. Wiesz, że bez dydusia ciężko jej zasnąć.

– To dobrze, że masz dużo zajęć. Nie będziesz miała czasu i siły na szukanie innego smoczka. – Roześmiał się, grożąc mi palcem. – Wynagrodzę ci to po przyjeździe. Chodź. Masz pół godziny. Zamówiłem kierowcę.

Wykorzystałam czas. Czasu nie można marnować.

W dwa dni po wyjeździe zadzwonił przerażony:

– Dorota, z moją mamą jest źle. Dzwonił ojciec. Był roztrzęsiony. Jedź. Pomóż im. Zrób to dla mnie.

– Oczywiście. Już tam jadę. Uspokój się. Zadbam jak o swoich rodziców. Zadzwonię – zapewniałam z całym przekonaniem.

Pojechałam natychmiast. Nie byli zachwyceni moją wizytą. Dopiero gdy powiedziałam, że przysłał mnie Robert, zaczęli tolerować.

– Martwi się i czeka na mój telefon. Mam mu powiedzieć, co u was – tłumaczyłam.

Uspokoili się. Trochę.

– Nic nam nie jest. Przejdzie. Kłopoty z żołądkiem – powiedziała matka, patrząc na mnie z niechęcią. – Zwyczajne w naszym wieku. Jak to u starych ludzi.

– Od kiedy się źle czujecie? – dopytywałam.

– Od rana.

– Co was boli? Jakie są objawy?

Wzruszyła ramionami i łapiąc się za brzuch, potruchtała do łazienki.

– Dorota, wymiotowaliśmy. I ją, i mnie boli brzuch. Krople nie pomagają. Mamy biegunkę. Może byś poszła do apteki i kupiła jakieś proszki.

– Co jedliście? To na pewno zatrucie.

– Ja nie truję swoją kuchnią.

Usłyszała moje słowa. Zauważyłam, że jej twarz jest zażółcona. Przyjrzałam się ojcu Roberta. Miał zażółcone oczy.

– Może zatruliście się grzybami? – spytałam.

– Jedliśmy dwa dni temu! – miała się krzyknąć. – A boli nas dziś. Jeśli masz nas obrażać, lepiej wyjdź. – Pokazała na drzwi, sama kładąc się na wersalce.

Wchodząc do kuchni, usłyszałam, jak szepcze do męża:

– Modłę się do Boga codziennie, żeby się nad nami zlitował i nie dał dłużej patrzeć na grzechy naszego syna. Teraz muszę jeszcze tolerować tę kochanicę. Boże, zabierz mnie z tego padołu.

I zaczęła się modlić.

Zajrzałam do lodówki. W garnuszku była porcja grzybków w śmietanie. Ich ulubionych. Mrozili w lecie, żeby później raczyć się ich smakiem. Przypomniałam sobie słowa i prośbę jego matki. Ilekroć pytałam jako dziecko wielu osób, co mam zrobić, żeby zasłużyć na miłość mamy i ojca, zawsze słyszałam: „Módl się, a zostaniesz wysłuchana”. Nie mogłam sprzeciwić się woli Pana.

Ze względu na Roberta musiałam im pomóc. Wstyd by im było, gdyby obcy zobaczyli ten bałagan. Wyrzuciłam grzyby. Odpadki z lodówki. Pozmywałam, doszorowałam kuchenkę z przypalonych resztek. Zostawiłam biały ser. Dwie świeżutkie parówki. Pół chleba. Suchary. Nic z tych produktów nie mogło być przyczyną zatrucia. Wróciłam do pokoju. Ojciec spał. Mimo półmroku widziałam, że twarz ma pomarańczowo-żółtą. Dziwnie oddychał. Nachyliłam się. Wyczułam nieprzyjemny, kwaśny zapach. Zadzwoiłam do Roberta.

– Kochanie, jestem u twoich rodziców. Posprzątałam trochę w kuchni. Mama mówi, że to niedyspozycja żołądkowa. Każe mi iść do domu. Tak, już daję.

Podaliśmy jej słuchawkę.

– Nie, nie chcę jej pomocy. Po co? Żeby mi się szwendała po mieszkaniu i lustrowała, co mam w garnkach? Niech sobie idzie. Wracasz jutro? No to przyjedź od razu i zobaczymy. Powiedziałam, nie chcę. Mam krople.

Oddała telefon.

– Nie znam się – powiedziałam. – Może najlepiej byłoby wezwać lekarza albo pogotowie? Dobrze. Wracaj, sam zadziałasz. Ja też cię kocham. Tak, bardzo cię kocham. Bardzo. – To już mówiłam, gdy się rozłączył. Chciałam, żeby wiedziała, że jej syn jest ze mną szczęśliwy.

– Do widzenia – powiedziałam, wychodząc.

– Żegnaj – odpowiedziała.

Widocznie wiedziała, co mówi...

Pięć dni później odbył się pogrzeb. Obojga. Robert wrócił następnego dnia po południu. Wieczorem pojechał do rodziców. Leżeli nieprzytomni. Wezwał pogotowie. Zabrali ich do szpitala. Było za późno. Wszystko wskazywało na zatrucie, najprawdopodobniej grzybami. Potwierdził, że często jedli grzyby, które sami zbierali i przygotowywali do późniejszego spożycia.

– Miałaś rację, żeby wezwać lekarza. Nie mogę sobie darować, że ustąpiłem matce. – Miał wyrzuty sumienia.

– I tak by to nic nie dało. Znasz matkę, wyprosiłaby lekarza za drzwi. Siła wyższa. Widocznie tak było im sądzone. Chodźmy. Robi się zimno.

Wzięłam go pod rękę i odeszliśmy od grobu.

„Kochani synowie”, pomyślałam. Pan kierownik prawie nad trumną przebierał nogami, żeby zaciągnąć mnie do łóżka. Robert nie robił sobie wyrzutów, że nie pojechał do nich od razu po przyjeździe. Powiedziałam: „Najpierw jedź do rodziców”. Nie mógł. Miał ważne sprawy. Musiał przywitać się z żoną. To zajęło dłuższą chwilę. Skontrolować, co zrobili w tym czasie fachowcy. To nie mogło czekać. Wyszliśmy z cmentarza...

Czułam się coraz bardziej niespokojna. Podminowana. Podekscytowana. Siedziałam w Niebie i omawiałam szczegóły z dziewczynami.

– Dorotko-idiotko, już niedługo będzie ci dobrze. Nie będziesz się już bała zamknąć oczu.

– Alicjo, ty będziesz żyła bezpiecznie w swojej Krainie Czarów.

– A ja?

– Ty, Calineczko, zobaczysz swoją matkę szczęśliwą. Dorota będzie mogła wreszcie się wyspać. Bez proszków. Bez strachu.

– A ty?

– A ja odpocznę. Jestem zmęczona. Z Bogiem poczekam na wieczne szczęście.

Już niecały rok. Sprawy spadkowe zajmą około pół roku. Można przyspieszyć. Wszystkie formalności załatwię u notariusza Adama. Wiem, że można mu ufać. Najwyższy czas na finalizację ostatniego punktu programu. Wszystko przygotowane do koronacji. Korona, berło i jabłko są. Ob-
rus jest. Suknia jest. Odfajkowałyśmy na kartce. Szampan jest. W wystarczającej ilości. Kieliszki piękne. Kryształowe. Ręcznie zdobione. Sama zamówiłam. Ozdobne bileciki

w kształcie aniołów z imionami gości też. Kwiaty kupię w ostatniej chwili. Prześpijmy się. Wyskoczyłam z pracy na dwie godziny. Muszę wrócić...

– Robert, rozumiem. Żałoba. Zaproś chociaż Krzyśka z Gochą. Posiedzimy. Zjemy coś. Napijemy się. To wypada – podpowiadałam, żeby go trochę rozerwać.

– Wypada? Na pewno? – dopytywał, podchodząc do telefonu.

– Oczywiście, głuptasie. Im możesz zaufać. Zresztą trzy miesiące minęły.

Dzwonił. Wiedziałam, że Małgośka zerwała znajomość z Krzyśkiem. Przyjeżdża bardzo rzadko. Spotykamy się w tajemnicy na dwie godzinki na mieście. Teraz wyjechała ze swoim do Anglii na pół roku.

– Zaprosiłem samego Krzyśka. Małgosi wypadł jakiś służbowy wyjazd do Anglii i już dawno jej nie było. Mówiła ci?

– Nie, dawno nie dzwoniła. Widocznie jest zalatana. Świetnie, że przyjdzie Krzysiek. Pogadacie, dobrze ci to zrobi. Przygotuję małe co nieco.

Przechodząc, przytuliłam go, bo było mi go żal. Lubił imprezować i męczyło go siedzenie w domu, ale bał się, że obsmarują mu tyłek.

– Jaka ty jesteś dla mnie dobra. Co ja bym bez ciebie zrobił? – Zaczął mnie całować w głowę, czoło, nos, policzki, brodę, chcąc zejść niżej.

– Daj spokój. On zaraz przyjdzie. Później poszalejemy.

Wieczór był bardzo miły. Zostawiłam panów, żeby czuli się swobodnie. Poszłam poczytać. Musiałam pomyśleć. Wczoraj byłam w kościele. Do spowiedzi nie chodzę. Życie

z cywilnym małżonkiem to grzech. Nie dostałabym rozgrzeszenia. Szukałam pomocy. Analizowałam słowa, które padły z ambony: „W Nowym Testamencie czytamy słowa św. Pawła z Tarsu. Weź udział w trudach i przeciwnościach – jako dobry żołnierz Jezusa Chrystusa!”. Ksiądz zakończył kazanie, mówiąc: „Pamiętajcie, serce człowieka obmyśla drogę, lecz Pan utwierdza kroki”.

Wszystko już było jasne. Muszę pokonać ostatnią przeszkodę. Jestem dobrym żołnierzem. Muszę tylko wymyślić sposób. Pan, gdy uzna, że to słuszna droga, zatwierdzi.

Dochodziły do mnie słowa męża: „Ja wszystko mogę”. Już był na drugim etapie picia. Odpowiedź Krzyśka: „Nie stawiaj się, jeszcze zobaczymy, kto może więcej” uświadomiła mi, że czas wkroczyć i zakończyć imprezę. I w tym momencie już wiedziałam, jaką drogę wybrać. Weszłam do pokoju.

– Kochani, jutro też jest dzień. Robert, jestem śpiąca, bez ciebie się nie położę – zapewniłam, siadając mu na kolanach. Nie lubił, żebym przy innych mówiła mu, co ma robić. Uwielbiał, żebym przy innych pokazywała, jak mi na nim zależy. – Krzysiu, nie pogadałam z tobą. Bardzo bym chciała. – Spojrzeniem dałam mu do zrozumienia, że może nie tylko porozmawiać. – Wpadnij jutro – dokończyłam. – Robercie, siedź, kochanie, ja odprowadzę Krzyśka do drzwi i pozamykam.

Gdy Krzysiek na do widzenia czule całował moją dłoń, głośno powiedziałam:

– Wpadaj do nas często. Robertowi przyda się trochę pogadać na luzie. – Cicho dodałam: – Mnie też, z tobą. – Przesłałam mu całusa.

W pracy Krzysio często zaglądał do mojego szefa, poważnie wtedy, gdy wiedział, że go nie ma. Nie ma się co

dziwić. Byli przecież przyjaciółmi. Rozstanie z Małgosią nawiązało jego chęć przebywania ze mną. Do tej pory udawałam, że nie rozumiem jego aluzji. Przyszedł właściwy czas, żeby zacząć je zauważać. I dawać malutką nadzieję na wzajemność. Do Roberta, korzystając z mojego serdecznego zaproszenia, wpadał teraz prawie codziennie. Gadaliśmy. Piliśmy. Dużo pili. Mój mąż zaczął zauważać spojrzenia, jakimi obrzucał mnie Krzysiek.

– Nie dla psa kiełbasa. Nie śliń się. – Gestem pana przyciągnął mnie do siebie, posadził na kolanach i chwalił się:
– To mój krzaczek, moja różyczka, mój wazonik.

– Robert, napijmy się. Zmień temat. Twój czas też nadzieje, Krzysiu – powiedziałam, żeby załagodzić sytuację.

– Liczę na to i czekam cierpliwie – odpowiedział, patrząc na mnie porozumiewawczo. – A ty nie traktuj Doroty jak przedmiotu, który jest twoją własnością, to jej uwłacza – pouczył Roberta.

– Nie będziesz mi mówić, jak mam traktować własną żonę. Mnie wszystko wolno, w przeciwieństwie do ciebie.
– Robert wypił duszkiem następną setkę. Odstawił kieliszek. Rozpiął mi bluzkę. Odkrył moje nagie piersi i powiedział: – Możesz sobie popatrzeć. Ja mogę possać! – Przywarł ustami do mojego sutka.

Patrzyłam na Krzyśka wzrokiem zranionej sarny. Uwięzionej w potrzasku. Widziałam, że niewiele potrzeba. Główni aktorzy byli wspaniali. Wystarczyło podsunąć motyw w odpowiednim momencie i sami improwizowali, prowadząc akcję w zamierzonym kierunku. Krzysiek poderwał się z fotela, przewracając kieliszek. Próbował oderwać ode mnie Roberta, krzycząc:

– Jak ty ją traktujesz! Nie zasługujesz na nią!

Wysunęłam się z rąk męża i zapinając bluzkę, obserwowałam dwóch kogutów w uścisku. Mieli mocno w czubie. Musiałam zastąpić suflera.

– Robert. Krzysiek. Opanujcie się. Ale już! – krzyknęłam.

Zaskoczeni moim krzykiem, przestali. Patrzyli na mnie zdziwieni. Nigdy nie słyszeli u mnie takiego tonu. Robert osłupiał. Zrobił taką minę, jakbym to nie była ja. Jego potulna żona nigdy by się nie odważyła na taki ton.

– Popatrzcie na siebie. Dwóch przyjaciół. Trochę alkoholu i nie panujecie nad sobą. Panowie, starzejecie się – oceniłam, wyraźnie wypowiadając każde słowo. – Czas przestać pić – zakończyłam dobitnie.

Udało się. Teraz obaj atakowali mnie.

– Jak to się starzejemy? – Robert aż kipiał z oburzenia.

– Ja zawsze panuję nad ilością wypitego alkoholu – dodał Krzysiek, podchodząc i nalewając sobie wódki.

– Nalej i mnie – krzyknął Robert.

– Nie dam wam pić. Dostyc. Krzysiek, ty idź już do domu. Zamówiłam taksówkę.

– Wyrzucasz mojego przyjaciela! – Robert spojrzał na mnie z wściekłością. – Poczekaj, Krzychu, odcedzę się, założę marynarkę, wezmę kluczyki i cię odwiozę.

Dopił wódkę.

– Robert, nie możesz prowadzić. Jesteś zalany w trupa. Zabijesz się – powiedziałam, podprowadzając Krzyśka z kieliszkiem w ręku do drzwi. – Idź. Taksówka już czeka. Ja go uspokoję.

– Może i tak.

Wypił, oddał mi kieliszek i wyszedł.

Za chwilę pojawił się Robert z kluczykami w ręku. Miał do mnie pretensję.

– Gdzie Krzysiek? – wybełkotał.

– Pewnie wsiada do taksówki – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Dogonię go i odwiozę. Albo może pojedziemy się zabawić.

Odepchnął mnie, żebym nie tarasowała drzwi.

– Nie możesz. Jesteś pijany. Nie wolno ci.

– Tyle razy ci mówiłem. Ja wszystko mogę. Mnie wszystko wolno. I nie radzę mnie zatrzymywać. Bo pożałujesz.

Wyszedł.

Patrzyłam, jak schodzi, trzymając się poręczy, z trudem pokonując stopnie. Zamknęłam drzwi. Nie chciałam żałować. „Panie Boże, Ty zatwierdź lub nie”, pomyślałam. Otworzyłam okna. Smród papierosów i alkoholu był nieznośny. Posprzątałam. Pozmywałam. Prysznic. Szlafrok. Nalałam sobie lampkę koniaku. Zgasiłam światło i stanęłam w oknie, obserwując ulicę. Po niecałej godzinie podjechał radiowóz. Wsiadło dwóch policjantów. Dzwonek do drzwi. Odczekałam chwilę, przekręciłam zasuwkę ze słowami:

– Już otwieram, Robercie, jak dobrze, że jesteś.

Zamilkłam na ich widok.

– Pani Dorota Kotecka? – zapytał jeden z nich.

– Tak. A panowie? Myślałam, że to mąż.

Drugi pokazał legitymację i spytał:

– Możemy wejść?

– Oczywiście. Proszę do środka. – Zamknęłam drzwi.

– Czekam na męża, ale miałam się położyć. Przepraszam za strój. – Gestem pokazałam szlafrok. – Mąż zaraz będzie, proszę poczekać, tylko się ubiorę. – Nie dawałam im możliwości dojścia do głosu. – Niech panowie usiądą.

– Pani Doroto, proszę też usiąść. Mamy przykrą wiadomość. Pani mąż miał wypadek. Niestety śmiertelny – powiedział młodszy i z ostatnim słowem wypuścił resztę powietrza. Zrobił głęboki wdech i znów wypuścił. Widać było, że to jego pierwszy raz.

– To jakieś nieporozumienie, panowie. Mój mąż pojechał odwiedzić taksówką kolegę, który się źle poczuł. Zrobili sobie męski wieczór. Rozumieją panowie. Z wódeczką i wspomnieniami z wojska. Mówił, że odstawi go do domu i wróci. Powinien zaraz być.

Podeszłam do okna.

– Może do kogoś zadzwonimy? Powiadomimy, żeby nie była pani sama? – zaproponował starszy, podchodząc do mnie. – Pani Doroto, przykro mi. Muszę powtórzyć za kolegą. Pani mąż nie żyje. Kolega wsiadł do taksówki. Pani mąż gonił ich swoim samochodem. Kierowca taksówki widział, jak mąż zjechał z jezdni i uderzył w drzewo. Zginął na miejscu. Kolega pani męża był pijany w trupa. Kierowca odwiózł go do domu. Jutro złożą zeznania. Teraz panią zostawimy. Proszę przyjść jutro na komendę. Wszystko załatwimy. Proszę zamknąć za nami drzwi. – Podprowadził mnie i przed wyjściem dodał: – Najlepiej, gdyby zadzwoniła pani do kogoś z rodziny.

Zamknęłam drzwi. Dolałam sobie koniaku. Zatwierdziłam moją drogę. Dzięki Ci, Boże...

Krzysiek pomógł mi we wszystkich sprawach. Wyrzucał sobie, że nie zorientował się, że to Robert za nimi jedzie. Tłumaczył mi, że znał go lepiej niż ja i powinien wiedzieć, do czego jest zdolny po pijaku.

– Dorota, Robert nieraz wsiadał za kierownicę pijany.

Kiedyś wylądował w jeziorze. Rozbił dwa służbowe auta. Sam jest sobie winien.

– Próbowałam go przekonać. Zatrzymać. Odepchnął mnie – mówiłam samą prawdę, szczękając zębami. Dygotałam na całym ciele.

– Dziewczyno, jego by dwóch osiłków nie powstrzymało, a ty chciałaś, żeby tobie się udało? To niemożliwe – uspokajał mnie. – Co mogę zrobić? Mów. Możesz na mnie liczyć. We wszystkim.

– Wiem, Krzysiu. Zajmij się, proszę, formalnościami, ja nie mam do tego głowy...

I tak w dziewięć miesięcy po swoim ślubie zostałam wdową. Pogrzeb. Formalności. Postępowanie spadkowe. Notariusz był niezawodny. Taki miły człowiek. Nieoceniony Krzysztof wszystko sprawnie pozłatwiał. Dostałam urlop. Wszyscy rozumieli mój ból. Moją chęć izolacji. Tylko nie on. Nie był mi już potrzebny. Musiałam mu uczciwie powiedzieć, że nie zamierzam się z nikim, nawet z nim, wiązać. Był zaskoczony. Nie podejrzewał, że tak kochałam Roberta.

– Dorota, jesteś taka młodziutka. Nie rezygnuj z pracy. Nie zamykaj się w domu – przekonywał z dobroci serca.
– Nie uciekaj przed ludźmi. Przede mną.

Chciał dla mnie dobrze. Przy okazji dla siebie też. Normalne.

– Krzysztof, muszę wyjechać, odpocząć. Przemyśleć wszystko. Kochałam Roberta – mówiłam, chcąc, żeby zrozumiał, że nie ma szans.

– Dorota, zapomnisz. Odpocznij i wracaj. Do nas. Do mnie – nie dawał za wygraną. – Będę czekał.

– Posłuchaj mnie. Nie do ciebie. Jeżeli już, to do tego,

który dawno mnie wybrał – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy, żeby pomyślał, że rozważam tę drogę.

– Chcesz wstąpić do zakonu? – Przerażenie malujące się na jego twarzy było autentyczne. – Oszalałaś! Nie opędzisz się od księży – dodał ostateczny argument.

Musiałam się odciąć. Od wszystkich. Teraz muszę mieć czas na załatwienie swoich spraw...

E-mail nr 10

...*Progne subis*. Dziękuję ponownie za Twoje wiadomości. Twoja cierpliwość zostanie wynagrodzona. Dziś zakończenie bajki.

W bajce jak w życiu: przeznaczenie i łaska Boska mają wpływ na dalsze baju-baju. Minęło dziewięć miesięcy. Calineczka dostała wysniony prezent, ale też zmieniła postać. Przemieniła się w motyla – Czarną Wdowę. Źle, ale i dobrze.

Została niekoronowaną królową. Jej królestwo – Motylarnia – przypomina tropikalną dżunglę, gęszcz roślin, kolorowe kwiaty, wśród nich fruwa może nie piękny, ale delikatny w swej drapieźności motyl. Tak! W bajkach nie ma rzeczy niemożliwych. Motyl też może być drapieżny.

Calineczka ma ostatnie pragnienie. Zostać koronowaną. Ma już jabłko. Ma berło. Ma koronę. Ma szatę królewską. Nie ma diamentu. Diamentu miało nie być. To jej wymówka, niepewność, czy jest już gotowa. Ale jest. Insignia władzy królewskiej są. To właściwy czas na koronację. Miejsce wybrała dawno temu. Sala królewska jest już godna uroczystości. Ci, którzy mieli uświetnić tę chwilę, zostali zaproszeni. Uczta przygotowana. Program koronacji dopięty na ostatni guzik. Podarki dla odnalezionej matki, dla ukochanego brata i córki przygotowane. Tak, ma i córeczkę. Niepodobną do niej z wyglądu, ale sercem tak. Pokrewieństwo

duszy jest silniejsze od tego biologicznego. Wszystko przygotowane. Ona wystrojona. Szata, buciki, klejnoty.

Makijaż delikatny, ale dodający blasku. Królewskiego blasku. Już królowa, ale jeszcze bez korony, czeka na poddanych...

K o n i e c

Rozwinięcie do e-maila nr 10

Załatwiłam to, co najważniejsze. Spotkałam się z notariuszem Nowowiejskim. Był zaskoczony moją prośbą: „Pani Doroto, za wcześnie. Pani taka młodziutka”. Moja argumentacja, że Adam był młody, mój mąż wyszedł na chwilę, nikt nie jest pewny dnia ani godziny, nie przekonywała go. Dopiero gdy powiedziałam, że wyjeżdżam i strzeżonego Pan Bóg strzeże, zrozumiał. Dodałam, chcąc go uspokoić, że w moim stanie psychicznym jest mi to potrzebne do osiągnięcia równowagi. Pewności, że nie dam się więcej zaskoczyć losowi. Spisaliśmy wszystkie potrzebne dokumenty i upoważnienia. Zgodził się wziąć załatwienie wszystkiego na siebie, do końca. Honorarium miał sobie wypłacać z mojego konta, do którego dałam mu upoważnienie.

– Pani Doroto, mam nadzieję, że nie planuje pani nic głupiego? – spytał cicho i lekko zaniepokojony przyglądał mi się uważnie.

– Planuję. Daleki wyjazd. Do ciepłych krajów. Zasluzowałam na wakacje – roześmiałam się.

– Po powrocie proszę do mnie zajrzeć. Nawet tylko towarzysko – odpowiedział z uśmiechem.

– Oczywiście i proszę się o mnie nie martwić. Na pewno się zobaczymy.

Podałam mu rękę. Na do widzenia...

Został mi miesiąc. Spotkałam się z panią Danusią. Zaprosiłam ją na obiad do jednej z najdroższych restauracji. Już mogłam. Na początku były to małe, przytulne kawiarenki. Później restauracyjki na uboczu. Pomału oswajała się z nieznanymi sobie sytuacjami. Wkrótce zaczęła się cieszyć jak dziecko i za każdym razem chodziłyśmy do innego lokalu, a ja wybierałam te urządzone z przepychem. Dla niej spotkania ze mną stały się wyczekiwany wyjściem w świat. Właśnie tak mówiła: „Dorotko, od rana nie mogę się doczekać tego wyjścia w świat”.

Przy obiedzie zawsze rozmawiałyśmy tylko o tym, co mamy na talerzach i w kieliszkach. Starła się zapamiętać nazwy dań, wczytując się dokładnie w kartę, dopytywała, jak nazywa się dana potrawa, z czego się ją robi. Patrząc na jej rozpromienione oczy, podekscytowanie nastolatki i słysząc jej szczęśliwy śmiech, miałam wrażenie, że rodzę się na nowo i jeszcze tylko maleńka chwila dzieli mnie od wyczekiwanego od lat momentu: „Prawdziwa matka rozpozna we mnie swoją maleńką córeczkę”.

– Dorota, tak się cieszę, że ułożyłaś sobie życie. Że masz wspaniałego męża, dom, wreszcie nie klepiesz biedy. Należało ci się coś dobrego, moje dziecko. Powiedz, jesteś szczęśliwa?

Pani Danusia zawsze chciała mojego szczęścia.

– Jestem. Bardzo. Proszę się o mnie nie martwić. Co u pani? – dopytywałam jak zawsze.

Chciałam znać wszystkie szczegóły z jej życia.

– Ciasno, gwarno, biednie, ale wesoło – odpowiadała zawsze tak samo.

Dopiero po chwili mówiła o bolączkach dnia codziennego. W pięcioro. Razem z młodymi i z ich chorym dzieckiem.

– Najważniejsze, że jesteśmy razem. Możemy sobie pomóc – kończyła jak zwykle optymistycznie.

– Pani Danusiu, może potrzebuje pani pieniędzy? Pożyczę – pytałam, wiedząc, jaką otrzymam odpowiedź.

– Dorotko, te przekazy, o których ci mówiłam, dalej przychodzą. Korzystam z nich, tak jak mi radziłaś. Mimo to jestem niespokojna. Kto mi je przysyła? Dlaczego? To duża suma. Przychodzi regularnie co miesiąc.

– Pani Danusiu, może Święty Mikołaj? Może ktoś z rodziny? – Uśmiechnęłam się i biorąc ją za rękę, dodałam: – Mówiłam, proszę korzystać. Nie widzę w tym nic złego.

– A jeśli się odezwie i będzie chciał zwrotu?

– Tłumaczyłam już pani. Rozmawiałam z księgowym, z prawnikiem. Nie ma takiej możliwości. Proszę być spokojną. – Trzymałam ją za rękę i gładziłam uspokajająco.

– Wiesz, Dorotko, ja tak czasami myślę, nie śmieję się ze mnie... – Spojrzała na moją reakcję. – Myślę, że to za sprawą mojej małej, mojej córeczki. Wyprosiła u Pana Boga, żeby mi trochę pomógł – dodała i spojrzała, jak to przyjmę.

– Wszystko jest możliwe, pani Danusiu. Niezbadane są wyroki Boskie.

Nie poinformowałam jej, że jestem wdową. Po co niepotrzebnie miała się martwić. Musiałam podjechać do mieszkania Adama i Ewy. Dla mnie dalej było to ich mieszkanie. Powycierałam kurze. Wywietrzyłam. Przetarłam podłogi. Dobrze, że nie wstawiłam tu żadnego kwiatka. Nie musiałam przyjeżdżać podlewać. Nie chciałam wynajmować. Będzie źle, sytuacja mnie zmusi, może wtedy. Pieniądzy mi nie brakowało. Wychodziłam zadowolona.

Teraz miałam wreszcie czas zajrzeć do siebie. Nie na chwilę. Zamierzałam pomieszkać tu parę dni. Odpocząć

w Raju. Dawno nie widziałam się z Alą. Zaproszę ją na małe conieco i poleżymy, patrząc na morze. U niej teraz ciągle coś się dzieje. Dojrzewa. Ma mnóstwo pytań, rozterek, wątpliwości. Muszę z nią spokojnie porozmawiać. Nie śpiesząc się. Tak, żeby czuła, że naprawdę mam czas dla niej i tylko dla niej. Spotkać się z Piotrkiem i Wojtkiem. Od sprawy z Krystyną nie rozmawialiśmy.

Dopiero potem zajmę się dopieszczaniem swojego dnia. Dnia koronacji. Dnia moich wymarzonych urodzin...

To już jutro. Byłam tak bardzo podekscytowana. Zamówiłam róże. Najdłuższe, jakie tylko istnieją. Krwistoczerwone. Dwadzieścia pięć sztuk. I gwiazdę betlejemską. Do jednej doniczki mają wsadzić kilka. Tak, żeby tworzyły olbrzymią kulę. Nieważne, jak to zrobią i za ile. Ma wyglądać tak, jak sobie wymarzyłam. Fryzjera zamówiłam na rano. Goście zaproszeni. W kościele byłam. Mogłam już przystąpić do komunii. Byłam wdową. Ksiądz dał mi rozgrzeszenie. Mogłam zacząć nowe życie. Po Bożemu. Nie żyłam już w grzechu. Rachunek sumienia zrobiłam przed Panem Bogiem.

E-mail nr 11

...*Progne subis*. Dziś poniedziałek. Czekam na wiadomość od Ciebie. Przykro mi, bo to mój ostatni e-mail do Ciebie. Muszę wyjechać. Daleko. Sama. Szczęśliwa. Najszczęśliwsza. Dziękuję.

Na pożegnanie mam dla Ciebie prezent. Na moim laptopie, w „Moich dokumentach” jest plik podpisany: „*Progne subis*”. Przeczytaj. To rozwinięcie do moich e-maili. Podpowiedź do zrozumienia mojej bajki.

Zacytuję Ci pewną myśl, mając do Ciebie prośbę. G. G. Márquez: „Być może Bóg chciał, abyś poznał wielu złych ludzi, zanim poznasz tego dobrego, żebyś mógł go rozpoznać, kiedy on się w końcu pojawi”. Ty przytaczałeś: „Największym dobrem jest drugi człowiek”.

Dla mnie Ty jesteś tym człowiekiem. Dobrem. Nie zawieźdź mnie. Spełnij moją prośbę. Przed laptopem na stoliku zostawiam kopertę. Tam są wszystkie wskazówki. Nie mówię: „Żegnaj”, tylko „Do zobaczenia, kiedyś”. Calineczka.

P.S. Jestem pewna, że odezwie się do Ciebie jeden z moich gości. Co prawda niezaproszony, ale wiem, że przyjdzie. A raczej przyjdą. Zostaną wezwani. Zostawiam otwartą pocztę. Twój adres mailowy i prośbę, żeby się z Tobą skontaktowali. Dorota.

Za pół godziny powinni zacząć przychodzić. Błagałam o punktualność. Ostatni rzut okiem. Ułożyłam równo karteczki. Jedna się obsunęła. Poprawiłam róże. O Boże. Przeszłam szybko do kuchni. Chyba nie wyrzuciłam śmieci. Uff. Wyrzuciłam. Wszystko łśni.

Wyglądam świetnie. Jestem tylko za bardzo zdenerwowana.

– Boisz się, że się nie uda? – zapytała Dorotka-idiotka.

Uda się. Gdy wszystko jest tak dobrze przygotowane, musi się udać. Niczego nie zabraknie. Muszę się tylko uspokoić. Wiedziałam, że królowa nie powinna pachnieć alkoholem. Trudno, muszę się napić. Inaczej ich nie przetknę. Piłam z butelki, połykałam po kilka naraz, potem dopiłam wódkę duszkiem. Szybko umyłam zęby. Usta przepłukałam perfumami. Uff. Ujdzie, nie poczują. Nie będę się przecież całować. To zbyt uczucie spoufalenie. Butelkę popłukałam wodą (nalepkę zdarłam wcześniej), przelałam do niej ocet.

Jeszcze ktoś by zajrzał i zobaczył. Pomyślał: „Alkoholiczka”. Laptop zostawiłam włączony, z otwartą pocztą. Czekam na wiadomość. O Boże, jak ten czas wolno płynie. No tak, czas też jest względny.

Słyszę kroki. To oni. Pójdę otworzyć...

Epilog

– Są już wszyscy, panie mecenasie – usłyszałem głos pani Janeczki.

Wstałem zza biurka. Zapiąłem marynarkę. Poprawiłem muszkę. Przygładziłem włosy, podszedłem i otwierając drzwi, powiedziałem:

– Zapraszam.

Najpierw weszła kobieta około pięćdziesiątki. Ubrana skromnie. Z gustem. Zapłakana. Wiedziałem, że to „matka”. Widok „brata” trochę mnie przeraził. Bardzo wysoki, barczysty, z tatuażami. Kolczykiem w uchu. „I znów dowód na to, że nie można sądzić nikogo po pozorach”, pomyślałem. Ta młoda, zalękniona dziewczyna była podobna do brata. Podając rękę, spojrzała mi w oczy. Teraz byłem pewien, że jest „córką”. Na końcu przywitałem się z Bogdanem Jaskólskim. Zdążyliśmy się już nie tylko poznać, lecz nawet zaprzyjaźnić. Niejedną godzinę przegadaliśmy przy koniaku.

– Proszę siadać. Proszę państwa, najpierw muszę sprawdzić dokumenty. Tożsamość wszystkich obecnych. Akt urodzenia nieletniej, pana akt urodzenia dla potwierdzenia, że jesteście rodzeństwem. Z pana ojcem rozmawiałem. Upoważnił pana do reprezentowania małoletniej. Odczytam testament sporządzony własnoręcznie przez panią Dorotę, z domu Cichocką. Po mężu Kotecką.

Odczytałem. Widząc, że niewiele usłyszeli, powiedziałem:

– Zgodnie z wolą testatorki, powiem parę słów, żeby państwa uspokoić i wyjaśnić kilka spraw. Pani Dorota dopilnowała, żeby spisać swoją wolę precyzyjnie, tak żeby nie było żadnych problemów i żeby nikt, ze względów proceduralnych, nie mógł testamentu obalić. Pani Dorota nie miała nikogo z żyjących krewnych. Wiedziała, że jej zmarły mąż również. Wolą jednak mieć pewność, że jej wola się spełni. Dlatego zwróciła się do mnie. Przypilnowała też, żeby pieniądze na wszystkie opłaty związane z przejęciem spadku były u mnie zabezpieczone. To ja, do osiągnięcia pełnoletności przez nieletnią, będę sprawował pieczę nad jej częścią spadku. I ja będę wypłacał miesięczne stypendium osobiście, interesując się postępami w nauce. Gdyby mnie się coś stało, ten obowiązek przejmie, zgodnie z wolą spadkodawczyni, obecny tu pan Bogdan Jaskólski.

– Czy mają państwo teraz jakieś pytania? – spytałem, widząc, że dalej są zagubieni.

Już na pogrzebie było oczywiste, że dla każdego z nich śmierć Doroty była zaskoczeniem. Obcy ludzie. Kochali ją. Niczego się nie spodziewali. Teraz też nie rozumieli, po co zostali wezwani do kancelarii notarialnej.

– Jeszcze raz odczytam testament. Potem odpowiem na wszelkie pytania.

Czytałem. Dalej nie docierał do nich sens tego dokumentu. Każde skupiło się tylko na słowach skierowanych bezpośrednio do niego.

– Panią Danusię, matkę o wspaniałym sercu, proszę, żeby nie zapominając o swojej córeczce, pamiętała, że ta nigdy nie zapomni o niej.

– Piotrze, byłeś, jesteś i w moim sercu pozostaniesz wspaniałym bratem. Takim, jakiego życzyłabym każdej siostrze.

– Alicjo, dziecko, pamiętaj, że zawsze będę nad tobą czuwała. Tak jak matka powinna czuwać nad swoim dzieckiem. Stwórz sobie własny Raj.

Skończyłem odczytywanie. Jeszcze raz zwróciłem się do każdego po kolei. Tłumacząc to, co do nich nie dotarło.

– Pani Danuto, od dziś jest pani właścicielką rodzinnego mieszkania pani Doroty. Będzie pani mogła mieszkać blisko swoich, a być osobno. Do pani należy również domek i ziemia na Mazurach. Oraz kwota pieniędzy wymieniona w testamencie.

– Pan, panie Piotrze, jest właścicielem czteropokojowego mieszkania, całkowicie urządzonego. Samochodu i kwoty wymienionej w testamencie.

– Ty, Alicjo, masz zapewnione pieniądze na skończenie studiów. Z osiągnięciem pełnoletności będziesz mogła samodzielnie zarządzać pięciopokojowym mieszkaniem z dwoma łazienkami i tarasem. Świetna lokalizacja. Po skończeniu osiemnastu lat będziesz też mogła dysponować sumą złożoną na twoim koncie. Jeżeli przerwiesz studia lub nie skończysz ich w terminie, stypendium pójdzie na cele charytatywne.

Skończyłem mówić. Nadal siedzieli osłupiali. Patrzyli to na mnie, to na siebie nawzajem.

– Proszę państwa, spotkam się z każdym z was, zacznę od jutra. Klucze i adresy daję dziś. Szczegóły wyjaśnię każdemu osobno. Odpowiem na wszelkie pytania, dotąd, aż każde z was będzie już uspokojone. Na dziś to wszystko. Do widzenia.

Wyszli. Oszołomieni, ale ze łzami w oczach, których nikt, nawet ten „bandzior”, nie ukrywał.

Zostaliśmy sami z Bogdanem. Umówiliśmy się, że gdy to wszystko się skończy, wrócimy jeszcze raz do bajki Doroty...